



Sophia James



Ukryte piękno

Prolog

Nastał rok 1360. Szkocja pogrążona jest w chaosie. Król Dawid II, po jedenastu latach spędzonych w angielskiej niewoli, wreszcie wrócił do Edynburga, jednak anarchia spowodowana jego długą nieobecnością doprowadziła do kryzysu. Ludzie są zdezorientowani, niepewni przyszłości, zadają sobie pytania, na które nikt nie zna odpowiedzi.

Jednak w tych niespokojnych czasach każdy, kto cokolwiek znaczy, nie może stanąć z boku i biernie przyglądać się rozwojowi wydarzeń, musi przyłączyć się do którejś ze stron. Dlatego część właścicieli ziemskich opowiada się za zachowaniem z trudem wywalczonej suwerenności, inni stają po stronie Anglików i popierają roszczenia osób wydziedziczonych za czasów Roberta I Bruce'a. Niejasna jest także polityka przygraniczna. Sytuację pogarsza sam król Dawid, rozważając możliwość zrzeczenia się korony i oddania jej księciu Clarence'owi, synowi Edwarda III Angielskiego. W rzeczywistości tylko nieliczni przedstawiciele arystokracji z niezłomną determinacją podtrzymują koncepcję suwerennej Szkocji opartą na zasadach wolności spisanych w Deklaracji z Arbroath.

Laird Lachlan Kerr jest jednym z nich...

...nigdy, na żadnych warunkach, nie poddamy się władzy Anglików. Nie o chwałę, bogactwa czy honory walczymy, jeno tylko o wolność samą, której żaden uczciwy człowiek nie da sobie odebrać, chyba że wraz z życiem.

Słowa te pochodzą z Deklaracji z Arbroath, spisanej w kwietniu 1320 i opatrzonej pieczęciami czterdziestu szkockich panów.

Rozdział pierwszy

Sierpień 1360 r.

Dwór Grantley, Clenmell, Durham, Anglia

Lady Grace Stanton patrzyła, jak mężczyzna zbliża się ku niej. Wysoki, smagły i urodziwy.

Nie spodziewała się, że tak będzie wyglądał.

Jego uroda niepokoiła ją bardziej niż spowijająca go niczym opończa aura niebezpiecznej mocy i jakby obcość czy też niczym nieskrywany dystans. Dziwne, bo przecież nie stał tuż przed nią, nie mogła pochwycić jego spojrzenia, a tyle już wiedziała o nim, czy raczej wyczuwała. Kiedy jednak w końcu zatrzymał się przed nimi, a kurz wzbity końskimi kopytami opadł, nakazała sobie spokój i wyprostowała się z godnością.

Był rozczarowany. Od razu dostrzegła to w jego oczach. Powiódł po niej przenikliwym, bladoniebieskim spojrzeniem, w którym kryło się wiele niewypowiedzianych pytań. Kiedy poczuła chłód bijący od niego i jakże dla niej dojmująco bolesną nieufności, całkiem upadła na duchu. Ostatkiem sił uśmiechnęła się i ujęła podaną jej dłoń. Grace ogarnęła złość, gdy zerknęła na swoje poobgryzane do żywego paznokcie. Na dodatek jej czerwona spierzchnięta skóra przy jego smagłej gładkiej cerze prezentowała się jeszcze gorzej niż zwykle.

Borykała się z tą dolegliwością przez całych dwadzieścia sześć lat życia. Dobrze przynajmniej, że skóra pod oczami nie była ściągnięta i obrzmiała, jak to często się zdarzało.

- Lady Grace. - Po tych bez cienia emocji wypowiedzianych słowach natychmiast puścił jej dłoń.

- Witam, Kerr. - W głosie jej wuja, hrabiego Carricka, z pewnością nie porzmiewała serdeczność. Hrabia zmarszczył brwi na widok groźnie wyglądających jeźdźców, którzy zatrzymali się w zwartym szyku za swoim lairdem. Było ich około

dwudziestu. - Oczekiwaliśmy cię tydzień temu.

- Macie księdza, jak rozumiem? - przerwał mu Kerr, nie dbając choćby o pozory uprzejmości.

- Mamy. Ojciec O'Brian przyjechał z...

- W takim razie wezwijcie go.

- Tak, oczywiście, ale moja siostrzenica nie jest odpowiednio ubrana.

- Strój to najmniejsze ze zmartwień, jeśli się weźmie pod uwagę dekret mego króla. - Mówił beznamiętnie, faktycznie oznajmiał, nie szukając z nikim kontaktu, niwecząc go w zarodku. Postępował bezczelnie, obraźliwie, jakby prowokował, szukał pretekstu do zerwania ugody narzuconej przez króla.

Czyżby był bliski przeciwstawienia się monarszej woli?

Czyżby przemyślał zdradę?

Grace spojrzała na wuja, który w jaskrawym świetle dnia wydał jej się nagle stary, niemal niedołączny. Hrabia Carrick nie miał już sił, by walczyć z wrogiem, skonstatowała ze smutkiem. Marzył tylko o tym, by dożyć swych dni, utrzymując jaki taki pokój. Jej wzrok padł na broń, którą dzierżyli członkowie klanu Kerrów, i w tym momencie zrozumiała, lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, jak wielki trybut przychodzi człowiekowi nieraz zapłacić, gdy losy rzucają go w wir politycznych zdarzeń. Wiedziała doskonale, że jeden fałszywy ruch może fatalnie odbić się na jej rodzinie, przynieść ogromne straty, cierpienie. Niewinne pionki, które nawet wbrew swej woli i wiedzy znalazły się na politycznej szachownicy, bez wahania spisywano na straty, szczególnie gdy rozgrywka między figurami nabrzmiewała od frustracji i złych emocji.

- Myślę, wuju, że powinienś poprosić tu ojca O'Briana. - Boże, jąkała się znacznie bardziej niż zazwyczaj, po prostu koszmarnie. To zawodzące gdzieś w głębi gardła „yy”, „uu”, „oo”, to wypluwane z warg „ppp”...

Po chwili wyczuła jakiś ruch i usłyszała, jak mężczyźni stojący za Kerrem zaczęli szemrać drwiąco, nieprzyjemnie. Puls przyspieszył jej tak bardzo, że zaczęła się obawiać, czy nie zemdleje z braku powietrza.

Nie, nie zemdleje!

Przygryzła mocno dolną wargę i nakazując sobie spokój, stała bez ruchu, aż poczuła, że histeria ustępuje.

- Weźmiesz ślub tutaj? Przed domem? Pewnie miałaś nadzieję... - zaprotestował hrabia Carrick.

- Nie, wuuju. Tutaj będzie doobrze.

Nadzieja, dobre sobie!

Nie kryjąc się z tym, porzucając sekretne zerknięcie, przyjrzała się uważnie, z powagą, stojącemu naprzeciwko niej wojownikowi. W ten sposób zbudowała schronienie dla uczucia wstydu i poniżenia, spodziewała się bowiem, że ujrzy współczucie, litość czy choćby rozbawienie. Jednak nic z tego. Zobaczyła jedynie chłód i opanowanie.

Po prostu obowiązek, pomyślała. To małżeństwo było obowiązkiem, politycznym manewrem, który miał załagodzić monarchę Lachlana Kerra, a zarazem napęlić szkatuły w zamku oblubieńca.

- Lady Grace Stanton do nadobnych nie należy, szczególnie cerę ma paskudną, jednak rozłożyste biodra wskazują, iż rodzić dzieci może bez liku.

Tak oto wyraził się wysłannik Edwarda III Angielskiego, gdy po raz pierwszy kazano jej się przed nim stawić. Nigdy nie zapomni gwałtownego wybuchu gniewu wuja, gdy wręczono mu dekret królewski, kawałek pergaminu, który bezpowrotnie zmieniał ich życie. Jeśli się nie podporządkuje, Grantley znajdzie się w niebezpieczeństwie. Grantley! Siedziba rodu zostanie stracona na zawsze, jeśli hrabia Carrick nie poświęci nieurodziwej, wkraczającej w staropanieński wiek bratanicy, wydając ją za mąż za rycerza wybranego przez króla. Stary arystokrata doskonale wiedział, że nie może odmówić, bo kara byłaby zbyt dotkliwa. Ród straciłby znaczenie, być może w ogóle zniknąłby z kart, które w przyszłych pokoleniach zapisze historia tych ziem.

Wola królów.

Ten związek skojarzono, gdy wszystkich wokół pochłonał wir politycznej zawieruchy. Problemem była Szkocja, jej dalsze dzieje, suwerenność lub podległość Anglii, zaiste, piekielny dylemat przy rozpalonych głowach w każdej chwili grożący

rozlewem krwi, wojenną pożogą i morzem nieszczęść. Rozum nakazywał, by wyciszyć burzę, więc wszystko, co temu mogło się przysłużyć, było pożądane.

Marzenia czy dobro pojedynczych ludzi w tej rozgrywce w ogóle się nie liczyły. Grace to wszystko doskonale rozumiała.

Dostrzegła cień niecierpliwości w przenikliwych oczach Lachlana Kerra, zazwyczaj błękitnych niczym niebo, jak się domyślała, lecz teraz nieco zachmurzonych. Oczach, które mówiły, że doskonale znana mu jest jej wątpliwa reputacja, o czym usłyszał na królewskim dworze. Plotki o tym, kim była i co robiła, dostarczyły pożywki krotochwilom i komicznym pieśniom okrutnych błaznów. Lady Grace Stanton stała się bowiem obiektem kpin, które dawały damom i lordom chwilę wytchnienia od otaczającej ich sieci dworskich intryg. Dowiedziała się o tym zeszłego lata od kuzyna Stephena, który po powrocie z Londynu wyliczył jej rozliczne wady. Sądząc po sposobie, w jaki to zrobił, był głęboko przekonany, że wyświadcza kuzynce swoistą przysługę.

Może rzeczywiście tak było? - pomyślała Grace. Przed rokiem pewnie Kerr nie patrzyłby na nią z tak jawną niechęcią i potępieniem. Dziś jednak nawet nie próbował ukryć irytacji, groźnie marszczył brwi, był wyzywający, z całej postawy aż biła arogancja. Stał przed nimi z ręką na biodrze, a drugą na rękojeści miecza, z głową hardo uniesioną i wysuniętym podbródkiem.

Zupełnie jak jego brat!

To nie był ani jego wybór, ani życzenie. Zsunęła rękawy sukni jak najniżej i z zadowoleniem skostatowała, że koronka zakryła także czubki palców.

Poruszenie we frontowych drzwiach domu przyciągnęło uwagę zgromadzonych. Kiedy Judith, Anne i Ginny zbiegały po schodach, ich jasne włosy zaśniły w słońcu czystym złotem. Każda z jej młodziutkich kuzynek była śliczna, a pokazując się razem, wprost olśniewały urodą. Grace zauważyła rosnące zainteresowanie mężczyzn towarzyszących Kerrowi, ich męska aprobata była aż wyczuwalna. Powstrzymała się jednak przed sprawdzeniem, czy przyszły mąż patrzy na nie w ten sam sposób. Nawet nikły cień wątpliwości wydał jej się lepszy od uzyskania takiej wiedzy.

Judith nachyliła się ku niej i szepnęła to, o czym właśnie myślała Grace:

- Jest o wiele wyższy, niż przypuszczaliśmy. - Jej zmysłowe wargi zadrżały przy tym stwierdzeniu.

To nerwy, doszła do wniosku Grace i ścisnęła dłoń Judith, by dodać jej nieco otuchy. Anne i Ginny napierały na nią z tyłu. Czekały, a ona boleśnie odczuła ich skumulowany strach. Dyskretnie pokazała im, by się jeszcze bardziej schowały za nią, a ona ochroni je swoją osobą przed potencjalnym niebezpieczeństwem ze strony Szkotów.

- To moje kuukuzynki. - Czuła, że musi coś powiedzieć, gdy zapanowała niezręczna cisza, choć zawsze przecież kłopotliwe jąkanie teraz doskwierało jej jak nigdy. A już to przekomiczne „kuuku”....

Na szczęście wuj też próbował rozładować napięcie.

- Wysłannik króla dał nam do zrozumienia, że przybędziesz do Grantley jeszcze przed niedzielą, lairdzie Kerr.

- Coś mnie... zatrzymało.

Zatrzymało. W tym słowie pobrzmiwał ton ponurej desperacji.

Co? Kto?

Może kobieta? Zrozumiałe, że Grace tak właśnie pomyślała. Wiedziała od Judith, że już raz był żonaty. Kuzynka podsłuchiwała rozmowę, w której królewski wysłannik opowiadał komuś o losach Lachlana Kerra, o braku gotówki w jego rodzinie i o tym, jak rozpaczliwie potrzebuje nowej, koniecznie posażnej żony.

Majątek. Cóż, rzeczywiście go miała.

Odziedziczyła pokaźny spadek i miała znamienite pochodzenie, toteż jej posag mógł uratować od katastrofy finansowej rodzinę, której się pod tym względem nie poszczęściło.

Małżeństwo! Czy ten obcy człowiek będzie domagał się swoich praw małżeńskich jeszcze tego wieczoru? Przy swoich ludziach? Boże, na samą myśl o zdjęciu sukni krew napłynęła jej do twarzy.

Zobaczy.

Domyśli się.

Pojmie prawdę, którą znał tylko z szeptów, a jeśli uważa swą oblubienicę za kobietę szpetną... Stanowczo potrząsnęła głową. Czując, jak ostre paznokcie Anne wbijają się jej w ramię, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

- Wejdiesz, paanie, do środka i posilisz się? - Lepiej, pomyślała. O wiele lepiej. Przynajmniej nie każde słowo było przerwane tym przeklętym jękaniem, nie wystrzeżliła też „pp” przy „posilisz”, choć była pewna, że tak się stanie. To cud prawdziwy, bo przy jękaniu najgorszy jest strach, że coś pójdzie nie tak. Bo wtedy zawsze idzie nie tak.

Uniosła głowę i spojrzała prosto w twarz mężczyźnie, który miał zostać jej mężem. Ostre światło słońca zmusiło go do zmrużenia oczu, a zmarszczki, które pojawiły się w ich kącikach, wydały jej się... pociągające. Nie potrafiłaby opisać ich inaczej. W ogóle Lachlan Kerr był o wiele bardziej pociągający od brata, a przecież tamtego uznawano za wzór męskiej urody!

Zła na te próżne rozważania, przemówiła ponownie:

- Ojciec O'Briaan właśnie się moodli i zajmie mu tto czas jakiś. Jeśli zeechcesz, ppanie...

Niespodziewanie położył rękę na jej dłoni. Ten gest był... właściwy. Był... dobry. Czyżby laird Kerr chciał jej pomóc?

Pomóc?

Zdezorientowana, rozejrzała się wokół. Judith miała zapuchniętą twarz i oczy pełne łez, a Anne i Ginny bardzo pobladły. Boże, nie pozwól, żeby kuzynki zaczęły szlochać. Nie przy tych ludziach! Nie, kiedy bezpieczeństwo Grantley zależy od tego, czy to małżeństwo zostanie zawarte, przypieczone i skonsumowane.

Poświęcenie. Względy praktyczne. Słowa, które kształtowały jej życie przez poprzednie lata i będą kształtować przez następne. Tak było zapisane. Krwią ludzką i królewskim atramentem.

Nieodwołalne. Niezmienne. Ustalone.

Nie będzie odwrotu ani odmowy. Jej los za rodzinne posiadłości.

Wyobraziła sobie, jak z mieczem w dłoni razi wroga, powala go w bitewnym zgiełku na ziemię, obraca w proch i pył, dzięki swym heroicznym przymiotom chroni rodzinę, wygrywa krwawy bój, którego nie zdołałby wygrać nikt inny...

Ta myśl była tak absurdalna, że Grace zaczęła się uśmiechać, lecz kiedy twarde stalowe oczy napotkały jej wzrok, przegnała próżną wesołość. Nie była to odpowiednia pora na głupie urojenia, na miłe sercu, niemądre mrzonki.

- Mój wuj ma dooskonałe reńskie wiina.

Kiedy skłonił głowę i skinął na swoich ludzi, westchnęła z ulgą. Czas wyjazdu jeszcze nie nadszedł. Minie godzina czy dwie, zanim zostanie stąd wyrwana i przewieziona do Belridden, zamku Kerra położonego jakieś czterdzieści mil na północ od Grantley.

Z ciężkim sercem wprowadziła mężczyznę do środka i świadoma faktu, że laird Kerr idzie tuż za nią, robiła, co w jej mocy, żeby utykanie nie było tak bardzo widoczne.

Idąc za lady Grace, Lachlan zauważył, że skóra na jej ramionach dziwnie się łuszczy, a włosy skrywane pod brzydkim czepkiem są długie i rude. Nie były subtelnie kasztanowe czy miedziane, ale miały specyficzny odcień jaskrawego złota, taki sam jak rzęsy okalające duże oczy, a także brwi, no i piegi bez umiaru obsypujące policzki.

Wcale nie przypominała tej dziewczyny, której się spodziewał. A raczej kobiety, wszak Grace skończyła już dwadzieścia sześć lat. Zostawiła za sobą wiek, w którym panny zwykły iść za mąż, pewnie zapomniała już o tych próżnych latach, kiedy to w dziewczęcych sercach i główkach budzi się nadzieja. Przynajmniej z tego był zadowolony. Zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć, co takiego mówiono o lady Grace Stanton.

Lękliwa. Powściągliwa. Niegrzesząca urodą. Idealistka. Tak, to mu odpowiadało. Nawet bardzo.

Gdy on będzie poza domem, nie przemieni się w kusicielkę gotową obdarowywać swymi wdziękami innych mężczyzn. Nie będzie też rywalizować z Rebeccą. Po-

jawienie się prawowitej małżonki z pewnością zamknie usta kochance, a życie w Belridden będzie znacznie łatwiejsze niż wówczas, gdyby przywiózł do domu piękność.

Lady Grace zadowalała go nad podziw. Nieatrakcyjna żona z dużym posagiem. Kobieta, która nie będzie narzekać, snuć intryg, plotkować, a do tego zapewni środki na utrzymanie zamku. Przy tym jej biodra są jakby stworzone do rodzenia dzieci, a przecież potrzebował dziedzica, a także młodszych synów, by pracowali na siłę i znaczenie rodu. No i córek, by dzięki przemyślanym mariażom ród stawał się jeszcze mocniejszy.

To naprawdę dużo, a życie nauczyło go, by nie oczekiwać zbyt wiele.

Jednak zmartwił go przeblysłk rozbawienia, kiedy kusił go winem! Widywał takie spojrzenia w oczach doświadczonych uwodzicielek. Arogancja i duma, którym towarzyszyła wrodzona pewność siebie pięknych kobiet.

O Grace Stanton nie dało się powiedzieć, że jest piękna.

Choć, mimo swych ułomności, brzydka też nie była. Nie, kiedy słońce podkreśliło delikatny aksamit oczu i rzuciło cienie na dołeczki w policzkach. Nie, kiedy jej palce dotknęły jego ramienia, a on poczuł coś więcej niż obojętność.

Marszcząc brwi, zerknął na jej młodsze kuzynki. Delikatne, kruche i przestraszone.

Chroniła je, wspierała, trzymała ich drżące dłonie, a na koniec zagoniła do domu niczym kura swoje kurczaki na widok złego psa.

Zerknął na swoich ludzi i zobaczył, że wszyscy jak jeden mąż wbijają wzrok w jego przyszlą żonę i jej pierścień.

Też go dostrzegł, gdy tylko podała mu rękę przy powitaniu.

Pierścień jego brata.

Złote insygnia wypolerowane przez czas.

Minęło dziesięć miesięcy, odkąd Malcolm tragicznie zginął w Grantley, a wyjaśnienia w sprawie jego śmierci były równie fałszywe, jak wyrazy współczucia. Nie znaleziono ciała, bo wąwóz, do którego wpadł, był głęboki i urwisty, a rzeka płynąca jego dnem niedaleko od miejsca, gdzie doszło do wypadku, wpadała do morza.

Lachlan ściągnął brwi, przypominając sobie opowieść najstarszego syna hrabiego Carricka, Stephena, jego kłamliwe oczy i drżący głos. Reakcję swoją i babki. Malcolm spadł z konia podczas przejażdżki po zaręczynach z kuzynką Stephena? Patrząc na rzeczoną damę, trudno było uwierzyć, że natchnęła do oświadczeń jego brata, który zarówno w Anglii, jak w Szkocji uwiódł i porzucił tak wiele piękności.

Pragnienie zemsty musiało jednak ustąpić polityce, a konflikt został zażegnany przez króla, który podjął nieodwołalną decyzję.

Bogata żona wynagrodzi klanowi Kerrów utratę jednego ze swoich. Żyjący brat zastąpi zmarłego, a połowa z posagu Grace Stanton napelni puste szkatuły Belridden. Jedna czwarta łupu pójdzie do Edwarda, trochę do księcia Clarence'a, co pomoże mu w staraniach o tron szkocki, a reszta do Dawida jako mile widziany, aczkolwiek nieoczekiwany przyływ gotówki, gdy okup ustalony w traktacie z Berwick jeszcze nie zostały spłacony.

Kiedy Lachlan zaprotestował przeciwko tej propozycji, Dawid dał mu jasno do zrozumienia, że nie ma wyboru. Pojmie za żonę lady Stanton albo narazi się na utratę majątku. Cóż miał zrobić! Ruszył na południe, aby poślubić narzeczoną brata, wciąż noszącą na palcu zaręczynowy złoty pierścień z rubinami. Tak żeby wszyscy mogli go widzieć.

Żółć napłynęła mu do gardła. Gdyby chodziło tylko o niego, pewnie zacisnęłyby dłonie na smukłej szyi owej lady i wydusił prawdę o śmierci Malcolma.

A jednak nie mógł, bo los jego ludzi spoczywał bez reszty w zdradzieckich rękach lady Grace. Nie mógł, gdyż wielkimi krokami zbliżała się długa zima, która może zesłać śmierć nawet na setkę dzieci z klanu, jeśli laird Lachlan Kerr wyzbędzie się rozsądku i pozwoli, by zawładnęły nim emocje.

Nienawidził niszczącego uczucia bezradnego gniewu, które go nagle naszło. Nienawidził znaczącego uśmiechu na twarzy Grace Stanton i zduszonych łkań złotych dziewcząt. Nienawidził Grantley i jego luksusów. Nienawidził biedy, z którą mierzył się każdego dnia, a jedynym sposobem, by położyć jej kres, było małżeństwo z bogatą kobietą.

Służący rzucili się otwierać frontowe drzwi i goście weszli do środka. Lachlan na widok oszłamiającego bogactwa stanął jak wryty. Cały parter jego zamku zmieściłby się w tym jednym pomieszczeniu, w którym każdy mebel świadczył o zamożności właścicieli. Ciekawe, jak Grace Stanton zareaguje na wielką sień w Belridden, pomyślał, a serce zamarło mu z niepokoju. Gdy tylko ogarnie ją wzrokiem, wybuchnie łzami, a potem zostanie w łóżku przez tydzień. Czy nie tak zachowują się bogate kobiety?

W swoim łóżku? W jego łóżku? W ich łóżku? Boże, nawet nie miał czasu pomyśleć o sypialni, zanim z rozkazu króla wezwano go na południe. Dręczące go wątpliwości narastały.

Iść z nią do łóżka?

Ściągnąć z niej tę skromnie zasznurowaną wysoko pod szyję suknię i bieliznę. Ujrzeć jej nagie ciało. Wejść w nią zgodnie z wolą króla i spłodzić dziedzica? Wi-dzieć, jak od jego nasienia rośnie jej brzuch, dojrzały, kobiecy, dostępny.

Choć nosiła na palcu pierścień jego brata, ten pomysł nie wydał mu się odpychający. Nie budził odrazy. Przeciwnie, objawił zapierające dech możliwości.

Zmysłowe. Szokujące. Żywiłowe.

Kiedy usiedli przy stole, zauważył, że odsunęła krzesło tak daleko od niego, jak tylko się dało.

- Steephen zjawia się tu jutro.

Przez to jękanie stawała się dziwnie bezbronna, a kiedy ich oczy się spotkały, zobaczył w nich coś, co wzbudziło jego litość. W aksamitnym spojrzeniu dostrzegł wielkie napięcie, a na górnej wardze perlące się kropelki potu.

- Do tej pory będziemy daleko stąd. - Nie widział powodu, by udawać, że stanie się inaczej. Nie widział powodu, by ułatwiać jej cokolwiek w tej trudnej sytuacji... choć zarazem tego zapragnął. I poczuł złość z tego powodu. A także dlatego, że na jego słowa odwróciła głowę, a cała łagodność spojrzenia znikła gdzieś bezpowrotnie.

Żona, która urodzi mu zdrowego dziedzica. Tylko tego potrzebował.

Tego i jej posagu.

I będzie to miał, gdy tylko zedrze pierścień Malcolma z jej palca.

Rozdział drugi

Przybysze z Belridden nic prawie nie jedli.

Danie po daniu wjeżdżało na stół z dobrze zaopatrzonej kuchni w Grantley, a oni ledwie skosztowali drobiu, wieprzowiny czy łososia. Siedzieli jak posępna solidna ściana złożona z tartanu i mięśni, jedynie co chwila dolewając sobie wina. To wszystko.

Czyżby sądzili, że raczono ich zatrutymi potrawami? A może tak bardzo się różniły od tego, co jedli w Belridden, że najzwyczajniej w świecie bali się spróbować?

Ból głowy, który dopadł ją na dworze, nasilił się jeszcze bardziej, a to rzuciło się na wzrok. Zygzakowate świetliste plamki przesłoniły Grace cały świat. Zostanie poświęcona przed Bogiem mężczyźnie, którego ledwie widzi.

Zamrugnęła z wysiłkiem, zdołała się skoncentrować. Dostrzegła, że Lachlan przygląda się jej w skupieniu.

Właściwie widziała tylko jedno oko Lachlana i kawałek szyi, bo reszta przepadła w zamazanej nicości.

Odsunęła wilgotne włosy z czoła, nie przejmując się już ukrytymi pod grzywką plackami spierzchniętej skóry, i powoli policzyła od stu do jednego. Czasami pomagało. Lecz nie dzisiaj.

Ciszę przerwało przybycie ojca O'Briana. Słysząc go było już z holu, gdy Bożym imieniem witał służbę. Jego śpiewny akcent przyjemnie brzmiał dla ucha i budził przyjazne emocje. Teraz też uśmiechnął się ten i ów.

Duchowny zbliżał się do drzwi, jego głos rósł:

- Usłyszałem we wsi, lady Grace, że przybyli goście z klanu Kerrów, i zastanawiałem się, kiedy będzie pani potrzebowała moich usług...

Kiedy przekroczył próg i znalazł się w wielkiej komnacie, zatrzymał się i popatrzył na nieznanomych siedzących wokół stołu. Grace uważała do tej pory Patricka

O'Briana za potężnego mężczyznę, ale w porównaniu z Lachlanem Kerrem wydał jej się dziwnie drobny. Musiała jednak przyznać, że ksiądz nie pozwolił się zdominować. Nie bacząc na broń, którą mieli przy sobie, obrzucił przybyszy groźnym spojrzeniem i porzuciwszy uroczą intonację, oznajmił surowo:

- Nie mogę dać ci ślubu, kiedy jesteś w zbroi, lairdzie Kerr. W obliczu Boga byłoby to bluźnierstwo.

- W takim razie możesz nie dawać mi ślubu w ogóle - padła chłodna, znamionująca pewność siebie odpowiedź. - Wiedz tylko, że jeśli nie zastosujesz się do żądania swego pana, wkrótce mogą cię czekać kłopoty.

Wuj zaczął się krztusić, na policzki wystąpiły mu czerwone plamy. Grace dostrzegła gniew w czach Lachlana Kerra, widziała zaciśnięte zęby jego dwudziestu ludzi... a także pobladłe twarze swoich kuzynek i panikę ogarniającą zarówno księdza, jak i wuja. Przez ostatnie dwie minuty masowała napięte mięśnie karku, dzięki czemu poczuła niewysłowioną ulgę. Dokuczliwy ból za oczami ustąpił, a poszarpane plamki światła znikły jak za sprawą magii. Ostał się tylko ból głowy. Ćmiący. Głuchy. Nieustępliwy.

Przynajmniej widziała i mogła myśleć.

I w tym momencie uświadomiła sobie, że jeśli nie przejmie odpowiedzialności za tę farsę, cała jej rodzina znajdzie się w niebezpieczeństwie. Co tu kryć, w ogromnym niebezpieczeństwie. Każdy, kto okazał się na tyle głupi lub zuchwały, by nie podporządkować się rozkazom króla, powinien zacząć odliczać dni i godziny dzielące go od niechybnej śmierci. Głupota i zuchwałość... Z głębokim niepokojem spojrzała na wuja, który aż dławił się od narastającego gniewu. Głupota, zuchwałość, śmierć.

- Jeestem pewna, że Bóg nie poczuje się urażony.

Wątpiła, czy przełożeni sędziwego księdza potraktują go z wyrozumiałością, jeśli laird Kerr zaraz stąd wyjedzie. Jeśli znak rozejmu mającego zapewnić kruchy pokój zostanie wdeptany w ziemię przez upór duchownego, przez gniew wuja. Przez głupotę i ślełą zuchwałość.

To byłby niewybaczalny błąd.

Byli w niebezpieczeństwie.

Kuzynki. Wuj. Posiadłość Grantley.

Można było zrobić tylko jedno.

- Jaaa chcę wziąć ślub teeraz.

Judith wybuchnęła płaczem i przewróciła kielich z winem, czerwona struga poplamiała obrus, a plama na śnieżnobiałym, sięgającym podłogi płótnie powiększała się coraz bardziej. Miałaby to być przepowiednia? Czy historia zamierzała się powtórzyć? Wyraz niepewności w oczach Ginny pogłębił się, a gładkie zimne złoto pierścienia Malcolma Kerra nieubłaganie wiązało przeszłość z terażniejszością.

Malcolm był roześmiany, ale nieprzewidywalny i wiarołomny, a sekret jego śmierci tkwił w tej komnacie jak krzyk, jak zakłęte echo nieprawości, jak całun wstydu, który doprowadził ich wszystkich do tego momentu, do tej pokuty.

Stojący przy nadprożu ojciec O'Brian zadrżał, palce zacisnął na krzyżu wiszącym na szyi i zaczął mamrotać modlitwę, której monotonne dźwięki odzwierciedlały nastrój panujący w komnacie, a hrabia Carrick poczerwieniał jeszcze bardziej.

Godzina jej ślubu.

Chaos.

Suknia ślubna wisiała w rogu szafy okryta perkalem. Nie została włożona.

Kwiaty, które miały być ułożone w pachnący bukiet, nie zostały zebrane.

A przyszły mąż patrzył na nią jak ktoś, komu wcale na niej nie zależy.

Marzenia...

Tak, nie były jej obce marzenia: „Oblubieniec ujmie mnie za rękę, poruszony tak bardzo, że po jego pięknym obliczu spłynie samotna łza... Spojrzy mi w oczu, uśmiechnie się czule i wyzna swoją miłość. Powie, jak bardzo mnie kocha i podziwia, wyzna, że nie potrafi już żyć beze mnie, a palcem delikatnie obrysuje uśmiech na moich wargach...”.

Potrząsnęła głową. Jak często opowiadała kuzynkom tę historię, leżąc przy nich wieczorami, tuż przed zaśnięciem, oczyma wyobraźni widząc romantyczne scenki, w których szlachetni, wytworni, wierni rycerze wjeżdżali na koniu do Grantley, oczeku-

jąc miłości. Jej miłości, mimo swędzącej wysypki i przeklętego jąkania. W tych opowieściach nie dokuczało jej ani jedno, ani drugie. Nawet jej włosy miały mniej płomienny odcień czerwieni.

Och, marzenia...

A oto rzeczywistość!

W dłoniach Kerra, gdy pomagał jej wstać, by stanęła obok niego, nie było ani miękkości, ani delikatności. Kiedy zażądał, by ksiądz dał im wreszcie ślub, w jego głosie usłyszała raczej nienawiść niż miłość.

A kiedy wypowiedział ślubną przysięgę, dwa słowa dudniły jej w głowie wciąż i wciąż: Na zawsze. Na zawsze. Na zawsze.

Wzdrygnęła się na ten ogarniający ją chłód, na to okropne uczucie strachu, przerażenia, gdy przed Bogiem i rodziną jako świadkami została zaślubiona Lachlanowi Kerrowi. Na zawsze. Połączona z nim przed Bogiem i prawem przysięgą na wieki, nie do naruszenia.

Kiedy już było po wszystkim i mąż podał jej duży kielich wina, wypłała je duszkiem, a potem naląła sobie jeszcze, bo cechujący ją zazwyczaj optymizm zatonął pod dojmującym ciężarem obowiązku.

Judith wzięła ją za zaciśniętą i drżącą dłoń.

- Jeśli jest w czymkolwiek podobny do brata, Grace... Mój Boże, jeśli...

Nie dała jej dokończyć.

- Niee jest.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Mam taką nadzieję.

- Zawsze możemy zjawić się w Belridden, to tylko dwa dni drogi, i zabrać cię, jeśli będziesz chciała wrócić do domu.

- Jestem teraz mężatką, Judith. Na mocy jakiego prawa mogłabym opuścić męża?

Patrzyły na siebie w milczeniu, potworność popełnionej zbrodni zasnuła cieniem ich oczy.

- To nie powinno spadać na ciebie. To ja powinnam być na twoim miejscu. Przecież jestem siostrą Ginny. Jeśli ktokolwiek musiał zapłacić za śmierć Malcolma Kerra, to właśnie ja.

Grace popatrzyła na ledwie co poślubionego męża. Ich oczy spotkały się przez zatłoczoną komnatę. Był tak urodziwy jak ona nieładna. Jej uwagę znów zwrócił bładny błękit jego oczu kontrastujący z ciemnymi włosami.

Rycerz Dawida. Mężczyzna, który od dziesięciu lat zwyciężał na polach bitewnych od Francji po Szkocję, Jego chwałę głosili bardowie, którzy przybywali do Grantley ze swymi pieśniami i opowieściami. Miecz, pochwa, kolczuga i tarcza - oto oręż Lachlana Kerra, kiedy siedział na końskim grzbiecie pod złoto-czerwonym sztandarem z wizerunkiem szkockiego lwa, którego skraj zdobiło dziesięć lilii.

Od dzisiaj jej mąż.

Obróciła pierścień na serdecznym palcu lewej ręki. Ciepło metalu sprawiło, że się uśmiechnęła.

Czyżby znak nadziei? Ciekawe, jak będzie wyglądać jej noc poślubna? Co poczuje, gdy znajdzie się tak blisko, że bliżej już nie można... gdy znajdzie się w ramionach takiego mężczyzny?

- Jeśli mnie koochasz, Judith, obiecaj, że będziesz miilczala, bo jeśli nie, to wszystko ppójdzie naaa marne. Roozumiesz? Wszyystko na maarne!

Judith spojrzała na nią z wahaniem. Wciąż dręczyły ją wątpliwości.

- Gdybyś odważyła się mu powiedzieć, co próbował zrobić Ginny, może wtedy...

- I zrujnować jej reeputację? I to naa zawsze?

- To też jest na zawsze, Grace.

- Wiem, ale maam dwadzieścia sześć lat, a Ginny leedwie skończyła szesnaaa-ście.

- Przestała mówić po tym, jak... - Judith urwała gwałtownie. - Może już nigdy nic nie powie.

- Dzieiesięć miesięcy to kkrótko. Uufajmy Boogu, że przy oodpowiedniej opie-

ce...

Po policzku Judith spłynęła łza.

- Byłaś zawsze najlepsza i najdzielniejsza z nas, Grace, i jeśli Lachlan Kerr cię zrani...

- Nie zrobi tego.

- Jesteś pewna?

Spojrzenie przenikliwych mężowskich oczu odszukało ją ponad głową kuzynki. Przywoływał ją do siebie, a czynił to z arogancją jawnie wyrytą na jego twarzy.

Grace przechyliła kielich, dopiła wino. Ta farsa odbywała się nie bez powodu, a ich małżeństwo stało się nieodwołalnym faktem. Z czegoś takiego nie można było się wycofać, nawet gdyby tego chciała.

- Jestem ppewna. - Po tych słowach pokuśtykała do męża.

Kiedy znalazła się przy nim, ledwie dostrzegł jej obecność. Nawet wyprostowana nie sięgała mu do ramienia. Rozmawiał ze swymi ludźmi o nadziejach związanych ze Szkocją i o tym, że chce znaleźć się na swojej ziemi, zanim ubędzie księżyc.

Tak szybko? Nie zostaną w Grantley nawet na jedną noc? Szok spowodowany tak rychłym odjazdem sprawił, że zaczęła oddychać szybko i nieregularnie. Po chwili poczuła na sobie baczne spojrzenie Lachlana.

- Belridden ma zalety, których brak w Grantley. Na przykład otaczające je góry obfitują w zwierzynę łowną.

Grace zrozumiała, że małżonek w ten sposób dodaje jej otuchy. Próbowwała się uśmiechnąć. Obfitują w zwierzynę łowną? Oczyma wyobraźni zobaczyła jedynie odludne miejsce, prawdziwą dziczą pełną śladów zostawionych przez ofiary i ich tropicieli.

Wygodne życie w Grantley skończyło się.

- Niee znam się na ppolowaniach, lairdzie Kerr.

Stojący przy nich rudowłosy roześmiał się, jednak Lachlan nie poszedł jego śladem. Oczy mu pociemniały, na czole pojawiła się bruzda. Grace wyczuła, czym się tak trapił. Jej niewinne w sumie słowa uświadomiły mu, jak głęboka przepaść ich

dzieliła. Bogata, nawykła do luksusów angielska dziedziczka i wiodący surowe życie szkocki wojownik... Otarł rękawem usta z wina i oznajmił:

- Czas w drogę.

Jego ludzie, nawet ci siedzący w odległym końcu komnaty, wstali jak jeden mąż. Grace miała wrażenie, jakby czas zatrzymał się w miejscu, a przed jej oczami pojawił się obraz, który powinna zapamiętać na zawsze. Barwne suknie kuzynek, niczym malejące plamki, wtapiały się w stonowane, ziemiste barwy szkockich pledów. Znikała Anglia, jej miejsce zajmowała nowa kraina, nowy dom Grace. Musiała się z tym zgodzić, musiała przyjąć do wiadomości, lecz nie było to łatwe do zaakceptowania memento.

Pierwsza rozpląkała się Judith. Doskoczyła do Grace, otoczyła ją ramionami, a łzy niepowstrzymane popłynęły po jej policzkach.

- Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez ciebie, Grace - łkała żałośnie. - Tak strasznie będzie nam brakowało twoich opowieści.

Grace spostrzegła błysk zainteresowania, który mignął na twarzy Lachlana Kerrera.

- Jakich opowieści? - spytał.

- Grace ma nieprawdopodobną wyobraźnię. Wieczorami opowiada nam różne historie. - Rumieniec pokrył policzki Judith, kiedy zdała sobie sprawę, że jej słowa przyciągnęły uwagę lairda.

- Jestem pewna, że często będę was odwiedzać. - Grace nie wiedziała, czy tak będzie w rzeczywistości, tym bardziej że Szkoci jak jeden mąż spojrzeli na nią z powątpiewaniem.

Wino zaczęło dawać się jej we znaki, bo rzadko piła tak dużo. Komnata przekrzywiła się, gwar zdawał się dobiegać z oddali. Czuła się jak w nieprawdziwym świecie, jakby to wszystko nie działo się w rzeczywistości. Owszem, zachowała się jak należy, położyła dłoń na ramieniu Judith, uściskały się na pożegnanie, lecz miała wrażenie, jakby wydawała polecenia obcej osobie. Rozstanie z pozostałymi kuzynkami i z wujem było równie nierealne. Jakby wszystkich spowijała mgła, tłumiąca nie

tylko dźwięki, ale także uczucia. Dzięki temu ta bolesna chwila okazała się łatwiejsza do przeżycia. Owszem, nadużywanie trunków jest niewłaściwe, a czasami bywa zgubne, zdarza się jednak, że niesie z sobą błogosławione skutki. Taką oto złotą maksymę wykoncypował podpita Grace, uśmiechając się do siebie smętnie.

Jeszcze pocałunek i uścisk, jedzenie na drogę wciśnięte jej do rąk, otulenie peleryną i cała grupa znalazła się na dworze. Po chwili Grace siedziała już na koniu przed swoim nowo poślubionym mężem, a pośpiesznie zapakowany kufer załadowany na wierzchowca jechał za nimi. Szybkie kroki ku nowemu życiu, rozpacz stłumiona zbyt wieloma kieliszkami doskonałego reńskiego wina.

Wytarła oczy i usiłowała kontrolować sytuację, powrócić do normalności, ale zmęczenie opanowało ją bez reszty. Szukając pociechy, oparła się plecami o masywne ciepłe ciało Lachlana. Nie odepchnęła też jego ramienia, które trzymało ją mocno, nie pozwalając spaść z konia.

Krajobraz umknął z pola widzenia. Jego surowość zatarła się, rozmyła. Grace także pomału zapadła się w niebyt.

- Nie ruszaj się. - Gniewny głos był tuż-tuż, a kiedy gwałtownie otworzyła oczy, świat zaczął wracać na swoje miejsce.

Byli na pogórzcu nieopodal Three Stone Burn, druidycznego kręgu Celtów, wiele mil od Grantley.

I kierowali się dalej na północ.

Daleko od domu. Daleko od jej kuzynek, wuja i ludzi, których znała całe życie.

Szarpnęła się do przodu, napinając mięśnie i próbując zniwelować ucisk spowodowany galopem konia.

Jego konia!

Siedziała na jego koniu. Ogarnęła ją panika, poczuła zimny dreszcz strachu.

- Chcę zsiąść... ppozwoł mi zejść... Chcę zeejść... - Kiedy udało jej się uwolnić, skoczyła, a ziemia tak szybko się przybliżyła, że Grace uderzyła się boleśnie w ramię. Upadła, przekręcając się na bok.

Nie siedziała na koniu od... Potrząsnęła głową. Od tamtej chwili w lesie pod

Yorkiem, kiedy jej rodzice wpadli w zasadzkę i zostali zabici!

Rozdzierające krzyki. Rosnący strach. Napięcie trudne do wytrzymania. A potem cisza.

- Do diabła, co się z tobą dzieje?

Głęboki głos zburzył wspomnienia. Błękitne oczy Lachlana Kerra mrużyły się od ostatnich błysków słońca. Złapał ją za nadgarstek i podniósł z ziemi. Był tak blisko.

Uderzyła go, gdy tylko zwolnił uścisk, a w tym ruchu ujawniły się wszystkie obawy i lęki skumulowane w ostatnich miesiącach. Na twardym policzku, w miejscu, gdzie kant pierścienia Malcolma Kerra dotknął skóry, pojawiła się czerwona krecha.

Puścił ją natychmiast i cofnął się o krok. Mięśnie szczęki mu drgały, kiedy uniósł dłoń do policzka.

- Matko Boska, czyś ty oszalała? Czyżby Dawid kazał mi się ożenić z wariatką?

Zmusiła się do spokoju, przycisnęła dłoń do łomocącego ze strachu serca. Czekala na karę.

Nic takiego nie nastąpiło.

Nie wbił jej ostrego noża w gardło, nie kopnął, nie uderzył zaciśniętą pięścią. Nic prócz ciszy kontrastującej z przenikliwym wołaniem leśnego ptaka wracającego na noc do gniazda.

Ludzie Lachlana wycofali się, zostawiając ich samych.

Przez gęste liście drzew otaczających polanę Grace widziała tylko ich sylwetki.

- Czyżbyś chciała umrzeć?

- Nie. - Wyszepiała to słowo niemal zamkniętymi ustami.

Nie miała nawet czasu, by się zająknąć, bo światło w oczach męża zahipnotyzowało ją. Nie dostrzegła w nich groźby ani ostrzeżenia, jedynie żelazną siłę, nakaz, któremu nie zdoła się przeciwstawić.

- Podaj mi prawą rękę.

Schowała ją za plecami. Po co potrzebował jej ręki? Żeby odciąć ją przy nadgarstku? Połamać palce jeden po drugim? Wyciąć swoje inicjały na dłoni?

- Podaj mi rękę, Grace.

Nienawidziła tego, że podbródek zaczął jej drżeć, nienawidziła łez, które zaczęły zbierać się w oczach, nienawidziła dokuczliwego strachu zaciskającego gardło. A także tego, że wysunęła rękę ku Lachlanowi.

Ujął delikatnie środkowy palec i zdjął pierścień. Zanim jednak puścił jej rękę, poczuła szorstką skórę wnętrza jego dłoni i zobaczyła ślady blizn pod chustką, którą obwiązał nadgarstek.

Nie, to nie blizny. To jakiś znak. Koło rozdzielone dwiema liniami. Błękitny, skomplikowany wzór.

- Ten pierścień to pamiątka rodzinna. Moja babka ma drugi taki sam i jestem pewien, że ten chciałaby dostać z powrotem. - Trzymał go przez chwilę, po czym schował w futrzanym sporrannie.

Już go nie miała.

Co za ulga. Równie niespodziewana, jak wszystkie ostatnie wydarzenia.

Zęby jej dzwoniły, zaczęła się trząść jak galareta, choć próbowała się powstrzymać. Kryjąc dłoń w obfitych fałdach sukni, bezwiednie zacisnęła palce na miejscu, gdzie do niedawna tkwił pierścień.

Wydawało jej się, że nareszcie została uwolniona od kłamstwa! Podziękowała mężowi w duchu za zabranie złotego krążka, symbolu strasznej tajemnicy.

Lachlan przeklinał tę śmieszoną farsę, w którą wmanewrował go król. Ponad dwadzieścia lat bezinteresownej służby odpłacone więzami małżeństwa z kobietą, która bała się własnego cienia. Gdyby to nie było nieodwołalne, może by się śmiał. Widział zdziwienie i pomieszanie na twarzach swoich ludzi, którzy próbowali rozszyfrować charakter jego nowo poślubionej żony, lecz żaden z nich niczego mądrego nie wymyślił. W każdym razie wypowiedane szeptem uwagi i tłumione śmiechy uświadomiły mu, że niezbyt wysoko ją cenili, a tak po prawdzie nadzwyczaj nisko.

A jednak uderzyła go!

Ta przerażona mysz uderzyła go, i to mocno, a w zacienionych głębiach bursztynowych oczu rozpoznał to, co tak często widywał we własnych.

Sekrety.

Odetchnął głęboko, próbując nadać głosowi łagodniejsze brzmienie.

- Czekaj nas jeszcze parę godzin jazdy, bo zanim się zatrzymamy, zamierzam przekroczyć granicę na północ od Carlisle.

- Nie możemy jechać prosto do twojej posiadłości?

Boże, jej jękanie z każdą chwilą stawało się gorsze, pomyślał rozdrażniony, choć wiedział, że to nie jej wina. Zastanawiał się jednak, czy jego małżonka zdoła skleić choćby dwa składne zdania, gdy już dotrą do zamku.

- Nie, bezpieczniej będzie rozbić obóz na pograniczu.

Kiedy zaakcentował słowo „bezpieczniej”, zobaczył, że nie skupia się na jego słowach, tylko oblicza w myśli, ile czasu zajęłoby przebycie tej drogi pieszo.

- Boże, pomóż mi - mruknął zdesperowany, szczerze żałując, że nie jest teraz w domu, w ramionach kochanki.

Tymczasem był skazany na kobietę, która się jękała, trzęsła i kłamała, a na dodatek bała się koni.

Lady Grace Stanton. Nie, poprawił się, kiedy dosiadł konia i posadził ją przed sobą, od teraz lady Grace Kerr.

Jego żona.

Policzył w duchu, ile godzin będzie musiał spędzać w jej towarzystwie. Pokrzepił się myślą, że niewiele. Może był bardziej podobny do swego ojca, niż sądził. Uświadomienie sobie tego sprawiło, że poczuł się niepewnie.

Marzła. Naprawdę marzła. Choć owinięta w pelerynę, koc i trzy szale, nie była w stanie powstrzymać dreszczy, które obudziły ją dobrą godzinę temu. A teraz na dodatek musiała iść za potrzebą.

Było ciemno. Czarno. Drzewa w lesie wydawały się sięgać atramentowego nieba, a księżyc, który tkwił wysoko, kiedy wreszcie dotarli do tego miejsca, przemieścił się niżej i teraz był tylko małym, ledwie widocznym na horyzoncie sierpem w otoczce mgły.

Dziesięć stóp od niej leżał Lachlan Kerr, na gołej ziemi, bez kawałka koca czy

poduszki. W nikłym świetle ogniska widać było krople rosy na jego kruczoczarnych włosach. Nawet we śnie trzymał sztylet przy udzie, odruchowo zaciskając palce na rękojeści.

Wstała i zaczęła się przesuwać ku niemu, zamierzając potrząsnąć nim, by się obudził, jednak gdy tylko usłyszał szelest, otworzył oczy i przysiadł na udach szybkim, pełnym wdzięku ruchem.

- Muszę iść za potrzebą - powiedziała gładko, bez żadnych „aa” czy „pp”.

Nie poruszył się, tylko pytająco zmarszczył brwi.

- Jest bardzo ciemno. - Spojrzała znacząco w kierunku drzew na skraju polanki.

On zaś patrzył na nią ze zdziwieniem.

- Chcesz, żebym z tobą poszedł?

- Nie żeebyś ppatrzył, roozumiesz. Tylko pipilnował. - Do diabła. Jąkanie powróciło z całą siłą. Pomasowała się między obojczykami, by zmniejszyć ucisk w gardle.

- Pilnować przed czym? - Roześmiał się donośnie.

Przed duchami zmarłych i duszami tych, którzy ledwie przedarli się przez cienką zasłonę czasu.

- Nie jeestem ppewna. - Ta niepewność obezwładniała ją.

Czy powinna zaryzykować? Czy mogła udać się w ciemny, groźny las, oświetlony ledwie widocznym sierpem księżyca? Czy będzie tam bezpieczna?

Krzyki Ginny, a później cisza. Szepty Stephen'a. Pod nimi głęboka przepaść, a nad nimi błękitne, jakże czyste niebo.

- Grace?

Głos Lachlana wyrwał ją ze wspomnień. Małżonek zbliżył się do niej, twarz miał poważną, już się nie śmiał.

- Pójdę z tobą.

Czuła ciepło jego palców na skórze nawet przez rękawy sukni. Z zadowoleniem przyjęła to wsparcie, kiedy ruszyli po nierównym terenie w stronę rzeki.

Gdy doszli do polanki, która zapewniała trochę prywatności, Lachlan zatrzymał

się i puścił jej ramię.

- Zaczekam tutaj.

- Obiecujesz? Nie wrócisz do obozu? Nie zostawisz mnie tutaj? - Miała nadzieję, że nie widzi rumieńca, który spłynął na jej policzki.

- Jeśli zaraz nie wrócimy, moi ludzie zaczną nas szukać. - Tym razem w jego słowach pojawiło się coś na kształt rozbawienia.

Boże, a ona straciła tyle czasu na niczym. Odsunęła się od niego i przykucnęła za drzewem, nie spuszczać z oczu sylwetki męża.

Potem dołączyła do niego i spojrzała w niebo.

- Czy czasem zastanawiasz się, czy tam, w górze, coś jest? Jakies inne miejsce, oot, choćby podobne do tego?

- Nie.

Ta wyjątkowo krótka odpowiedź nie zniechęciła jej.

- Ojciec opowiadał mi kiedyś o Arystarchu z Samos, greckim filozofie. Arystarch uważał, że ziemia obraca się wokół słońca.

- Uwierzyłaś w to?

- Tak, chociaż z twojego głosu wnoszę, że ty w to niee wierzysz.

- Święta Księga mówi, że ziemia jest środkiem wszystkiego. - Zmarszczył czoło i spojrzał w górę. - Pożyteczna sztuczka, nie sądzisz? Bardzo im ułatwia dbanie o własne interesy.

- Im? Mówisz jak niedowiarek.

- Kiedyś byłem inny - mruknął, jakby chciał zakończyć temat. - Czy mi się zdaje, czy znacznie mniej się jąkasz?

- Och, tak naprawdę jąkam się tylko wtedy, kiedy o tym mmyślę.

Potknęła się o wystający korzeń. Błyskawicznie wyciągnął rękę i przyciągnął Grace do siebie, ratując przed upadkiem.

Przez chwilę, w ciszy wczesnego poranka, czuła się bezpieczna, co nie zdarzyło się jej od bardzo dawna. Jakby niebo przyszło jej z pomocą

Noc poślubna...

Nie była tak straszna, jak się tego spodziewała. Mąż towarzyszył jej do lasu i został z nią, kiedy go o to poprosiła, a potem gawędził z nią z zainteresowaniem, choćby i udawanym, słuchał jej wyjaśnień o gwiazdach usianych na nieboskłonie i okazał troskliwość, powstrzymując przed upadkiem. Próbowwała opanować dreszcze, które nią wstrząsały. Była rada, kiedy wreszcie dotarli do polany.

- Za jakieś dwie godziny zwijamy obóz, a ponieważ czeka nas długa jazda, radziłbym ci spróbować się przespać.

- Gdybyśmy pposzli pieszo, ile czasu by nam to zabrało?

Śmiech był jedyną odpowiedzią. Lachlan położył się, a żar z ogniska oświetlał mu twarz.

- Idź spać, Grace. - Zamknął oczy.

Podobał się jej sposób, w jaki to powiedział. Gaelicki akcent nadał temu pospolitemu krótkiemu imieniu nutę egzotyki. Wtuliła się w koce i dotknęła ślubnego pierścienia. Był to szmaragd osadzony w złotym złocie, a w środku były wyryte inicjały L.K.

Z tej odległości dobrze widziała profil męża. Najprzystojniejszy laird w całej Szkocji. Słyszała, jak mówią tak o nim za każdym razem, kiedy ktoś wypowiedział jego imię. Ironia losu, jeśli wziąć pod uwagę jej brak urody i wdzięku. Miała tylko jedną zaletę, a mianowicie okazały posąg.

Poczuła głuchy ból na myśl o tym, kim jest.

Brzydka. Pod ubraniem też. Pogodziła się z tym faktem już dawno, nie burzyła się na niesprawiedliwość losu, pilnowała się tylko, żeby nie spoglądać zbyt często w lustro. Łykała łyzy, nienawidząc bolącej kuli w gardle. Nie miała już siły marzyć o cudzie, o nagłej przemianie w kogoś innego, nie modliła się już o tajemne zioła, które wyleczą jej skórę, sprawią, że stanie się miękka i gładka. Nie błagała już Boga o to, by zdjął z niej piętno jąkały, by podarował jej potoczystą mowę.

Odetchnęła głęboko, zamknęła oczy i zaczęła się modlić o spokój, masując przy tym zmarznięte, obrzękłe uda.

Aż wreszcie zapadła w sen, tracąc kontrolę nad głupimi marzeniami...

Usiadła na królewskim podium, patrząc na męża, który brał udział w turnieju. Przed chwilą opasała go szarfą, on zaś oświadczył, że jest jej rycerzem, po czym narwał na przeciwnika. A kiedy było po wszystkim... och, z jaką łatwością powalił potężnego przeciwnika... ukląkł przed nią w hołdzie, zgodnie z rytuałem dworskiej miłości, a twarze zgromadzonych dam wyrażały pragnienie, by to one były na jej miejscu, by to ich miłości szukał...

Uśmiechnęła się przez sen.

Lachlan nasłuchiwał, kiedy poprawiała koce, zadziwiony faktem, że potrzebowała tyłu nakryć na noc, którą uważał za niemal... ciepłą.

Widział jedną małą stopę tonącą w grubej wełnianej pończosze. Grace Stanton nie miała nic wspólnego z opowieściami, które usłyszał na dworze. Rzeczywiście była oryginalna, niemniej było w niej coś, co go intrygowało. Jej wyobraźnia, uznał po dłuższym namyśle, przypominając sobie miękkość jej skóry, kiedy podtrzymał jej ramię, by się upewnić, że nie upadnie.

Chciała iść pieszo do Belridden i wierzyła, że gwiazdy krążą wokół słońca zgodnie z tym, co twierdził pewien grecki filozof. Pomyślał o rękopisach opisujących niebo, które jego ojciec przywiózł do domu z Anjou. Ciekawe, gdzie są teraz. Pewnie zostały sprzedane, podobnie jak cała reszta skarbów Kerr, kolejny ochłap rzucony na ofiarę pogłębiającego się uzależnienia od hazardu.

Lachlan od lat rzadko wspominał ojca, a jednak teraz w ciągu jednego dnia pomyślał o nim dwukrotnie. Dobre czasy... Dobre, zanim picie sprawiło, że Hugh oszalał i cichy, dręczący duszę smutek eskalował straszliwie, przemieniając się w brutalną nienawiść.

Nic nie trwa wiecznie. Ani śmiech. Ani szczęście. A z pewnością nie miłość. Jedyne, na co człowiek mógł liczyć, to ziemia, a ziemia Kerrów pilnie potrzebowała nie tylko pracy, nie tylko ludzkich starań, ale wspomnienia w inny sposób, a to zapewni jej złoto Stantonów.

To wszystko, czego oczekiwał. Gdyby rozbuchał swe pragnienia, gdyby nie nałożył na nie wędzidła, czekałyby go tylko rozczarowania, z którymi tak bardzo był

zbratany, lecz nie marzył o dalszej z nimi więzi.

Położył głowę na gołej ziemi.

Od jego powrotu do Szkocji toczyły się walki. Za czasów regencji Roberta Stewarda rząd właściwie przestał istnieć, zapanowała anarchia, właściciele ziemscy obrośli w piórka, sobiepaństwo i bezprawie stały się normą. Król Dawid z wielkim trudem przywracał monarszy autorytet, odtwarzał zręby państwa, na powrót wprowadzał ład, porządek, nadrzędną władzę. Porządkował też finanse państwa, zadanie ważne również i dlatego, że musiał spłacić gigantyczny okup Anglikom za swoją wolność, nie tylko więc zwiększył podatki, lecz też znacznie usprawnił ich ściąganie. W perspektywie mogło to być korzystne dla gospodarki Szkocji, ale rzecz jasna moŜnym to się nie podobało, godziło bowiem w ich egoistycznie pojmowany interes, w którym dobro ojczyzny w ogóle nie istniało. Niewiele brakowało, by król Dawid, którego historia z pewnością nie zapisze w poczet najwybitniejszych władców, stał się żalosaną marionetką w ich rękach, czego najlepszym dowodem było morderstwo królewskiej kochanki.

Czy król podoła zadaniu i dla Szkocji nastaną lepsze czasy? Dawid wrócił do ojczyzny już jakiś czas temu, a wszystko nadal jest nie tak, państwo wciąż trzeszczy w posadach. Zaiste, zadanie przed nim stało heroiczne, a wieloletnia niewola przyniosła niepowetowane straty również i w psychice króla, który poważnie rozważał abdykację na rzecz angielskiego królewicza. A przecież Dawid był z krwi Roberta Bruce'a, niezłomnego szkockiego patrioty i najmądrzejszego z władców, którzy władali tą ziemią!

Lachlan potrząsnął głową. Trapił się losami ojczyzny, należał do tych nielicznych, którzy coś więcej widzieli poza swoim klanem, swoim kawałkiem ziemi, swoim ciepłym łozem. Gdyby król Dawid tak długi czas nie był angielskim jeńcem na skutek przegranych bitew, Szkocja byłaby innym krajem.

Lachlan po raz tysięczny żałował, że Robert Keith, nauczyciel fechtunku w Normandii, nie nalegał na bardziej rygorystyczny trening dla królewskiego ucznia.

Ale cóŜ, stało się, a teraz sytuacja wciąż była niepewna, wręcz groźna. Wprawdzie król Dawid coraz mocniej chwycił cugle władzy, lecz nie siedział jeszcze dość

pewnie na tronie i możnowładcy, wietrząc w tym szansę, szykowali się do buntu. Lachlan wiedział, gdzie jest teraz jego miejsce: przy królu. A jednak tkwił tutaj, ciągnąc do domu żonę na ziemię, których prawie nie znał. Żonę, która teraz leżała na boku z dłońmi pod głową, a jej gęste rude włosy słały się wokół niej.

Nie była taka brzydka, jak mu mówiono, nie była też odpychającą, komiczną dziwaczką, wariatką może. Nagle zapragnął, by otworzyła te swoje dociekliwe oczy i znów zaczęła z nim rozmawiać. Boże, jaka to ulga i przyjemność takie z nią gawędzenie. Kobiety w jego towarzystwie imaly się flirtu i kokieterii, tylko to było im w głowie, a Lachlana już to znudziło śmiertelnie. Jak długo można bawić się w takie próżne gierki, jakby świat cały był tylko pustotą i blahą rozrywką. A tu spotkała go miła odmiana. W ogóle wszystko stawało się inne, jakby trochę na opak. Uśmiechnął się do siebie. Ot, choćby ta czerwona pończocha, którą Grace nosiła na prawej stopie, zupełnie nie pasowała do niespokojnego snu, a kostki były bardziej niż kształtne, choć fama głosiła, że lady Grace Stanton to powykrećcana na wszystkie strony kuternoga.

- Boże - szepnął i odwrócił się, próbując zasnąć, próbując nie słuchać stłumionego oddechu swojej nowo poślubionej i jakże niezwyklej żony.

Rozdział trzeci

Rankiem, jeszcze zanim świt wstał na dobre, przy Lachlanie przykucnął Connor. Twarz pałała mu gniewem.

- Twoja żona miała przy sobie to. - Postawił małe, wysadzone klejnotami pudełko na ziemi.

Laird Kerr natychmiast rozpoznał szkatułkę.

- Jak ją znalazłeś?

- Wypadła spomiędzy ubrań, kiedy przenosiliśmy zawartość kufra lady Grace do naszych sakw. Koń Iana uginał się pod ciężarem ładunku, doszliśmy więc do wniosku, że lepiej będzie, jak rozdzielimy go pomiędzy siebie.

- Czy ona o tym wie?

- Nie widziała nas, jeśli to masz na myśli.

Lachlan skinął głową i wcisnął szkatułkę do swego sporranu, wiedząc, że tym sposobem będzie dobrze ukryta.

Malcolm dostał tę rodzinną pamiątkę na trzynaste urodziny od dziadka, toteż kiedy drogocenne kamienie, którymi było wysadzone wieko, zamigotały w świetle poranka, pamięć o bracie dopadła Lachlana na nowo, przypominając mu, jak to wszystko się skończyło.

- Kto jeszcze wie? - Zerknął na wciąż pogrążoną we śnie żonę.

- Ian widział. I James. Myślisz, że Malcolm jej to dał?

- Znając wartość szkatułki, wątpię, ale nie mów o tym nikomu i dopilnuj, żeby Ian i James również trzymali język za zębami. - Przerwał, bo coś go zaniepokoiło w obecności skarbu, który Malcolm tak cenił.

- Będziesz ją chronił?

- Na razie.

- Jeśli Eleanor się dowie, że ona miała...

- Nie dowie się.

- Twoja babka to przebiegła kobieta, Lach, i od początku jest przekonana, że

twój brat padł ofiarą morderstwa. Może to twoja żona go zabiła?

- Jeśli Grace Stanton zabiła Malcolma - rzekł twardo - sam się nią zajmę. Zrozumiano?

Jednak Connor miał jeszcze coś do powiedzenia:

- Król nie będzie od ciebie wymagał, żebyś pozostał mężem morderczynie.

- Król potrzebuje tych ziem, a dzięki jej posagowi wszystkim w Belridden będzie się żyło dostatniej i bezpieczniej.

- A ty? Co z twoim życiem? Co z nocami, podczas których będziesz leżał bezsennie w małżeńskim łóżu z szyją wystawioną na ciosy?

- Myślisz, że będzie leżała obok mnie?

Tłumiąc wściekłość, spojrzał na żonę, która wygrzebywała się spod stosu koców. Suknia, którą miała na sobie, była poplamiona i pognieciona, a jednak kiedy Grace przeciągnęła się, a słońce zaśniło w jej płomiennorudych włosach, niczym jedwab spływających na plecy i sięgających zaokrąglonych bioder, kusił go i sprawił, że poczuł się dziwnie poirytowany.

- Powiedz lady Kerr, że za pół godziny zwijamy obóz. I znajdź jej kogoś, z kim pojedzie.

- Nie weźmiesz jej na swego konia?

- Nie.

- W takim razie może jechać ze mną.

- Bardzo dobrze. - Lachlan przerzucił pled przez ramię, kompletnie ignorując zatroskane spojrzenie żony.

Odwrócił się w kierunku lasu, minął rząd młodych drzewek i poszedł ku rzece, by zyskać chwilę samotności na zastanowienie się nad tym wszystkim, co stało się w ciągu ostatnich kilku dni.

Jego życie przewróciło się do góry nogami, a jednak pewne rzeczy pozostały niezmiennie. Zdrada, która prześladowała go od chłopięctwa, była równie odrażająca u tej żony, jak u poprzedniej.

Prześwit między drzewami pozwolił mu na ponowne zerknięcie na lady Kerr,

która właśnie próbowała zetrzeć smugi kurzu z kosztownej sukni. Delikatna wełna spódnicy napinała się na jej krągłych pośladkach.

Gorąco napłynęło mu do łędźwi. Poczul się dziwnie wytracony z równowagi, a las i jego ludzie jakby gdzieś się rozplynęli. Boże, co się dzieje? Czyżby dołała czegoś do wina w Grantley, trucizny, która zmaciła mu umysł i wzbudziła żądze? Jego kochanka była gorącokrwista, hojnie wyposażona przez naturę i oferowała się bez żadnych warunków, a jednak przy niej nie odczuwał takiego podniecenia.

Nigdy, ani razu, nawet na samym początku, gdy ledwie zabiegał o jej względy.

Grace Stanton, rudzielec z szorstką, obrzękniętą skórą, nie powinna mieć żadnych szans w konkurencji z urodziwą i nadzwyczaj kobiecą Rebeccą, a jednak... No właśnie, a jednak w sukni zapinanej wysoko pod szyją, pokazującej niewiele poza czubkami palców i skrawkiem wygiętej szyi, była osobliwie zmysłowa.

Ta myśl go zdumiała.

Jak?

Jak ona to zrobiła?

Jak to się działo, że kobiecie tak skromnie obdarzonej przez naturę udawało się być tak ponętną? Czy jego brat czuł to samo?

Nie pozwolił sobie na dalsze rozważania na ten temat, choć pytanie, czy przekleństwo Aleca Dalbetha będzie ciążyć na rodzinie Kerrów już zawsze, nie dawało mu spokoju.

„Wasz zamek popadnie w ruinę, a każda miłość, która rozpali wasze serca, rozsypie się w proch w coraz mroczniejszych dniach waszego klanu”.

Minęło wiele lat, odkąd jego ojciec wygnał księdza z ich ziem, obejmując jedną ręką kochankę, która była powodem jego rozejścia z Kościołem, a w drugiej dzierżąc butelkę. Jednak słowa zawisły w przestrzeni między oddalającymi się końmi a zamkiem, frontowe drzwi w Belridden zaś zacięły się. Mrok nadszedł podstępnie pod postacią coraz mocniejszych trunków, a ojciec, który zbyt późno dostrzegł, jak bardzo grzeszne są jego uczynki, wybrał tak bardzo egoistyczne wyjście.

Wisielca znaleźli Malcolm i Lachlan. Ojciec umocował sznur na środkowej bel-

ce podtrzymującej sklepienie kaplicy, zadzierzgnął pętlę na swej szyi, rzucił się w dół. Pod jego nogami leżał przewrócony metalowy kufel, zupełnie jakby ojciec pociągnął ostatni łyk dla nabrania odwagi przed przekroczeniem bramy piekła.

Zaklął z wściekłością. Był czas, kiedy podziwiał ojca, lecz słabość, którą okazał w ostatnich latach życia, przekreślała wszystko. Mawia się, że człowiek jest sumą swych uczynków, ważne, co przeważa, dobro i mądrość czy zło i głupota. Są jednak takie uczynki, które przekreślają wszystko inne i stają się jedynym wizerunkiem człowieka...

Z tych rozmyślań obudził go instynkt. Coś było nie tak. Jakiś ruch, jakieś szmer uchwytny tylko dla nadzwyczaj wprawnego ucha. Lachlan rozejrzał się czujnie. Na drugim brzegu rzeki przez poszycie skradała się grupa mężczyzn z bronią lśniąca w pierwszych promieniach słońca. Elliotowie albo Johnstonowie, sąsiadujące klany, którym Kerrowie nie mieli powodu ufać. Z tej odległości nie był w stanie rozróżnić barw pledów.

Niedługo dotrą do zakrętu, za którym rzeka płynie wolniej, i przeprawią się na tę stronę, tego Lachlan był pewny. Wyjął z pochwy obosieczny miecz i zaczął się ostrożnie wycofywać. Dwudziestu przeciwko czterdziestu, przeliczył w myślach, bo na taką siłę oceniał intruzów. A jednak nie zamierzał rejterować, nie ogłosi odwrotu, a faktycznie ucieczki. Bo liczby to nie wszystko. Lachlan wiedział doskonale, co warczą jego ludzie. Trudno byłoby znaleźć lepszych wojowników. Czuł moc swojego oddziału, czuł przedsmak bitewnego podniecenia.

Czy to jednak wystarczy? Proporcja jeden do dwóch, a tamci nie przyszedli tu po to, by kornie złożyć głowę pod topór. Porzucił jednak defetystyczne podszepty, wiedział bowiem, jak bardzo osłabiają woja w boju. Nie chciał nawet myśleć o możliwości przegranej.

Rzucił się biegiem ku swoim. Gałąź uderzyła go mocno w twarz, druga rozcięła goleń, zignorował jednak to.

Kiedy wybiegł z młodnika, Grace, która stała oparta o konar drzewa z boku obozowiska, obróciła się ku niemu tak samo jak pozostali. W jej oczach pojawił się

łęk. Domyślił się, że próbowała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. Przyciągnął ją do siebie i umieścił pośrodku kręgu, który utworzyli jego ludzie.

- Osłoń głowę i zamknij oczy! - zawołał, błyskawicznie zajmując miejsce między Connorem a Ianem.

Wrogów było już widać między rzadziej rosnącymi drzewami. Ponad czterdzie-
stu, może nawet pięćdziesięciu. Lachlan mocniej ujął miecz.

Grace patrzyła na plecy lairda Kerra. Oddychał miarowo, głęboko wciągając powietrze. Raz, dwa, trzy razy, a potem cisza, echo złowrogiego niebezpieczeństwa okiełznane stalową wolą.

Wspaniały. Ta myśl pojawiła się znikąd, kiedy uniósł miecz, a jego mięśnie naprężyły się. Czekał. Mężczyzna zahartowany na wojnie, który doskonale wiedział, co to zabijanie i strach. Tkanina koszuli zsunęła się, biała na tle brązowej skóry, napiętej, perfekcyjnej. W miejscach, gdzie ostrza broni jego wrogów przecięły kiedyś mocne mięśnie przedramienia, dostrzegła blizny. Po chwili grupa z drugiej strony rzeki dotarła do polany i cały las zamilkł.

- Kto idzie? - W słowach jej męża nie było strachu, a emanujący z niego spokój otoczył ją niby pancerz.

Potężny wojownik, pewnie wódz napastników, postąpił krok naprzód.

- Alistair Elliot. Nie przypominam sobie, żebym udzielił ci pozwolenia na przejście przez moje ziemie, Kerr.

- Dawid cię nie powiadomił?

- Król? - Elliot nie był już taki pewny siebie, a spojrzenia jego wojowników nabrały czujności.

- Z upoważnienia Dawida przywożę żonę z jej domu w Anglii.

Głuchy głos męża dał jej aż nadto do zrozumienia, jak wiele to wyznanie musiało go kosztować.

Żona, której pewnie się wstydził, na dodatek Angielka i wizja czekającej go walki, która mogła kosztować życie kilku jego żołnierzy.

Alistair Elliot pokręcił głową, a kiedy zobaczył Grace, w jego oczach pojawiło

się bezgraniczne niedowierzenie. Poczwała rosnące napięcie Lachlana Kerra, a mężczyźni wokół niej zwarli szereg, likwidując szpary i tworząc solidną ochronę dla kobiety, wobec której nie mieli żadnych zobowiązań, a na dodatek jej nie lubili. Uderzyła ją ta myśl. Będą walczyć i umrą, by zapewnić jej bezpieczeństwo, tylko dlatego, że Kerr sobie tego życzył.

- Twoja żona wygląda na słabowitą. Jesteś pewien, że wzięłaś właściwą kobietę?

- Obraza była jawna, rzucona bez ogródek

Grace wyprostowała się z godnością. Alistair Elliot nie był wysłannikiem pokoju. Szukał zwady, prowokował, a jego bezczelne, złe słowa budziły demona wściekłości i rewanzu, największych wrogów rozumu. Zawisły między Kerrami a Elliotami, domagały się krwawych czynów.

Lachlan gestem wskazał, by wojowie się cofnęli, przez co pusta przestrzeń na polanie jeszcze się powiększyła.

- Jesteś gotów poświęcić swoich ludzi za potwarz, której właśnie się dopuściłeś, czy masz w sobie na tyle odwagi, by stanąć do walki ze mną sam na sam? - Jego wzrok słał zimne, lodowate przesłanie. Błękitne przesłanie śmierci.

Dotąd tak zuchwały Alistair Elliot nagle cofnął się o krok, po czym szybko dotknął miecza u boku i sprawdził uchwyt. Czekał.

Czas jakby stanął w miejscu, a szepty tych, którzy zaczęli mieć wątpliwości, zakłóciły ciszę.

- Daję słowo, że jeśli staniesz do walki ze mną i zwyciężysz, będziesz mógł zatrzymać całą naszą broń. - Lachlan mówił ze spokojem, obojętnie, jakby jego śmierć była bez znaczenia, a uzbrojenie przedstawiało większą wartość niż jego życie.

- I mam na to twoje słowo?

- Moje słowo albo życie twoich ludzi, to mi obojętne. A może się boisz?

Alistair Elliot ciął błyskawicznie mieczem, lecz lśniaca gładka stal o dobrych parę cali minęła gardło Lachlana. Moment zaskoczenia został bezpowrotnie stracony, jeśli w ogóle można o nim mówić przy takim rycerzu jak laird Kerr.

Grace musiała stanąć na palcach, by cokolwiek widzieć ponad ramieniem woja,

który stał przed nią. Serce waliło jej tak mocno, że aż dudniło w uszach.

Jeśli jej mąż zginie, co wtedy?

Odwiozą ją z powrotem do Grantley? A może jej ręki zażąda ktoś inny? Mieszkańcy Belridden nie rozstaną się tak łatwo z jej pieniędzmi, w ogóle wątpiła w ich zasady. Boże, mężczyzna, który właśnie okrażał przeciwnika, czekając na sposobność ataku, chociaż wcale o nią nie dbał, stawał się jej obrońcą.

Głuche uderzenie stali o stal zabrzmiało tak głośno, że zatkała uszy, by odgrodzić się od hałasu. Nie była to ładna, elegancka, pełna gracji walka turniejowa, ale brutalne, gwałtowne wypady dwóch mężczyzn, którzy dążyli do zabicia przeciwnika przy pierwszej nadarzającej się sposobności. I omal tak się nie stało, kiedy Lachlan odparował cios, uderzając przy tym stopami o korzenie rosnącego za nim wiązu i tracąc równowagę. Zaraz zapłacił za ten błąd. Ostrze Elliota trafiło go w lewe ramię, zostawiając głęboką ranę. Wojownicy z klanu Kerrów zamruczeli, jednak Lachlan nakazał im się cofnąć.

- Nie. Stójcie spokojnie. Dałem słowo, a poza tym to tylko draśnięcie.

Nie patrzył na nią, mówiąc te słowa, w ogóle w żaden sposób nie okazał, że mu na niej zależy. Grace próbowała uchwycić jego spojrzenie, przekazać mu, że jest co najmniej wdzięczna za ochronę, ale nie pozwolił jej na to. Mimo dramatycznej sytuacji jego obojętność rozgniewała ją, a wizja małżeństwa stała się jeszcze bardziej ponura i niejasna. Ciekawe, jak długo pozostanie mężatką, skoro jej mąż zupełnie nie dba o swoje życie?

W miarę upływu czasu tempo walki uległo zmianie. Początkowa zapalczywość podobna nawałnicy ustąpiła rozwadze, uważnemu mierzeniu sztychów. Pchnięcie i kontra, ruchy, choć błyskawiczne, a jednak przemyślane, antyczni herosi stali się teraz jakby podobni skorpionom, skrytym, szybkim jak błyskawica, nieuchronnym zabójcom.

A jednak tylko jeden z nich był prawdziwym herosem i skorpionem zarazem. Tylko jeden z nich był wojem niezwyciężonym.

Lachlan Kerr poruszał się z wdziękiem rzadko widywanym u potężnie zbud-

wanych mężczyzn. Każdy jego ruch był starannie mierzony i wykonany, niezwykle popis mistrza, który nic nie zostawia przypadkowi. Alistair Elliot, posturą podobny Herkulesowi, był tylko zwykłym zabijaką. Przywykł do tego, że samą siłą uderzenia porażał przeciwników, i obecnie płacił za brak szermierczego kunsztu najwyższą cenę: namachawszy się mieczem bezproduktywnie, teraz tracił siły, jego ciosy były coraz słabsze. Zebrał się jednak do następnego ataku - i spotkał się z przemyślaną, perfekcyjną kontrą. Lachlan, wykorzystując masę Elliota, pchnął go w tę stronę, w którą właśnie się przeginał, by potem rozprostować się i zaatakować z impetem. Nie rozprostował się, nie zaatakował, tylko runął na ziemię. Ostrze miecza lairda Kerra zatrzymało się na jego gardle.

Grace zdała sobie sprawę, że jej mąż za chwilę zabije bezbronno człowieka, narażając się na gniew boży. A co z Dekalogiem? A co z męką Chrystusa dla naszego zbawienia? A co z nakazami chrześcijańskiej miłości? A co z obietnicą życia wiecznego?

- Nie! - Jej rozpaczliwy krzyk zaskoczył wszystkich. Wojowie obydwu klanów wlepili w nią wzrok. Ona zaś, niesiona boską prawdą, wyprostowała się najbardziej, jak zdołała, i przemówiła: - Oon nie ma broni, a jeśli go zaabijesz, Bóg cię skaarze.

Po tym oświadczeniu nastąpiło milczenie, a potem w wojach wezbrał gniew, który zjednoczył oba klany.

- Wariatka czy tylko słaba na umyśle? - Pytanie to zadał Alistair Elliot, powalony rycerz.

Jego głos, choć zdławiony, był pełen tak zjadliwego niedowierzania, że Grace dała się ponieść gwałtownej wściekłości:

- Może raczysz rozważyć, paanie, znaczenie moich słów, a nie moje jaja-kanie.

- *A Dhia, thoir cobhair*, czy ona znowu mnie obraża?

O dziwo, Lachlan uśmiechnął się lekko i uniósł miecz znad gardła powalonego przeciwnika.

- Wstawaj, Elliot, i bądź wdzięczny, że moja żona jeszcze nie nabrała szkockich

zwyczajów. Myśli, że wyświadcza ci przysługę.

Zapadła pełna napięcia cisza. Od tego, co teraz powie Alistair Elliot i w jaki sposób to uczyni, zależał dalszy rozwój wypadków. Poleje się krew czy rozejdą się w pokój? Możliwości manewru nie były zbyt duże - szkoccy wojowie zwykle opowiadali się za pierwszym sposobem przy rozwiązywaniu konfliktów - jakieś jednak istniały. I Elliot je wykorzystał:

- Jeśli usłyszę, że udusiłeś ją w nocy, Kerr, będę wiedział dlaczego. - Roześmiał się, a po chwili jego drużyna zebrała broń i wycofała się.

Ciasny krąg wojów rozstał się i Grace została wreszcie uwolniona z tego uciążliwego więzienia.

- Nie zostawili broni, a jednak ty wywygrałeś.

- Tak myślisz? Myślisz, że wygrałem?

- Nno ttaak... - Przez moment zdawało się jej, że mąż podniesie na nią rękę, tak silnie odczuwała jego wściekłość.

- Wiedz o tym, żono, że następnym razem, kiedy przyjdzie ci do głowy mi rozkazywać, zostaniesz ukarana. Surowo ukarana.

Przepychając się obok niej, przycisnął dłonią ranę na ramieniu, z której sączył się czerwony strumyk krwi, znaczący jego ślad w drodze do lasu.

Ponad wszelką miarę skonfundowana wbiła wzrok w ziemię. Nie chciała już dalszej krytyki, wystarczy!

- Pani, możesz jechać do domu ze mną - oznajmił Connor lekceważącym tonem.

Kiedy odwrócił się, zanim zdołała zaprotestować, poczuła łyzy piekące pod zmęczonymi powiekami. Nikt tutaj nie dbał o maniery. Nikt nie prawił choćby zdawkowych grzeczności. Uratowała jedno życie i jedną duszę, a ci mężczyźni byli zbyt aroganccy, by zdać sobie sprawę z tego, że im pomogła. Trzymając wysoko głowę, oparła się o gałąź dębu i zaczęła rozważać, ile czasu zajęłoby jej dojście na piechotę do zamku Kerrów w Belridden.

Lachlan z wysiłkiem hamował gniew, który wzbudził w nim postępek Grace. Żona przyniosła mu wstyd. Wiedział z całą pewnością, że do wieczora wieść o tym

wydarzeniu rozejdzie się po okolicznych hrabstwach lotem błyskawicy. Laird Kerr przywołany do porządku przez brzydką Angielkę, którą był zmuszony poślubić.

Do diabła. Powiedział jej, żeby zamknęła oczy i zakryła głowę, a tymczasem... tymczasem przemówiła tym swoim drżącym głosem, wyjąkując swoją prawdę w sposób, którego nikt poza nią nie mógł sobie wyobrazić. Zacisnął dłonie na bolącym ramieniu. Skóra rozeszła się na boki, odsłaniając ziejącą ranę.

Powinien był zabić Elliota, bo to cięcie oznaczało, że został poszkodowany, a jego przeciwnik wyszedł z walki cało.

W miejsce wściekłości pojawił się osobliwy smutek. Jego pierwsza żona była dziwką, a ta papłą. Przekleństwo Dalbetha ciążyło mu strasznym brzemieniem, walka z nim wydawała się bezcelowa, a pustka w jego życiu miała trwać aż po ostatnie dni. Nie chciał już dłużej nic sobie wyobrazać, pozbył się wszelkich marzeń, nie chciał o nic zabiegać. Wiedział, jak bardzo zubożył przez to sam siebie, ale tylko taką ścieżkę losu mógł wybrać.

Odetchnąwszy głęboko, zaczął nasłuchiwać leśnych ptaków. Życie. Jego życie. Jedno jedyne życie. Nie był religijny, nie w Bogu więc szukał pociechy. W ogóle jej nie szukał. Samotny w głębi duszy, zamknięty w sobie, nauczył się maskować i swoje zniechęcenie, i swoje niedowiarstwo, bo to chroniło go przed skutkami przekleństwa ciężącego na Kerrach i dziwactwami prymitywnej religii. Wiedział, co i kiedy powiedzieć, jak się zachować, to wystarczyło. Nikt nie znał jego prawdziwych myśli i uczuć, nikt na przykład nie wiedział, jak rodowa klątwa zminimalizowała jego pragnienia. Skoro przeklęta została miłość, nie będzie miłości. To takie proste, by uciec od złej mocy. Wybrał nieskomplikowaną drogę. Żył z mieczem w dłoni tak długo, że prawie nie pamiętał, jak było przedtem, i tym łatwiej znajdował się w obecnej rzeczywistości.

Kiedyś...

Kiedyś był młody i pełen nadziei. Przebiegał przez północne lasy wraz z bratem i piękno dane przez Boga widział w kształcie liści czy barwach pierwszych wiosennych kwiatów. Czuł, że można żyć w sposób, który nie zawiera tyle śmierci, bolesnej

straty i rozpaczy.

Jeśli go zabijesz, Bóg cię skarże. Słowa Grace, mniejsza o jąkanie, obudziły w nim te wspomnienia. Była kobietą, która wciąż wierzyła w moc duszy i w ciemność, w którą jego dusza może zostać wtrącona. Skrzywił się. Nie wiedziała nic o jego życiu, nie była w stanie zrozumieć, że jest za późno na to, by się martwić o jego zbawienie albo sporządzać mapę niebiańskiej podróży dla resztek ludzkich uczuć, które wciąż w nim tkwiły.

Jego życie! Przypomnił sobie swoje palce zaciśnięte na szyjach tych, którzy byli gotowi wesprzeć wrogów Dawida, gdy rozmowy nie doprowadziły do niczego, a nad rozbitą, osamotnioną monarchią znów zaczęły gromadzić się czarne chmury.

- Boże, Stwórcu i Panie wszechrzeczy... - Błagalną modlitwę dokończył w duchu, ledwie poszeptując pojedyncze słowa. Zagłębił się w nią całkowicie, choć nie wierzył w jej przesłanie. A jednak sam akt przyniósł mu ulgę.

Nie, dobroć tej kobiety, która kierowała się niezłomnymi zasadami, nie była dla takich jak on, zanurzonych po szyję w piekle przetrwania.

Dla Dawida liczyła się tylko polityka. Nie myślał o tym, co niszczy. Także życie Grace Stanton-Kerr i te jej wyjąkiwane cholerne prawdy nic dla niego nie znaczyły. Nerwowo przegarniając palcami włosy, Lachlan znów zadał sobie pytanie o zasadność tego, o czym szeptali wrogowie króla, gotowi poświęcić monarchię dla własnej wygody, nowych dóbr i zaszczytów. Co jednak proponowali w zamian dla całej Szkocji?

Bezkrólewie?

Wszak obowiązki wynikające z tradycji były lepsze od jej zaniechania.

Anarchia!

Widział to w oczach potężnych magnatów i synów Balliola. Słyszał w słowach krytyków Edwarda III Angielskiego i wrogach Filipa VI.

Zmiana na lepsze?

Ta być może złudna nadzieja oznaczała rebelię, a przyszłoby za nią płacić ludzką krwią. Krwcią rodaków. Do tego nie można było dopuścić.

Błądząc wzrokiem po ziemi, znalazł w końcu to, czego szukał. Oderwał od podłoża kawał torfu i ugniótł go w palcach, plując na różową masę dotąd, aż powstała pasta, którą posmarował ranę. Ściągający preparat zapiekł i Lachlan zaklął cicho, ale nie zdejmował mikstury, dopóki ból całkiem nie ustąpił. To matka przekazała mu wiedzę o lekarstwach dostępnych w lesie.

Matka!

Kiedy umarła przy porodzie, światło odeszło z Belridden i nigdy już nie powróciło.

W jego rozmyślania nagle wdarł się gniewny głos małżonki:

- Nie wsiądę na tego konia!

Odpowiedź Connora była zadziwiająco cierpliwa:

- Do zamku jest naprawdę daleko, pani, a pani buty nie nadają się do takiej drogi.

- Sprowadź mego męża.

Nawet z tej odległości Lachlan wyczuwał arystokratyczny ton pobrzmiewający w tym poleceniu. Wiedział też, że Connor nie poradzi sobie z Grace. Szybko opuścił rękaw kaftana i ruszył wielkimi krokami naprzód, a kiedy wynurzył się zza zasłony drzew, zobaczył krąg mężczyzn przyglądających się jego żonie.

- Ona wsiądzie na konia. Ze mną.

Wola walki, którą dostrzegł w jej oczach, sprawiła, że Connor ochoczo się wycofał, zostawiając mężowi rozeźlonej damy cały ten ambaras.

- Nie mogę.

W odpowiedzi po prostu zarzucił ją sobie na ramię, przy czym jej kształtny tyłeczek otarł się o jego policzek. Palcami drapała mu plecy. Dobrze, że miał na sobie pled i wełnianą koszulę.

- Postaw mnie na ziemi, ty łajdaackie nasienie - powiedziała wreszcie. Jej słowa, które zapewne uznała za obelgę, nie zrobiły na nim wielkiego wrażenia, bo były dalekie od języka, do którego przywykł między wojami. - Postaw mnie na ziemi w tej chwili, bo...

- Co? - Rzucił ją na konia i przytrzymał jak piskorza w saku, po czym wskoczył za nią. Ramię bolało jak diabli od tej potyczki. - Co zrobisz?

Milczała, a on powstrzymał się od uwagi, że znacznie mniej się jąka. Z udami przyciśniętymi do jej ud i plecami ogrzewającymi mu brzuch Lachlan był aż nadto świadomy swego zdradzieckiego ciała, które budziło się z każdą mijającą chwilą. Zapach Grace napełniał mu nozdrza, zapach kobiety i żaru, a długie pasma włosów paliły mu skórę niczym czerwony płomień.

Puls walił jej trzy razy szybciej niż jego, bijąc gwałtownie w smukłym zgięciu szyi, a kiedy zacisnęła palce na nogach męża, zaczęła dygotać.

- Zeus to dobry wierzchowiec. Jest mi całkowicie posłuszny. Nie masz powodu do obaw.

Siedząc na koniu pośrodku polany wśród ludzi zajętych przygotowaniami do odjazdu, Lachlan wiedział doskonale, że wszyscy starają się nie uronić ni słowa z tej małżeńskiej dysputy.

Nie odpowiedziała, ale poczuł, jak podkurczyła stopy, zupełnie jakby nie chciała nawet dotknąć strzemion, a do jego uszu dobiegały ciche modlitwy. Szeptala je bez przerwy.

Poprawił się w siodle, marsa przywołał na oblicze. Próbował wzbudzić w sobie gniew, ale żarliwość żoninych błagań wysyłanych ku niebiosom rozbroiła go, a skóra odsłonięta na karku sprawiła, że wstrzymał oddech.

Nic w tej kobiecie nie trzymało się kupy. Ot, choćby te dreszcze, które dały mu wiele do myślenia. Czyżby jakiś koń ją przeraził? Tak niewiele o niej wiedział. Kiedy wczoraj uniosła spódnicę, nie zauważył żadnego śladu po wypadku, a jednak utykała!

Boże! Odsuwając wszystkie myśli na bok, skupił się na wąskiej ścieżce, którą jechali. Obruszone kamienie wpadły w przepaść, gdy wierzchowce niezmordowanie przedzierały się naprzód.

- Twój koń jest baardzo posłuszny. - Szept był ledwie słyszalny.

- W przeciwieństwie do mojej żony. - Natychmiast pożałował tych słów, bo Grace zeszywniała i zamilkła na dobre.

Zatrzymali się przy rzece trzy godziny drogi od domu, by dać odpocząć koniom. Lachlan ześliznął się z siodła i z zaskoczeniem spostrzegł, że Grace nie poszła w jego ślady, choć zdecydowanie preferowała piesze wędrówki.

Zaraz jednak poznał powód takiego postępowania. Grace nie mogła ustać, kiedy pomógł jej zsiąść. Chwyciła go kurczowo za rękę, a słabsza noga ugięła się pod ciężarem ciała.

Jej twarz przybrała intensywniejszy odcień czerwieni niż włosy, a gdy próbowała stać bez pomocy, trzęsła się tak, że dzwoniły jej zęby. Kiedy Lachlan to zobaczył, uświadomił sobie, jak wiele wysiłku kosztowała ją ta jazda.

- Jaak ddaleeko?

- Belridden leży mniej więcej godzinę stąd. - Uświadomił sobie, że za jakimś podszeptem zmniejsza dystans, choć rozum wcale mu tego nie nakazywał. Do diabła, wszystko w niej go irytowało, a jednak skracał drogę o dwie trzecie, byle tylko przepędzić niepokój z jej oczu, byle przepędzić znużenie, z którym coraz trudniej sobie radziła.

Patrzył, jak z rezygnacją skinęła głową i pokuśtykała nieco dalej, niezgrabnie utrzymując równowagę.

Gdyby upadła... Zmusił się, by się zatrzymać i odwrócić.

Boże, Grace Stanton była z nimi od trzydziestu godzin, podczas których narobiła mu wstydu w obliczu wroga i skaleczyła mu policzek pierścieniem jego zmarłego brata. Jąkała się, aż kłuło go w uszach, i bała się życia, co nie najlepiej wróżyło, jeśli się weźmie pod uwagę surowe warunki panujące w Belridden... Do tego dochodziła jeszcze niesprawna noga i wysypka na skórze, która w najlepszym razie swędziała dokuczliwie, a w najgorszym owocowała bolesnymi ranami.

Jednak mimo wszystko Lachlan uświadomił sobie, że się uśmiecha, bo było w niej coś, co świadczyło o... odwadze. Kobieta, która była naprawdę sobą. Zamożna dama, która wierzyła w bożą moc i broniła jego duszy z krystaliczną dobrocią właściwą dla kogoś, kto nigdy jeszcze nie zetknął się z prawdziwym złem.

Czystość to potężna siła w obliczu podejrzeń i wątpliwości, uznał po głębokim

namyśle. A także nadzwyczajna wartość, od tak dawna nieobecna w Belridden.

Wyobraził sobie, jak bierze Grace do swego łóżka, rozbiera, czuje, jak jej najintymniejsza część zamyka się wokół niego. Mógłby wziąć ją dzisiejszej nocy, jak już dojadą do zamku.

Pulsowanie w lędźwiach rozeszło się po innych częściach ciała, toteż poprawił na sobie ubranie. Czy jego brat z nią spał?

Miał nadzieję, że nie. Jeszcze nigdy nie miał dziewicy, wolał doświadczone, przystępne kobiety. Mimo to nagle dostrzegł zaletę jej dziewictwa. Wszystko w niej było nowe. A w nieznanym wyczuwał afrodyzjak, nad którym nigdy dotąd się nie zastanawiał.

Podszedł do niego Connor, przerwał więc rozmyślenia. W ciszy pobrzmiwały modły lady Grace, niosły się w delikatnych powiewach wiatru, jakby odtruwały gdzieś tam, wysoko, wysoko...

I drażniły tych, którzy kamienną osłoną oblekli swe dusze przed treścią tych słów.

- Milady jest bardzo pobożna... - powiedział cicho Connor, nie wiedząc, podrwiwał bezbożnie czy wyrażał podziw.

- Będzie musiała, żeby przeżyć w Belridden - odparł sucho Lachlan.

Jego irytacja przybrała na sile wskutek niemilknących żarliwych zaklęć, kiedy więc Grace Stanton wreszcie podeszła i stanęła tuż przy nim, nawet nie próbował ukryć niezadowolenia.

- Przyszłam pprzeprosić - powiedziała cicho. - I ppowiedzieć, że tylko ppróbo-
wałam ci ppomóc.

- Pomóc? - Jej łagodny uśmiech jeszcze bardziej go rozżłościł. - Pomóc? Mnie pomóc? - powtórzył, a kiedy zobaczył, jak potakuje, niedowierzanie zastąpił gniew. Czy miała pojęcie, jakie skutki wywoła jej postępek? I zaraz kolejna wątpliwość przemknęła mu po głowie. Czy ona z nim w coś gra?

Ramię go rwało. Do zamku wciąż było daleko, a przy nim stała kobieta, która nie miała na tyle rozsądku czy chęci, by zrozumieć jego gniew. Kiedy gwałtownie

wyciągnął rękę, by złapać jej nadgarstek, nie potrafił w sobie znaleźć nic, co złagodziłoby jego ponury głos.

- Zostałaś moją żoną z polecenia Dawida, króla Szkotów. Nigdy nie rób niczego, co mogłoby mnie rozgniewać. Rozumiesz?

Był pewien, że przerażenie, które widział w oczach Grace, pomoże jej uświadomić sobie niebezpieczeństwo, w jakim się znalazła, i zdobyć się na stosowną odpowiedź.

- Nie, niezupełnie.

Zdumiony jej bezczelnością, wprost zaniemówił.

- Chroń cię to mój obowiązek jako twojej żony.

Z gorzkim śmiechem oderwał rękę.

- Jesteś tu, by zapewnić Belridden dziedzica, w żadnym innym celu. A ochrona to moja sprawa. Nie potrzebuję ani nie oczekuję od ciebie nic takiego.

Kiedy się odwróciła, zobaczył, że jej dłoń już nie dotyka paciorków bogato zdobionego różańca.

Rozdział czwarty

Jej poślubiony przed dwoma dniami mąż patrzył na kobietę stojącą przy ścianie po przeciwnej stronie sieni. Kobietę o włosach koloru lnu, której niebieskie oczy napotkały jego spojrzenie w taki sposób, jakby byli w zмовie. To przesłanie nawet z tej odległości nie dałoby się pomylić z niczym innym. Grace poczuła ukłucie zazdrości, ale błyskawicznie zdusiła je w sobie. Wiara, że ktoś taki jak Lachlan Kerr mógłby ją pokochać, świadczyłaby o bezkresnej głupocie.

Miał kochankę, piękną uwodzicielkę, marzenie wszystkich mężczyzn. Kiedy przeszedł do niej przez wielką sień i mocno pocałował przy wszystkich, Grace w pełni zdała sobie sprawę ze swojej pozycji na tym zamku.

Była tylko żoną, która ma zapewnić pieniądze i spadkobiercę. Nie kochanką ani przyjaciółką, tylko kobietą, która miała wydawać potomstwo z prawego łóża. Chłopców, którzy pewnego dnia przejmą odpowiedzialność za klan i rodzową siedzibę, dadzą im potęgę i splendoru. Wojna, walka i rabunki, tak toczyło się życie w przygranicznych zamkach. Kto wygrywał, kto więcej zgarnął dla siebie, ten rósł w siłę, decydował o losach tych ziem. Wiedziała to doskonale, знаła też swoją rolę i miejsce w szyku, toteż zdusiła w sobie rozczarowanie.

A jednak poczuła chłód w duszy i sercu, taki sam, jak i na całym ciele.

Belridden nie wabiło bowiem ciepłem i komfortem. W pełnej przeciągów, wziębionej i zapuszczonej sieni Grace nie dostrzegła choćby isierki nadziei. Hulający na zewnątrz wiatr wpadał do środka przez wypaczone drewniane okiennice, a podłogę zaścielały prymitywne sienniki, których najwidoczniej nikomu nie chciało się uprzątać. Niedojedzone resztki jedzenia i parchate psy leżały pod stołem, który pewnie nigdy nie widział obrusa, ścian nie zdobił żaden gobelin. Chylące się ku upadkowi, żalosne Belridden trzymało straż na samym krańcu cywilizacji. Pofałdowane zielone pastwiska Grantley, luksusowo wyposażony dwór, wytworne komnaty, staranny język i dobra pogoda wydawały się tak odległe w tej obcej, surowej scenerii.

Pokręciła głową. Teraz w pełni rozumiała, jak wielką pokusą dla walczącego o

przetrwanie lairda był jej posag. Drastyczny niedostatek środków i wieloletni brak starań o godziwe utrzymanie posiadłości widać było gołym okiem. Również mieszkańcy zamku prezentowali się nad wyraz nędznie, proste tuniki i koszule nosiły ślady ustawicznego łatania. Widziała w ich ukradkowych spojrzeniach, co tak naprawdę o niej myślą. Nikt się nie uśmiechał. Nikt nie powitał jej serdecznie. Nikt nie udawał, że nie wie, jaka jest jej pozycja w tym zamku, i nikt nie zatroszczył się o to, by ukryć przed nią serdeczne powitanie lairda z kochanką, która trzymała ręce na pośladkach ukochanego.

Oszukiwała siebie podczas podróży na północ. Ten związek nigdy nie będzie czymś więcej niż kontraktem podyktowanym wzajemnym interesem. Lachlan Kerr musiał spłodzić prawowitych spadkobierców, ona potrzebowała męża, jakiegokolwiek męża, by uniknąć żalosnego staropanieńskiego losu. Niechby i był to brat mężczyzny, którego szczerze nienawdziła.

Odetchnęła głęboko, by opanować panikę. Pierścień Lachlana Kerra na jej palcu oznaczał własność i poddanie. Każdy bunt nie w porę mógł wszystko zrujnować. Może zdoła odnaleźć szczęście w dzieciach, a wspólne wychowywanie i kształtowanie charakterów młodych istot na pewno pozwoli jej stworzyć jakąś płaszczyznę porozumienia z mężem.

Dotyk jego dłoni zaskoczył ją.

- Chodź ze mną, pokażę ci, gdzie będziesz spać. - Kobieta, którą przed chwilą obmacywał, patrzyła na nich z odległego końca sieni, a kiedy Grace spotkała się z nią wzrokiem, dostrzegła groźbę. Uśmiechnęła się wyniośle, mając nadzieję, że jej postawa świadczy o nonszalanckim braku zainteresowania, niemniej jednak ukryła drżące palce w powłóczystym trenie wełnianej sukni.

Lachlan Kerr skinął na swoich ludzi, by wzięli jej dobytek, i odwrócił się ku drzwiom, których wcześniej nie zauważyła. Unosząc spódnice, by jeszcze bardziej nie zabrudzić rąbka, ruszyła za mężem. Wieża, w której zapewne przygotowano dla niej komnatę, zaskoczyła ją sporymi rozmiarami. To dobrze, bo obawiała się jakiejś klatki. Jeszcze lepiej się poczuła, gdy weszli do sporego pomieszczenia, które miała zająć na

stałe. W dużym palenisku, przed którym leżała mata upleciona z sitowia, płonął ogień. W izbie znajdowała się wnęka z siennikiem leżącym na drewnianym stelażu i przykrytym misternie tkaną zielono-czerwoną materią. Podnózek, stół i masywne dębowe krzesło dopełniały umeblowania.

Kiedy mężczyźni umieścili rzeczy na podłodze i wyszli, Lachlan Kerr zamknął drzwi.

Zostali sami. Cisza zdawała się otwierać przed nimi nowe możliwości. Kiedy wyciągnął rękę i położył dłoń na łonie Grace, zacisnęła zęby, kalecząc delikatną skórę wewnątrz ust.

Krew. Posmakowała jej i przełknęła, stojąc bez ruchu, podczas gdy jego palce powędrowały niżej, do bioder i pośladków. Grace miała dziwne wrażenie, że płonie, a serce, które biło już i tak szybciej niż zwykle, jeszcze podwoiło swój bieg.

Kiedy Lachlan roześmiał się i cofnął dłoń, ogarnęło ją zakłopotanie, wyraźniejsze niż kiedykolwiek.

- Wezmę cię dziś wieczorem po kolacji. Przyślę służącą, która pomoże ci się rozebrać.

Miał głęboki głos, w jego oczach dostrzegła niedający się z niczym pomylić błysk podniecenia, a gdy Grace zaczęła sobie wyobrażać, co ją niedługo czeka, omal nie zemdląła.

Dudnienie, dudnienie, dudnienie.

Krew w jej gardle, w żołądku... i w tym sekretnym miejscu, gdzie do tej pory zawsze panował spokój.

„Wezmę cię dziś wieczorem”. Obowiązek. Rzecz bez znaczenia. „Po kolacji”.

- Myślę, że powinniśmy zacząć.

- Czekać na co? - odparł niecierpliwie, już stojąc w otwartych drzwiach.

Na miłość. Na delikatność. Na rozkwit nadziei, uczucia i obietnicy...

Smętnie pokiwała głową. Mogła sobie tylko pomarzyć. Odprowadziła męża wzrokiem, patrząc, jak łatwo ją opuszcza, już skupiony na innych obowiązkach, które czekały na zewnątrz.

Stojąc bez ruchu, położyła rękę na piersi, tak jak przed chwilą zrobił on, i nagły żar powrócił, przepełniony śmiałymi myślami o czymś, czego nie rozumiała. Puściła wodze wyobraźni. Skóra przy skórze. Gwałtownie otworzyła oczy i przyjemne uczucie natychmiast się ulotniło. Dotknęła chorej nogi, którą szpeciły supły czerwonych wypukłych blizn. Żona ze skazą.

Żona ze skazą. Kulawiec. Brzydactwo. Rudzielec. Jąkała.

Poskrobała bruzdy na skórze łokci, zastanawiając się, czy ma jakiś wybór. Kiedy dorastała, dzieciom w Grantley powiedziano, żeby były dla niej miłe, ale wielu chłopców nie zważało na pouczenia, jak mają traktować zamkniętą w sobie, osieroczoną trzynastoletnią Grace. Ich docinki, choć tyle lat minęło, wciąż bolały, odbierały spokój jak w tamtych czasach, gdy wdzierały się w marzenia, w świat wyobraźni, w którym spełniały się wszystkie jej marzenia.

Czy będzie mogła zostać w ubraniu? Czy odsłonięcie ciała od kostek do kolan wystarczy takiemu mężczyźnie jak Lachlan Kerr, zanim złoży swoje nasienie w jej brzuchu?

Grace zmarszczyła czoło. Ciekawe, gdzie to nasienie powędruje? Pozbawiona matki, a zarazem najstarsza z kuzynek, nie miała nikogo, kogo mogłaby zapytać o małżeństwo i wiążące się z nim tajemnice. Oczywiście wiedziała, że dzieci powstają z tego, co małżonkowie robią po ślubie, ale mechanizm powiększonego brzucha jako wyniku samego aktu jakoś jej umknął. Próbowwała kiedyś spytać Stephena, ale nie odpowiedział. Na dodatek zaczął unikać jej towarzystwa, a potem znów odjechał do Londynu. Powstrzymała się więc od dalszych pytań, dochodząc do wniosku, że jako starzejąca się, a na dodatek niezbyt ładna kobieta może nigdy nie będzie musiała znać odpowiedzi.

Aż do dzisiejszego wieczoru, po kolacji. Czekały ją godziny pełne napięcia przeplatającego się ze strachem.

Lachlan uderzył w sztylet płaską stroną rzeczno kamienia, ustawiając ostrze pod takim kątem, by całe stykało się z celem, i pocierał, aż pojawiły się obrzynki. Sprawdzając, czy ostrze jest naostrzone jak należy, zaklął szpetnie, kiedy sztylet prze-

bił miękką skórę wnętrza prawej dłoni.

Odłożył zarówno ostrze, jak kamień, otarł krew. Był spięty, a strach, który dojrzał w oczach żony, choć godny co najwyżej wzruszenia ramionami, stał się dla niego... ważny.

Czy to jednak mógł być jej pierwszy raz? W wieku dwudziestu sześciu lat! Boże, jak to wszystko wytrącało go z równowagi. Był o połowę młodszy niż ona teraz, gdy piętnastoletnia córka francuskiego rycerza zabrała go do pustego składziku w stajniach ojca i pokazała, czego mu dotychczas brakowało. Kiedy ich potajemny romanś ujrział światło dzienne, wysłano go na pole bitwy pod Vironfosse w Vervins z Filipem VI, z plecami pociętymi pejcem i niezłomnym postanowieniem, że już nigdy nie pójdzie do łóżka z kobietą niebędącą mężatką. I nigdy nie złamał danego sobie słowa.

Zmarszczył czoło. Pójdzie do łóżka z Grace Stanton i ma nadzieję, że nastąpi to szybko.

Duchy przeszłości zamilkły wobec tych planów, a on pogrzebał w sporraniu, wyjął pierścień brata i obrócił rubiny ku światłu.

Laird Lachlan Kerr pamiętał.

Ruth. Jego pierwsza żona! Zdjął ten pierścień z jej palca, zanim została pochowana w poświęconej ziemi przy kaplicy, bo nie wyjawiał haniebnej tajemnicy zmarłej małżonki.

Nie wyrzekł o tym ani jednego słowa, nie napomknął choćby aluzyjnie, nic, po prostu nic. Wszystko skrył w sobie niczym w głębokiej studni.

Sekrety, które kipiały pod liturgią honoru, szacunku i prawości, na jej pogrzebie nie zostały zdradzone, a to z powodu dziecka. Przez skórę małej przeświecały błękitne żyłki. Nieślubna córka jego brata urodziła się martwa, jakby Bóg w swojej wszechmocy zgasił jej oddech.

Hannah. Nazwał ją tak po swojej matce, bo dziecko potrzebowało przynajmniej imienia. Nie zdradził hańby jego matki, by wspomnienie po niewinnej, choć zrodzonej z grzechu dziewczynce tą hańbą nie było obarczone.

Zacisnął zęby i wstał. Czas powinien choćby częściowo zmniejszyć ból, ale tak nie było, a kiedy Malcolm zginął, groźba krwawej rozprawy między rodami, czyli politycznej katastrofy, zmusiła go do poślubienia Grace Stanton.

Boże, co za ironia losu! Dla takich przyczyn został mężem narzeczonej zmarłego brata, który wprzód uwiódł mu żonę.

Podszedł do okna, odsunął skórzaną zasłonkę i wyrżał na dwór. Słońce stało nisko, chowając się za wzgórza Cheviot w codziennej podróży na zachód. Nocna pora. Już za chwilę. Myśl o małżonce, która szykowała się na jego wizytę, była zaskakująco podniecająca. Poinstruował gospodynię, by dopilnowała jej kąpeli. Sam nabrał zwyczaju codziennych kąpeli po pierwszym pobycie w Akwitanii. Miał nadzieję, że Grace nie wystroi się w grubą, ciężką koszulę nocną i że rozpuści włosy. Przede wszystkim jednak miał nadzieję, że nie będzie taka jak Ruth, która poddawała się aktowi małżeńskiemu z ponurym bezwładem, zabijając wszelką przyjemność.

Słońce zniknęło w gęstniejącym zmierzchu, okolicę spowiły cienie. Lachlan odechnął głęboko. Nagle poczuł się jak młody chłopak, a gwałtowny przypływ żądzzy wzburzył mu krew.

Jak weźmie Grace? Szybko i mocno czy powoli i delikatnie? To zależy tylko od niego. Był gotowy do wypełnienia tego zadania, ale wszystkie dawne zdrady wyszły na powierzchnię i nie dawały mu spokoju. Nie chciał żony, która przysparzałaby mu zmartwień. Nie chciał żony, którą trzeba baczenie obserwować, by się upewnić, czy jej sumienie jest czyste, czy nie. Zarazem jednak nie chciał też kajdan zaufania, których łańcuchy z upływem czasu zaciskają się mocniej i mocniej, zmuszając do nieustannego respektowania potrzeb i pragnień drugiej osoby, do rezygnacji z własnych dróg i ścieżek, do porzucenia wolności.

Gdyby Grace go nienawidziła, wszystko byłoby znacznie łatwiejsze. Miałby w niej typową żonę „kontraktową”, żonę, która rodzi kolejne dzieci i nie odzywa się niepytana. Już miał okazję zobaczyć, że mieszkańcy zamku zwrócili się przeciwko niej, i nie zrobił niczego, by to zmienić. Grace Stanton, jękający się, utykający rudzielec, ma zapewnić ciągłość rodu. To wszystko.

- *Sheas* - szepnął do siebie.

W wieku trzydziestu trzech lat był zbyt stary na te wszystkie bzdury. Zbyt stary, by próbować naprawić to, co zostało zerwane, a żądza była zbyt przelotnym kompanem.

Rozdział piąty

Grace usiadła na krześle przy łóżku i czekała. Dobrze pół godziny wcześniej odprawiła służącą, którą przysłano, by pomogła jej się przebrać. Propozycja kąpieli mile ją zaskoczyła. Od dawna nie czuła się tak czysta, chociaż ponownie włożyła ciężką dzienną suknię, w której tu przyjechała.

Kiedy Lachlan Kerr przyjdzie domagać się od niej wypełnienia obowiązków małżeńskich? Pewnie było już po dziesiątej i żałowała, że zabrakło jej odwagi, by pogasić świece stojące w rzędzie na stole i zablokować drzwi. Belki po tej stronie były dobrze ociosane i solidne, ale gdyby to zrobiła, wszystko tylko odwlokłoby się do jutra, a nagle zapragnęła, żeby to, co miało się stać, stało się teraz, by rankiem, gdy się przebudzi, mieć już jakieś pojęcie o tym, co ją czeka... przez resztę życia.

Słyszając kroki za drzwiami, stężała, przechyliła głowę i zaczęła nasłuchiwać.

Lachlan Kerr i kobieta o głosie słodkim jak miód. Czyżby jego kochanka? Gdy usłyszała jej śmiech, nie zdołała już powstrzymać gniewu, wyrzuciła z siebie złe słowo.

Klamka poruszyła się powoli i zatrzymała, jakby Lachlan też zwlekał.

Po chwili był w środku, w samej koszuli, bez pledu. Po raz pierwszy zobaczyła go bez broni. Włosy po lewej stronie twarzy miał zaplecione w dwa długie warkoczki, a resztę rozpuścił, sięgały mu za ramiona, kruczoczarne z nitkami srebra na prawej skroni.

Z konsternacją zmarszczył brwi.

- Czyżby gospodyni nie przysłała służącej? Pomóc ci się rozebrać, rozumiesz.

Jego szkocki akcent był wyraźniejszy. Nawet z tej odległości dolatywał do niej

zapach mocnego piwa.

- Pprzysłała, ale ja woolałam zostać w dziedziennej sukni.

Zmarszczył brwi.

- Czy wiesz dużo o mężczyznach? - spytał oficjalnym tonem. - Matka powiedziała ci, co się dzieje w małżeńskim łóżu? - Kiedy pokręciła przecząco głową, po czole przemknął mu cień gniewu. - Ubranie nie jest tu do niczego potrzebne.

Grace poczuła, jak krew ucieka z jej twarzy.

- Nie moogłabym... - Jedno spojrzenie na jej blizny i nie będzie chciał mieć z nią więcej do czynienia.

Wyraz zaniepokojenia, który dostrzegła w jego oczach, zaskoczył ją. Lachlan wyszedł z sypialni, by wrócić po krótkiej chwili z dwoma cynowymi kuflami i dzbanem piwa. Nalał dwie spore porcje, podał jej kufel i nakłonił, by spoczęła na dębowym krześle. Sam usiadł na brzegu łóżka, na wprost niej.

- Nie sprawię ci więcej bólu niż... to będzie konieczne, rozumiesz.

- Ttak... - Skinęła głową, nie wiedząc, co niby rozumie i na co się zgadza.

Na ból czy na uległość?

- Wiesz przecież, że moje nasienie musi się połączyć z twoim, żeby powstało dziecko.

- Dziee... dzdz... dziecko. - Jedno słowo, a tak trudne do wymówienia.

Przytknął jej kubek do warg i zaczekał, aż wypije spory łyk. Był cierpliwy, nie śpieszył się, siedział w niedbalej pozie z podwiniętą koszulą, z odsłoniętymi muskułarnymi nogami.

Patrzył na Grace, rozważał powoli, jak zadać to pytanie, to konieczne pytanie, by... by wiedzieć.

- Spałaś z moim bratem?

Wstrząsnął nią dreszcz strachu, gdy tak nieoczekiwanie przywołał Malcolma, miała jednak nadzieję, że potraktuje jej reakcję jako przejaw żalu po zmarłym narzeczonym.

- Nnie...

- Rozumiem... ale kochałaś go, prawda?

Uniosła głowę i patrzyła, jak pije piwo, a piana osiada mu na górnej wardze, potem przyglądała się, jak ją zlizuje. Nie odważyła się odpowiedzieć. Zauważyła, jak w jego bladoniebieskich oczach rozblęsnął nietajony gniew.

- W takim razie przykro mi zarówno z powodu twojej straty, jak i tego, co musi stać się teraz.

Ujął jej dłoń i przytrzymał, gdy Grace na próżno próbowała ją wyrwać. Kiedy zaczął pocierać kciukiem wewnątrz jej dłoni, tępe pulsowanie w brzuchu nasiliło się.

Wystarczyło tylko tyle. Jej ciekawość już była rozbudzona. Linie okalające jego nadgarstek były obce i nieznane. Odniosła wrażenie, że jakimś dziwnym zmysłem wyczuwa trudne lata wojen wypisane na jego skórze, żołnierski znój, bitewne krzyki, ból, cierpienie. A zarazem...

A zarazem ogarniało ją niepojęte podniecenie, euforia niemal. Bała się tego, co miało się stać za chwilę, lecz jakimś cudem ten strach był bliski radości. Co się ze mną dzieje? - pomyślała Grace. I nie wiedziała, choć powinna była wiedzieć. To piwo ją wyzwalało, to dzięki niemu odrzuciła troski i kompleksy, i reagowała jak... kobieta.

Czy jednak tylko piwo? To zbyt trywialne wytłumaczenie. Alkohol może i trochę dopomógł, lecz sprawa była głębszej natury.

Lachlan ani nie podniósł wzroku, ani nie przemówił, za to jego oddech przy jej dłoni stał się szybszy. Zupełnie jakby taki drobiazg mógł wpłynąć na mężczyznę tak potężnie zbudowanego i zatwardzającego jak on, jakby dysponowała siłą, która czyniła go bezbronnym. Obnażonym!

Silna tą nową wiedzą, dołączyła kciuk do jego kciuka. Ot, skromna pieścizna, ledwie szept obietnicy. I tutaj, w tym dziwnym zamku, całe mile od domu, przy wietrze wiejącym za oknami, Grace czuła się... odmieniona. Nie było na to innego słowa. Zmiana, która w niej zaszła, kiedy Lachlan ją objął, sprawiła, że zapomniała o tym, kim jest, zapomniała o swojej pospolitości, skupiona na obietnicy tego, co działo się między nimi. Sekret i intymność. Nikomu nic do tego.

Mając dwadzieścia sześć lat, była w wieku, w którym kobieta pozbywa się już

marzeń o mężach i dzieciach, więc nawet gdyby to spotkanie miało trwać tylko przez tę jedną noc, byłaby głupia, gdyby się nie odprężyła i nie cieszyła tym, co taki mężczyzna jak Lachlan Kerr mógł jej pokazać i czego nauczyć. W końcu wyobraźnia była tylko marną namiastką, a Grace tak wiele nocy leżała w łóżku zapatrzona w dal i fantazjowała.

Oddech trzepotał jej dziwnie w gardle, zupełnie jakby powietrze stało się rzadsze, blade oczy obserwowały ją znacząco, a palec dotykał pulsu na jej nadgarstku.

- Jeśli ci się to podoba, pokażę ci jeszcze więcej.

- Więcej? - Ledwie rozpoznała dźwięk własnego głosu.

- O wiele więcej - odszepnął z ustami na miękkiej skórze jej szyi, po czym przesunął je niżej, a palcami pociągnął sznurówkę stanika, zręcznie rozwiązał ją i zsunął materiał z ramion.

Lekki podmuch zimnego powietrza nie sprawił jej przykrości, chłód przyniósł zapowiedź ryzyka, ale i obietnicę. Dłoń Lachlana wślizgnęła się między bieliznę a ciało, chwytając pierś, oceniając jej kształt i wagę.

Powinna krzyknąć, żeby przestał, powinna się zarumienić na zuchwałość tego, co zrobił ten obcy mężczyzna, tylko z woli królewskiej jej mąż. Zaniemówiła jednak, oszołomiona pięknem tego dotyku, podniecona wyzwaniem.

Nie był to byle jaki, nic nieznaczący mężczyzna, jakiś krzywonogi wychudły kochanek o twarzy odpowiedniej do figury. Nie, do niej zalecał się mężczyzna, który równie dobrze mógł wyjść prosto z jej snów, z opowieści, które tak chętnie snuła, z mitów i legend powtarzanych od pradziejów.

Kiedy mocniej trącił palcem brodawkę, natychmiast stwardniała, stała się małym guziczkiem, napiętym i ściągniętym pożądaniem. Grace, pełna nieznanym dotąd pragnień, broniła się jednak przed nimi, nie potrafiła bowiem uwierzyć w budzącą się nadzieję. Próbowała się odsunąć, ale kiedy Lachlan pochylił głowę i przyssał się do jej piersi, poddała się całkowicie.

Boże, choć minutę, tylko tę minutę, pomyślała, przegarniając dłonią jego włosy i przyciągając go bliżej, jak spragniona miłości kobieta przyciąga kochanka.

Kochanek. Blask świec, jej dłoń na jego piersi, i jego twarda, stercząca brodawka przy jej paznokciu. Ból pożądania i namiętności, pradawny rytm miłości. Szybciej.

I ta myśl, to pragnienie, to przesłanie: „Będę... kochać cię... zawsze”.

- Grace. - Jej imię. Gwałtownie powróciła do rzeczywistości. Ich dłonie były splecione. W jego oczach odczytała zdumienie i konsternację. - Jak na nowicjuszkę dobrze znasz się na tym, jak zadowolić mężczyznę.

- Naśladowałam cię. - Nie jąkała się. Ten brak trudności w mówieniu bardzo ją zaskoczył. - Myślałam, że skoro mi się to podoba, to tobie pewnie też. - To zdanie, aczkolwiek nie tak płynne jak poprzednie, i tak zabrzmiało o wiele lepiej niż wszystkie wypowiedziane do tej pory w jego obecności.

Oczy Lachlana przebiegły po jej apetycznych krągłościach. Nic nie zrobiła, by zakryć nagość pełnych piersi, stanik sukni zsunął się do talii, skóra lśniła w blasku świec.

Czuła się swawolna, niefrasobliwa, pęta konwenansów, które od zawsze ją krępowały, opadły, a kiedy Lachlan wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie, przyjęła to z ochotą.

Językiem, nie delikatnym, ale twardym i pełnym obietnic, obrysował jej wargi, po czym wdarł się do środka w gwałtownym, pełnym mocy pocałunku. Brał ją jak żonę, swoją kobietę, nie pozwalał na opór ani odmowę. Trzymając jedną rękę w jej włosach, a drugą chwytając pierś, przygarnął ją jeszcze silniej.

Napięcie w jej ciele narastało, przechodząc w dotkliwe gorące pulsowanie z jakiegoś miejsca w głębi ciała, głos wyrywał się z jej warg w przerywanym jęku, kiedy Lachlan przyciskał ją do siebie, a całe jej ciało dygotało w mimowolnych skurczach. Nie umiała nazwać tych wszystkich doznań, ale wiedziała, że chce jeszcze więcej.

- Boże...

Gdy usłyszała jego głos, gorąco jak płynne złoto wypełniło każdy zakątek jej ciała i wszystko wokół zadrzało od radości i rozkoszy. Jej palce badały kształt policzków Lachlana, szczęk i zarys szyi. Niecierpliwie zmierzały niżej, wzbudzając jego pożądanie. Widziała to w płonących oczach, słyszała w chropawym oddechu. Wresz-

cie ściągnął koszulę, ukazując wspaniale ukształtowane ciało. Prawdziwie męskie. Na tle opalenizny jaśniała biała szmatka, opatrunek na ranie, pamiątce po walce z Elliotem. Miała nadzieję, że już go nie boli, jednak zrozumiała, że jest inaczej, gdy lekko ją przesunął, by nie opierała się o niego w tym miejscu.

- Teraz moja kolej. - Sięgnął do rąbka jej koszuli, marszcząc czoło, kiedy go powstrzymała.

- Świece.

- Chcesz, żebym je zgasił?

Kiedy przytaknęła, położył ją na łóżku, a potem pochylił się i zdmuchnął świece. Ciemność. Cień. Kształt Lachlana rysujący się wyraźnie na tle promieni księżyca.

Spodziewała się, że widok nagiego męskiego ciała zaszokuje ją, ale nie. Wręcz przeciwnie. Jej ręce powędrowały do męża, do jego męskości. Gładka skóra pulsowała, kiedy zacisnęła dłoń, szybko, potem powoli. Szarpnął się do tyłu jak oparzony.

- Kto cię tego nauczył?

W blasku ognia z paleniska widziała nabrzmiałe żyły na jego szyi, a w oczach zdumienie, szok...

- Nikt.

Nie wystraszyła się tonu jego głosu, nie teraz, nie w tej chwili. Leżała z odsłoniętymi piersiami, badała palcami jego męskosc i czuła się cudownie, jakby całe jej życie zmierzało właśnie do tej chwili. Jakby jego ciało było instrumentem, który tylko ona mogła odpowiednio nastroić i na którym musiała grać, by melodia płynęła dla ich wspólnej rozkoszy. Nie mogła pozwolić mu odejść. Objęła palcami ciężką miękkość, a potem zaczęła dotykać go wyżej. Kiedy zacisnął mięśnie pośladków, uśmiechnęła się.

- Czy to dozwolone?

- Mhm...

- A to?

- Mhm... - Na jego czole widać było grube krople potu, czarne włosy przylgnęły

do skroni. - Ach, Grace, jeśli pragniesz zemsty, tym z pewnością mnie zabijesz.

- Zemsty? - Jej palce znieruchomiały.

O co mu chodzi? O jakiś rewanz, zemstę?

- Chodzi o nasze małżeństwo. Nie miałem w tej sprawie nic do powiedzenia, a po śmierci Malcolma... - Zakrztusił się, kiedy ścisnęła mocniej. - *Deo gratias*. Dość. - Zacisnął uchwyt na jej nadgarstku i przetoczył się na nią jednym płynnym ruchem, łokciami przygważdżając ją do łóżka i zamykając oczy. - Teraz ja powinienem poznać ciebie. - Kiedy zdejmował z niej koszulę, instynktownie zaczęła walczyć. Natychmiast przerwał. - Pragnę chętniej kobiety, Grace. Jeśli wolisz, żebym przestał...

Rozdarta między szaleńczym pożądaniem a strachem, wybrała to pierwsze...

Lachlan patrzył na nią w bladym świetle księżyca, patrzył, jak wola walki opuszcza jej ciało, a w aksamitnych oczach pojawia się determinacja, patrzył, jak rozłożyła nogi i wpuściła go między nie, jęcząc z pożądania. Była najbardziej namiętą kobietą, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia. Już czuł, jak palcami bada miejsce, do którego zawędrowały jego palce. Ich ręce spotkały się w jej wilgotnym ciepłym centrum, kiedy wszedł głębiej. W górę, jeszcze w górę i do środka, gdzie szybko natknął się na dziewiczą barierę.

Nagle uświadomił sobie, jak wielkie znaczenie ma jej czystość, a także wagę odpowiedzialności za to, że jest tym pierwszym. Oddychając głęboko, próbował zwolnić, próbował przywołać łagodność na przekór zalewającej go fali namiętności. I nie mógł. Zanurzył się w Grace, a jego pchnięcie sprawiło, że wygięła się do góry. Poczł strumyczek krwi, usłyszał przenikliwy krzyk. Zamknął usta Grace pocałunkiem, poruszając językiem w tym samym rytmie co biodrami.

To była „mała śmierć”, o której mówią Francuzi, stapianie się dwojga w całkowitą wspólnotę, śmierć osobnych egoizmów, narodziny jedności.

Z trudem zdołał zaczerpnąć tchu, ledwie uświadamiając sobie, co się właśnie stało, wyczuwając ostatni delikatny dreszcz podniecenia między nimi. Pytający, domagający się więcej.

I bursztynowe aksamitne oczy patrzące prosto w jego oczy. Bez łez. Bez żalu.

Bez oskarżeń. Rozkaz króla i potrzeba potomstwa. Prosta logika. Rozmnażanie się.

Zesztywniał na tę myśl, usiadł i posadził sobie Grace na kolanach, by przedłużyć tę chwilę jedności.

- Jeszcze raz - szepnął, na co paznokciami przeorała mu plecy, jakby jej ból powinien być również jego bólem, kiedy po raz drugi brał ją w posiadanie, jakby po raz drugi pozbawiał ją niewinności, wprowadzał w inny świat, w którym nic już nie będzie takie samo.

Głębiej. Nocne godziny rozciągnęły się przed nimi niczym morze niewyczerpanych możliwości.

Wykorzystał ją. Wiedział o tym, kiedy szedł z zamku w stronę lodowatych wód jeziora. Na litość boską, przecież była dziewicą, a on pozwolił jej odpocząć, dopiero kiedy ptasie trele obwieściły świt. Nie, wtedy wziął ją po raz ostatni.

Co, u diabła, z nim się działo?

Grace na skotłowanych lnianych prześcieradłach, których biel splamiła krew.

Jego nasienie i jej krew.

Już nie dziewica.

Dokonało się.

Zakończyło.

Wypłynął na powierzchnię i roześmiał się, pierwotny i wolny. Czuł się tak pełen życia jak nigdy przedtem, nasycony seksem. Do diabła z konsekwencjami.

Przynajmniej raz na swoich barkach nie czuł ciężaru zdrady Malcolma i Ruth.

Grace zamrugnęła, bo jej całe ciało zaprotestowało przeciw ruchowi, kiedy ciepła woda zmywała lepkie nasienie Lachlana i zapach seksu.

Wzięta. Wykorzystana. Położyła dłoń na napiętej skórze brzucha. Po takiej nocy z pewnością musieli począć dziecko. Zamknęła oczy i oddychała głęboko, mała fala pożądania chłodziła sekretne miejsca, których dotykał jej mąż i które dobrze poznał swoją męskością, dłońmi i ustami.

Niebo.

Była tam w ciszy tej nocy, w gorączce namiętności, w szeptach, kiedy Lachlan

pozwalając jej odpocząć, i w silnych pchnięciach, kiedy nie pozwalał.

A jeśli jest przy nadziei? Co wtedy? Czy jego pragnienie osłabnie? Pokręciła głową. Nie, nie mógł wziąć jej tylko raz. Na pewno nie! Poczowała gwałtowny przypływ pożądania, jak głód, który mógł zaspokoić jedynie Lachlan Kerr. Jego pierścień na palcu wiązał ją z nim, z jego zapachem, głosem, dotykiem skóry przy jej skórze i szczodrością w dawaniu rozkoszy.

Wszystko wydawało jej się bardziej... świetliste. Tak, to właściwe słowo. Typowy dla niej niepokój ustąpił pod naporem wyszukanej sztuki miłości. Fala gorąca ogarnęła jej ciało. Boże, czy kiedy spotka się z mężem w świetle dnia, wiedza o ich schadzce będzie widoczna na jego twarzy?

Albo na jej.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej. Co powiedziałyby na bliźni na jej udach? Nawet w ciemności wiedziała, że je czuł, chociaż o nic nie pytał i w żaden sposób nie dał po sobie poznać, czy był nimi zainteresowany.

Opanowując emocje, przeciągnęła się z uśmiechem. Kiedy wkładała czystą bieliznę, do izby ponownie weszła służąca, która wcześniej przyniosła wodę.

- Ma pani zejść na dół na posiłek. Laird sobie tego życzy. Przysłał mnie, żebym pomogła pani się ubrać.

W jej oczach wyczytała zyczliwość. Wyraźnie się odprężyła, kiedy Grace skinęła głową i powiedziała, żeby została. Suknie miały skomplikowany krój, poza tym w Grantley nawykła do służby. A dzisiaj, po ostatniej nocy, pragnęła wyglądać jak najlepiej.

Powściągnęła radość, kiedy jej oczy pobiegły ku czerwonej skórze na łokciach. Miała nadzieję, że na twarzy nie pojawiła się ta nieszczęsna wysypka, ale bez lustra mogła ufać tylko dotykowi, a pod palcami nic złego nie wyczuła.

- Chyba włożę czerwoną. - Wskazała suknie wiszące na szerokich hakach wbitych w ścianę. Rzadko nosiła stroje w tym kolorze, ale dzisiaj, bardziej pewna siebie niż zazwyczaj, postanowiła to zrobić.

- Jest bardzo piękna, pani - powiedziała służąca.

Tak piękna jak ona nieładna. Cała niepewność powróciła ze wzmożoną siłą.

- Zmieniłam zdanie, włożę niebieską.

Ta suknia nie umywała się do czerwonej, ale służąca zrobiła, jak jej polecono, a kiedy Grace miała już suknię na sobie, zasznurowała jej stanik i ułożyła zakładki na dekolcie.

- Może uczeszę panią? Mówią, że jestem w tym naprawdę dobra, a pani włosy mają tak piękny kolor.

Patrząc uważnie na służącą, Grace próbowała odgadnąć, czy żartowała, czy nie, ale widząc szczerłość w jej oczach, uwierzyła w jej słowa.

- Jak masz na imię? - spytała.

- Elizabeth, ale dla wszystkich jestem Lizzie.

- Zwykle upinam włosy do góry pod kwefem, Lizzie... - Nigdy nie przywiązywała wagi do mody, preferując prostotę, z jaką nosiły się starsze kobiety.

- Och nie, pani. Potrafię je zapleść w pewien szczególny sposób. Mogę...? - Nieśmiało wyciągnęła rękę i przegarnęła rude sploty. - Ma pani niezwykle włosy, jak morze ognia.

Ogień pożerający drzewa wokół niej. Umknęła, ukryła się za samotnym dębem, i ogień znikł, choć czuła podmuchy żaru. I wciąż widziała głowę matki, która wisiała pod dziwnym kątem. Głowa odcięta od ciała.

- Dobrze się pani czuje? - Ręka służącej na jej ramieniu była przyjemnie chłodna. - Miałam wrażenie, że była pani myślami gdzieś daleko stąd, gdzie panuje bezgraniczny smutek.

Grace zaczerpnęła tchu, by otrząsnąć się ze strasznych wspomnień. Musi być przyjazna, musi być tu i teraz. Lizzie była pierwszą osobą w Belridden, nie licząc męża, która z nią rozmawiała, więc Grace nie chciała jej zrazić.

- Może rzeczywiście powinnam uczesać włosy. - Usiadła na stołku przy łóżku.

Lizie z ulgą wyjęła szczotkę z przepastnego woreczka.

- Kiedy skończę, zobaczy pani w lusterku, jak ładnie pani wygląda.

Kiedy Grace weszła do wielkiej sieni, wszystkie rozmowy ucichły jak nożem

uciał. Ta cisza martwiła ją, kiedy skierowała się ku stołom na podwyższeniu. Krzesło obok Lachlana było wolne, więc usiadła i zaczęła wygładzać fałdy rozłożystej spódnicy, aż wreszcie nabrała na tyle odwagi, by spojrzeć mężowi w oczy.

Spojrzenie, którym jej odpowiedział, obojętne, zimne, nie wyrażało żadnych z tych emocji, które ich łączyły zaledwie kilka godzin wcześniej, a gdy przeniósł wzrok na jej nową fryzurę, nie dopatrzyła się najmniejszego przejawu życzliwości.

Nie wstał na jej powitanie ani nie pomógł jej przy siadaniu na krześle. Nie, po prostu obserwował ją z chłodnym spokojem tymi swoimi jasnoniebieskimi oczami.

- Spóźniłaś się. Nie rób tego więcej. - Uniósł nóż i ukroił sobie pajdę chleba, a potem położył na niej kawał tłustego sera i porcję zimnego mięsa.

Odległość między ich krzesłami powiększała się jak górską przepaść.

- Służąca czesała mi włosy. To zajęło sporo czasu.

Uniósł wzrok.

- Wolałem je takie jak przedtem.

- Rozpuszczone?

- Tak. - Krótko i zwężle. Niedbała obojętność.

- To nieestosowne dla mężatki nosić rozpuszczone włosy.

- A czy stosowność jest dla ciebie ważna?

Nie krył gniewu, a ona nie wiedziała, jak zareagować. Czyżby czynił aluzje do tego, jak się zachowywała ostatniej nocy? Rozpustna. Wyuzdana. Lekkomysłna.

- Ttak, mój panie.

Odwrócił się do starszej kobiety siedzącej obok niego.

- Babko, przedstawiam ci Grace Stanton.

Uśmiech seniorki rodu znikł w mgnieniu oka.

- Kochałaś Malcolma, prawda? Kochałaś go, zanim... - Wyjęła chusteczkę z rękawa i otarła wilgotne oczy rąbkiem koronki. - Był... poszukiwaczem przygód, kochał hazard i niebezpieczeństwo, rozumiesz. Mój dziki chłopiec. - W jej głosie były i bezgraniczna miłość, i neutulony żal. - Nie potrafię pojąć, co się stało...

Jej francuski akcent był wyczuwalny w każdej sylabie równie wyraźnie jak

smutek. A w jej wątpliwościach tkwiło wiele pytań.

- Był dobrym człowiekiem, prawda?

- Jestem pewna, że tak. - Grace splótła dłonie na kolanach pod stołem.

- Kochałaś go?

Nie ufając, że uda jej się wypowiedzieć te słowa, ograniczyła się do skinięcia głową.

Kłamstwa. Kłamstwa. Kłamstwa.

- Dał jej pierścień Kerrów. - Mąż sięgnął do sporranu, wyciągnął klejnot i położył go na stole.

Migocąca czerwień zdawała się kpić z każdej kłamliwej wypowiedzi Grace.

- W takim razie musiał być z tobą szczęśliwy...

Głośne łkanie przywołało służącą, która pomogła starej damie wstać z miejsca i wyjść z holu.

Lachlan Kerr obserwował ją przez chwilę, uderzając palcami o stół w niespokojnym rytmie.

- Wiesz, w żaden sposób nie potrafię sobie wyobrazić mojego brata i ciebie... - Sięgnął po pierścień, obracał go w palcach. - Malcolm był ulubieńcem babki, ojca zresztą też, i dlatego go psuli ponad wszelką miarę, pozwalali na wszystko. Forsował swoją wolę częściej, niż się należało. Jeśli zrobił cokolwiek, co cię zraniło...

- Nie. - Zalana łzami twarzyczka Ginny i wściekłość Stephena użyczyły jej głosowi tonu, którego nie potrafiłaby udąć.

- W takim razie cieszę się. - Schował pierścień, ukroił sobie kolejną pajdę chleba i sięgnął po sól i musztardę. Nóż, którym się posługiwał, miał na rogowej rękojeści wygrawerowane inicjały L.M.K. Ciekawe, co oznacza M.

Malcolm? Jak jego brat? Może to imię rodzinne. Czy byli sobie bliscy? Różnica wieku między nimi wynosiła zaledwie trzynaście miesięcy. Przypomniała sobie, jak Stephen, kiedy już było po wszystkim, opowiedział jej, że modlili się razem w kaplicy w Grantley w wieczór śmierci Malcolma. Czy szukali rozgrzeszenia? Ona z pewnością nie otrzymała go w ciągu żadnego z tych trzystu dni, które minęły od tamtej pory.

Jednak Lachlan Kerr nie przyjechał z innymi ludźmi z Belridden, by zobaczyć, gdzie wydarzył się wypadek, nie odpowiedział też na wiadomość, którą posłał jej wuj, donosząc o śmierci jego brata.

Ciekawe, dlaczego trzymał się z daleka od tej sprawy?

- Dziś w zamku - przerwał jej rozmyślenia - odbędzie się wielkie przyjęcie z okazji naszego ślubu.

- Aale nikt się nie ucieszył na mój widok, gdy zjawiłam się w Belridden.

- Dobry posiłek i dobre wino wszystko odmienią, a kiedy załatam dachy chat twoim złotem, będą jeszcze szczęśliwsi.

Jednak chodzi tylko o posag! Nadzieje, które zrodziły się w niej ostatniej nocy, prysły jak bańka mydlana, zarazem jednak zdumiała się, gdy pochwyciła spojrzenie Lachlana w tej niespodziewanej, niezwykłej chwili, kiedy przemknął między nimi piorun pożądania.

A może, o naiwności, tylko jej się zdawało, że to było wspólne doznanie?

Bo mąż odwrócił się jak oparzony, a jego mina nie świadczyła o szczęściu.

- Ty wciąż usychasz z tęsknoty za moim zmarłym bratem, a ja przestałem wierzyć w cokolwiek, straciłem ten dar. Nie wyobrażaj sobie, że nasz związek jest czymś, czym nie jest.

Na te ostre słowa poczuła gwałtowny ucisk w gardle. Opuściła głowę. Nie potrafiła się od tego zdystansować, ukryć wyraz bólu na twarzy.

Odrzucenie...

A pod spódnicą miejsca, które tak niedawno zostały obudzone do życia przez jego ciało, pulsowały niespokojnym, narastającym rytmem.

Weź mnie.

Znów.

Jej tęsknota była beznadziejna, a pragnienie nie do zaspokojenia.

Biorąc swój nóż, pochyliła się lekko, a dotyk ramienia Lachlana jeszcze bardziej spotęgował te uczucia. Kiedy się cofnął, mało brakowało, żeby podążyła za nim. Opanowała się w ostatniej chwili. To prawda, z tego wszystkiego aż kręciło się jej w

głowie, jednak musiała zachować się przytomnie, znać swoje miejsce.

Najgorsze, że tak mało wiedziała o miejscu, w którym przyszło jej żyć, o ludziach tu mieszkających, o... swoim mężu. To bolało najbardziej.

Prawie nic nie wiedziała o dotychczasowym życiu Lachlana, o jego pierwszej żonie i późniejszych miłostkach.

Wiedziała tylko, jak jej wciąż spragnione ciało odpowiadało na jego dotyk...

Przestań, nakazała sobie surowo, a spokojny głos rozsądku chronił ją przed bezdusznością męża.

Kiedy ta kobieta, Rebecca, weszła do sieni, widziała, jak jej mąż wskazał puste miejsce obok siebie. Zobaczyła też, jak uśmiechnął się na jej powitanie, jego ręka przy ramieniu tamtej, długa blond zasłona włosów, rozpuszczonych, gęstych, jedwabistych. Nie takich jak jej.

Nagle pożałowała wyszukanej fryzury. Rozglądając się po sieni, obserwowała, jak siedzący na ławach przyglądają się jej z wielką rezerwą i jeszcze większą niechęcią. Była brzydką intruzką, z której imieniem związane było piętno śmierci jednego z Kerrów. Drugą żoną mężczyzny, który teraz okazywał specjalne względy kochance, podczas gdy ona siedziała w tej samej sieni i na to patrzyła. Palce Rebecki McInness zawędrowały pomiędzy nogi Lachlana, lubieżnie i prowokacyjnie, a stanik jej sukni sięgał linii brodawek. Nie zrobił nic, by ją powstrzymać od publicznie okazywanej lubieżności, tylko nalał sobie kolejną szklanekę piwa.

Wstała niepewnie.

- Właściwie nie jestem głodna. - Ostentacyjnie odłożyła czystą serwetę.

Mąż jednak miał inne zdanie w tej kwestii.

- Nie pozwoliłem ci odejść stąd.

- Nnie? - Jąkanie w jej głosie zniwelowało efekt wyższości, a uśmiech na twarzy Rebecki McInness podważył go jeszcze bardziej.

Po tej nieoczekiwanej wymianie zdań w wielkiej sieni zapadła cisza. Grace jednak nie potrafiła zmusić się do odejścia. Stała uwieczona między gniewem a pełnym zakłopotania cierpieniem.

- Siadaj.

Pokręciła głową, ale nie poruszyła się. Przez chwilę zastanawiała się, co zrobić, kiedy od strony kuchni rozległ się krzyk i w drzwiach pojawiło się dziecko, mały chłopiec. Kraniec jego tuniki był w ogniu.

Dwa kroki i miała go w ramionach, obfitymi fałdami sukni zakryła płomienie, a dzban piwa dokończył dzieła.

Ogień. Płomienie. Zszokowane brązowe oczy dziecka, biegnąca matka i ból. W rękach, w ramionach i w zakamarkach pamięci.

Ból. Jak kiedyś.

Nogi się pod nią załamały i zaczęła iść chwiejnie w kierunku jedyne go mężczyzny, który był dla niej w miarę miły poza jej własną rodziną. Lachlan zmarszczył czoło i chwycił ją, zanim upadła.

Gorąco. Było jej za gorąco.

- Wody. - Czy to ona powiedziała? Spróbowała ponownie. - Wody.

- Leż spokojnie, Grace.

Jak przez gęstą szarą mgłę usłyszała jego głos, a potem poczuła ręce na czole. Chłodne. Spokojne. Płyn wlewany kroplami do jej ust. Słodki.

Za nim była ciemność, a światło świec uwięziło ich w kręgu płomieni.

Ogień.

- Dziecko...?

- Ma znacznie mniejsze poparzenia niż ty, tak naprawdę wyszedł z tego cało. - Jego głos zdradzał, że był rozdrażniony i zmartwiony.

Znajdowała się w nieznanym pomieszczeniu. Nienawidziła łez, które płynęły jej po policzkach. Kiedy uniosła ręce, by je powstrzymać, ku swemu zaskoczeniu natrafiła na bandaż.

- Gospodyni zaaplikowała na oparzenia maść swojego wyrobu.

- A moja twarz?

Przejechał kciukiem po jej policzku i brwiach.

- Żadnych oparzeń.

- Kkto to był?

- Chodzi ci o dziecko?

- Tak.

- Najstarszy chłopak Connora, Donald. Pyta o ciebie każdego dnia.

- Każdego dnia?

- Prawie od tygodnia masz gorączkę. Z początku myśleliśmy, że nie wyjdiesz z tego.

To wyjaśniało jej wyczerpanie i skłonność do łez. Lachlan też wyglądał nie najlepiej, policzki i brodę pokrywał gęsty zarost, a pod oczami widać było ciemne kręgi. Płótno, którym miał obwiązaną lewą rękę, bardzo ją zaniepokoiło, wyczytał to w jej wzroku.

- Próbowałem zgasić płomienie na rękawach twojej sukni - wyjaśnił. - Donald przewrócił rondel z tłuszczem, a taki płomień trudno ugasić.

- Dziękuję.

Jego uścisk zacieśnił się. Mimo tych wszystkich warstw tkaniny czuła żar tego dotyku.

Szybko odwróciła głowę. Przecież jasno dał do zrozumienia, jakich relacji w tym małżeństwie sobie życzy.

Z drugiej strony była w Belridden sama i jego przyjaźń była ważna. Bo tylko na przyjaźń mogła liczyć. Przełykając dumę, spróbowała się uśmiechnąć.

- Twoja kochanka jest bbardzo piękna. - Gdy nie odpowiedział, dodała: - Pprzepraszam, że to mnie muusiałeś ppoślubić. Moogłam to powstrzymać.

Spojrzał na nią z uwagą.

- Jak?

- Wuj dał mi do wyyboru klaasztor albo ślub.

Boże! Jej oczy były pełne łez. Lachlan dopiero teraz zrozumiał, jak wiele to małżeństwo musiało ją kosztować. Dobry nastrój diabli wzięli.

- Po nowicjacie musiałabyś pozostać w zakonie przez resztę życia.

Po policzku spłynęła jej kolejna łza.

- Może powinnam była posłuchać wuuja... Radził mi klasztor.

- Nie. - Naprawdę był o tym przekonany, pamięć o ich wspólnej nocy gwałtownie powróciła. Zachwycała go odwaga Grace, a z tymi czerwonymi lokami, odbijającymi się jaskrawo od bieli płótna, wyglądała wyjątkowo ładnie. Ujął w palce pasmo spoczywające na puchowej poduszce i okręcił je wokół kciuka. - Medyk nalegał, żeby ściąć ci włosy dla ochrony przed gorączką.

Gorączkowo sprawdziła nieosłoniętymi końcami palców długość włosów.

- Są za krótkie?

Kiedy się roześmiał, poczuła ból, który sprawił, że jej twarz pokryła się rumieńcem.

- Mówi się, że nawet brzydka kobieta ma jakąś zaletę, choćby jedną, mój panie.

- A ty uważasz, że twoja to włosy?

- Tak uważałam - odparła wprost.

Serce mu się ścisnęło. Nie spodobało mu się to uczucie.

Wyszedł z kręgu światła i stanął przy palenisku, w którym nie było nawet żaru. Musiał się zastanowić.

Wiedział, jak potężną bronią było czyste piękno prawdy, ponieważ całe życie otaczały go zdrady, kłamstwa i oszustwa. Tymczasem brak snu osłabił jego odporność, a kształt nagiego ciała Grace rysujący się pod cienkim prześcieradłem, kusił niebezpiecznie.

Jego żona. Grace. Nawet imię do niej pasowało. Łaska. Czy łaska jest możliwa? Potrząsnął głową. Szkoda, że nie przyszedł tu z winem, ale głębokie oparzenia na palcach bolały jak diabli i trudno byłoby mu dzierżyć kielich.

Na ściany zamku napierał przenikliwy wiatr z gór Cheviot. Wkrótce nadejdzie jesień. Lachlan rozczapierzył palce i dotknął poparzoną skórą chłodnego kamienia.

Nie, ktoś taki jak on, niedowiarek z rodu Kerrów, nie jest godzien łaski. Przekleństwo ciążyące na jego rodzinie obejmuje wszystko, nawet żal za grzechy.

Kiedy ponownie odwrócił się do żony, zobaczył, że na niego patrzy, a w jej łagodnych brązowych oczach dostrzegł zrozumienie. Uśmiech, którym jej odpowie-

dział, był wymuszony.

- Chciałabym wiedzieć jeszcze jedno, dobrze? - spytała.

Skinął głową, mając nadzieję, że to pytanie nie będzie dotyczyć brata, bo w tej chwili mógł jej oferować tylko kłamstwa.

- Czy noce z twoją kochanką są zawsze tak wspaniałe jak zee mną?

- Nie.

- W takim razie cieszę się.

Po tych słowach zamknęła oczy i zasnęła. Rytm jej oddechu był równiejszy niż poprzednio, a na wargach pozostał ślad uśmiechu.

Wspaniałe? Przejechał stopą po podłodze i zdusił w sobie obawy. Nie przypominał sobie, żeby Rebecca choć raz sprawiła, by serce waliło mu z taką szybkością jak przy Grace.

Ona to wiedziała. Ujrzał tę wiedzę w oczach żony, kiedy zadała mu to pytanie, tak proste, a zarazem pełne skrywanej treści i tak bardzo zmysłowe, przez co wszystko stało się jeszcze trudniejsze.

Grace nie była świętoszkowatą kobietą, za jaką chciała uchodzić.

Lachlan nie potrafiłby nawet zliczyć pytań, które rodziły się w jego głowie.

Wiedział, że długo nie dadzą mu spokoju.

Rozdział szósty

Do rana ból w rękach wyraźnie się zmniejszył. Grace usiadła na brzegu łóżka i przyglądała się, jak Lizzie sprząta pokój.

- Cały zamek o pani mówi, o męstwie, jakie pani okazała, o doznanych oparzeniach. Nie zamierzam słuchać, jak pani temu zaprzecza.

Grace uśmiechnęła się.

- Czy mój mąż już zszedł na śniadanie?

- Och, to nie wie pani, że laird pojechał na północ z rozkazu króla?

- Na północ?

- Do Edynburga, gdzie odbędzie się rada naczelników klanów. Nasz laird potrafi wpłynąć na króla Dawida, który liczy się z nim, jego opinie traktuje jak głos rozsądku. Jako dzieci byli razem we Francji, a potem przez jakiś czas w Hampshire po klęsce w Nevilles Cross w czterdziestym szóstym.

Grace zmarszczyła brwi. Skoro Lachlan i Dawid byli z sobą zaprzyjaźnieni, dlaczego król tak stanowczo nalegał na to małżeństwo? Nie widziała w tym sensu.

W ogóle wszystko było bez sensu. Bolało ją, że mąż nie pożegnał się z nią przed wyjazdem. Jak widać, nie zamierzał wtajemniczać jej w swoje plany, nie zawracał sobie tym głowy, bo nic do niej nie czuł. Dobrze chociaż, że nie krył się z tym, nie udawał. Postępował uczciwie. Nasunęła jej się nowa myśl.

- Mogłabyś mi podać lusterko, Lizzie? - Uniosła rękę, dotykając dziwnie krótkich włosów. Gęste loki tańczyły wokół twarzy, nie sięgając nawet wycięcia koszuli.

- Zaraz przyniosę. - Odstawiła miskę na podłogę i położyła obok niej szczotkę, po czym wybiegła z sypialni, by prawie natychmiast wrócić z krążkiem polerowanej miedzi, którego rączkę owinięto paskami dobrze wyprawionej skóry. - Położymy je tutaj, blisko łóżka. Będzie je pani miała stale pod ręką. Powinnam je była przynieść w ubiegłym tygodniu, ale w tym całym zamieszaniu zupełnie zapomniałam. Widzi pani dobrze swoje odbicie?

Grace skinęła głową, zaniemówiwszy na widok tego, co ujrzała. Jej włosy były

inne, bardziej błyszczące, gęściejsze i bardziej rude niż kiedykolwiek.

- Myślę, że do twarzy pani z tymi lokami. I odważę się dodać, że skóra na pani ramionach wyraźnie się wygładziła. Smarowałam je maścią, którą sporządził medyk.

Przepelniała ją radość. Przez całe lata próbowała różnych mikstur, mieszanek, nalewek i lekarstw, żeby się pozbyć swędzenia, wszystko na próżno. Może lekarstwo czekało na nią tutaj, w Belridden, w tym najdziwniejszym z miejsc. Z trudem hamowała podniecenie.

- Może zrobić więcej tej maści?

- Ja zrobię, tak samo jak przygotowałam tę porcję. Zostawił mi przepis. Kwiat tarczycy i tojad z dodatkiem żywokostu i owoców dzikiej róży.

Grace na powrót odwróciła się do lustra, przechylała głowę to na jedną, to na drugą stronę, a ujrawszy w lusterku swój szeroki uśmiech, roześmiała się pełnym głosem.

- Nigdy nie lubiłam na siebie ppatrzeć, Lizzie. Przepraszam, jeśli wydaję ci się taka ppróżna...

- Jeszcze nigdy nie widziałam tak pozbawionej próżności damy jak pani. Nie pozwolę, żeby mówiła pani takie rzeczy.

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że włosy tak mi się kręca.

- Przedtem prostowały się, bo były bardzo długie i opadały pod swoim ciężarem.

Nigdy ich pani nie podcinała?

- Nie. Medyk w Grantley powiedział, że jeśli to zrobię, mogę mieć jeszcze więcej pproblemów skórnych. Poza tym moja matka nosiła długie włosy.

- Nie miała nic przeciwko pani wyjazdowi tak daleko od domu?

- Zeszła z tego świata wiele llat temu, tuż przed śmiercią ojca.

- Przykro mi.

Grace pod wpływem tych wspomnień pomyślała o innej śmierci.

- W jaki sposób umarła ppierwsza żona lairda?

Czoło Lizzie przecięła głęboka zmarszczka.

- Ruth Kerr zmarła w połogu.

- A więc jest dziecko?

- Było. Urodziło się martwe i zostało pochowane wraz z matką na cmentarzu przy zachodniej ścianie. Niektórzy twierdzą, że pani mąż ją otruił.

- A ty? Co ty powiesz?

Zaciśnięte usta służącej były bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa. Opinia została wydana i nic jej nie zmieni. Grace wiedziała jednak, że już nic więcej od niej wyciągnie, żadnych szczegółów, po prostu nic.

Następne popołudnie spędziła w małej kaplicy, ciesząc się panującą w niej ciszą i pięknem, zdziwiona przy tym, że nie spotkała tu żywej duszy. Czyżby kaplica była przeznaczona wyłącznie dla lairda i jego rodziny? A może w ogóle dla nikogo? Bo wszystko przemawiało za tym, że od dawna nikt tu nie był. Stalle, ołtarz i ławki pokrywała cienka warstwa kurzu, żadnych śladów butów na ziemi ani świeżych zadrapań na drewnianych siedziskach. Jedynie drobinki pyłu wirowały w świetle padającym przez barwne szkło, powoli, leniwie i spokojnie, dopóki tu nie przyszła.

Słyszając ciche kasznięcie, odwróciła się ku drzwiom. Stał w nich chłopiec, który poparzył się w wielkiej sieni. Skłonił się nisko, gdy zobaczył, że go zauważyła.

- Kiedy pani skończy się modlić, proszę podejść, mam coś dla pani. - Nie przekroczył progu kaplicy.

Przyklękła, wyszeptała szybką modlitwę i wyszła z kaplicy, gdzie oślepiło ją słoneczne światło słońca kontrastujące z ciemnym wnętrzem.

- Ty jesteś Donald?

- Tak, pani. Chciałem podziękować, że mi pani pomogła... - Poczzerwieniał na twarzy. Grace uśmiechnęła się, licząc na to, że chłopiec poczuje się swobodniej, lecz zarumienił się jeszcze bardziej. - Tędy. - Wskazał ścieżkę wśród żywopłotu, jakieś dwadzieścia jardów od wejścia do kaplicy.

Grace podniosła wzrok na zamek i zobaczyła, że strażnicy bacznie ich obserwują. Chyba nic jej nie zagrozi, jeśli kawałek przejdzie się z chłopcem?

Skinęła głową i ruszyła za nim w cień drzew.

Po przejściu dobrych dwustu jardów Donald zatrzymał się przed niskim klifem,

w którym wytworzyła się szczelina na trzy stopy szeroka. Przed wejściem rosły polne kwiaty osłonięte przed zimnym wiatrem, dzięki czemu były nadzwyczaj barwne i bujne.

- To tutaj, pani.

Weszła do środka i zdumiała się. Nie była to maleńka pieczara, tylko ogromna rozświetlona grotta, przez którą przepływał strumyk. Pod jedną ze ścian stały w dwóch kuflach z palonej gliny bukiety takich samych kwiatów jak te, które rosły na zewnątrz, a nad nimi przymocowano obrazek Świętej Rodziny wyhaftowany na płótnie, ujmujący przez swą szczerłość i naiwną prostotę.

Naturalna kaplica. Ze światła, wody i ciepła.

- Moja mama mówiła, że pani lubi się modlić, więc zrobiłem to dla pani... A do kaplicy nikt nie chodzi, odkąd... - Przerwał, spłoszył się bardzo.

- Odkąd...?

- Stary laird w niej umarł po tym, jak ksiądz go przeklął. - Chłopiec zacisnął wargi i rozejrzał się niespokojnie, jakby ktoś mógł go podsłuchać, jakby przekleństwo, o którym wspomniał, rzucone zostało niedawno, a jego moc wciąż jeszcze nie przebrzmiała.

- Ile masz lat, Donaldzie?

- Skończę dziesięć w listopadzie. Pani... hm, kiedy rozmawia pani ze mną, zupełnie się pani nie jąka, nie tak, jak w wielkiej sieni.

Uśmiechnęła się, szczerze zaskoczona jego słowami.

- Może chodzi o to miejsce. Donald, czy przychodzi tu ktoś jeszcze?

- Och, jest setka innych pieczar, nie tak daleko od zamku, więc ta jest moja. -

Uśmiechnął się. - Nikt nie wie, że jest moja, ale ja tak uważam, więc chyba jest moja, prawda?

- Tak, prawda. - Również się uśmiechnęła. Chłopak był bystry i bardzo sympatyczny, a przy tym myślał nie tylko głową, ale i sercem. To się po prostu czuło. Bardzo go polubiła, więcej, stał się jej bliski.

- Przyniosłem pani coś jeszcze. Na szczęście. - Pogrzebał w kieszeni i wyjął z

niej kamyk.

Wziąwszy go do ręki, Grace zobaczyła, że jest przecięty na pół, a powierzchnia została wygładzona. Bursztyn, a w nim schwytyany owad, który wyglądał, jakby w jednej chwili życie w nim zamarło.

- To ćma, z podwójną przepaską na skrzydłach.

Grace przypomniała sobie, że Ginny, kiedy była mała, interesowała się światem natury tak samo jak ten chłopiec. Ta myśl ją pocieszyła. Gdyby kuzynka kiedykolwiek zjawiała się w Belridden, pokazałaby jej te rzeczy, te skarby, bo był czas, kiedy lubiła chodzić po wzgórzach i obserwować...

Zatrzymała się i zdusiła gniew.

Malcolm Kerr postarał się, żeby to się skończyło. Teraz Ginny rzadko opuszczała Grantley i zawsze w towarzystwie innych. Nerwowa. Zamknięta w sobie. Niema.

Nagle zdjęła ją bezbrzeżna tęsknota za Grantley. Ile jeszcze czasu upłynie, zanim pojedzie do domu?

Do domu?

Teraz jej domem było Belridden, z mężem, który tolerował ją tylko dlatego, że ma urodzić mu spadkobiercę. I to więcej niż jednego! Nagle zobaczyła siebie jako starszą kobietę o zgorzkniałym sercu. A przecież nie tego chciała. Znacznie więcej pragnęła od życia. Z nagłą jasnością uświadomiła to sobie właśnie w tej chwili. Chciała miłości i szczęścia, bo w przeciwnym razie znalazłaby się w potrzasku, jak ten owad na zawsze zatopiony w bursztynie.

Gdy usłyszeli czyjś okrzyk, szybko wyszli z pieczary, przed którą stał Connor. Musiał wrócić z dalekiej drogi, bo cały był zakurzony od konnej jazdy.

Był wyraźnie zaskoczony, gdy zobaczył Grace w towarzystwie swego synka.

- Jeśli zawracał pani głowę...

- Nie. Ppokazywał mi skaarby.

- Matka chce cię widzieć w domu, Donaldzie. Natychmiast. - Kiedy chłopiec pognał co sił na gibkich nogach, odprowadził go wzrokiem. - To nasz pierworodny.

Może trochę dziki, ale ma dobre serce.

- Ttak. - Grace skinęła głową i schowała bursztyn do kieszeni.

- Żona i ja dziękujemy za uratowanie naszego chłopca. Wiem, że sama się pani przy tym poparzyła.

- Ślady już prawie znikły. - Uniosła ręce, teraz owinięte lżejszymi bandażami, bo ból już jej tak nie dokuczał.

Connor jednak spojrział na nie ponuro.

- Laird siedział przy pani całymi nocami. Nie pozwolił, by ktokolwiek go zastąpił. - Zawahał się, jednak widać było, że chce coś istotnego powiedzieć. - O naszym lairdzie mówią różne rzeczy, często nieprawdziwe. To dobry rycerz, który zasługuje na dobrą żonę. Mam nadzieję, że jest nią pani.

Ważne słowa, dar w zamian za ten, który otrzymał od niej.

Wiedziała jednak z całą pewnością, że woj Lachlana już nigdy nie zdobędzie się na tak szczerą rozmowę z jego małżonką. Chwila była szczególna i niepowtarzalna, więc Grace uznała, że musi ją wykorzystać, bo inaczej bardzo będzie tego żałować.

- Słyszałam, że mój mąż otruł swoją pierwszą żonę.

- Od kogo pani to usłyszała? - Gdy milczała na znak, że nie zdradzi informatora, Connor zasepił się bardzo. - W tym zamku są ludzie, którzy mogą okazać się dla pani niebezpieczni, ale daję słowo, że Lachlan Kerr nie jest jednym z nich. Proszę, niech pani nigdy o tym nie zapomina.

- Dziękuję - odparła po prostu.

Kiedy skłonił się lekko i odszedł, nie ruszyła za nim. Stała w słońcu poniżej klifu, obserwując małe owady, które fruwały na swobodzie, przecinając promienie światła i strefę cienia.

„Laird siedział przy pani całymi nocami. Nie pozwolił, by ktokolwiek go zastąpił”.

Wyciągnęła bursztyn z kieszeni i potarła wypolerowaną stronę. Tak na wszelki wypadek.

Lachlan był zmęczony pobytem w Edynburgu, zmęczony intrygami, knowania-

mi i pilnowaniem się, żeby nie powiedzieć czegoś niewłaściwego, ale przede wszystkim był zmęczony kobietami, które nachalnie zabiegały o jego względy.

Zawsze tak było i do tej pory mu się to podobało, ale tym razem wszystko wyglądało inaczej. Zastanawiał się, jak się czuje Grace, czy jej ręce się wygoiły i czy jest przy nadziei.

Boże, na samą myśl o niej dostał wzvodu, i to w biały dzień, gdy przebywał na królewskim dworze. Próbował się opanować, ale rozważania o polityce króla Dawida i jego angielskich sympatiach niewiele pomagało. Czasami ledwie rozpoznawał mężczyznę tak niepodobnego do chłopca, którego znał od zawsze, ucznia, który potrafił wyrecytować Deklarację z Arbroath słowo po słowie. Szkocka niezależność została z tak wielkim trudem wywalczona przez Bruce'a, a sukces został okupiony tak wielką daniną z krwi, że zastanawianie się nad traktatem, który osadziłby Anglika na szkockim tronie, wydawało się bliskie narodowej zdrady i z pewnością doprowadziłoby do buntu.

Sir John Murray z zamku Bothwell usiadł przy Lachlanie. Znajdowali w jednym z pomieszczeń w kamiennym donżonie, czyli wieży obronnej, usytuowanej za kaplicą Świętej Małgorzaty.

- Zdaje się, że angielska niewola rozmiękczyła głowę Dawida.

Lachlan powoli dopił francuskie wino z pięknie rżniętej szklanicy i zerknął ostrożnie przez ramię, sprawdzając, czy nie ma nikogo w pobliżu. Takie słowa mogły zostać uznane za zasługujące na katowski topór knowania, gdyby podsłuchał je ktoś, dla kogo nie były przeznaczone.

- Cóż, to nie my spędziliśmy blisko jedenaście lat w angielskiej niewoli, John, a kto wie, jak to może wpłynąć na człowieka? Niemniej myślę, że gdyby właściciele ziemscy wiedzieli, co mu chodzi po głowie, mielibyśmy bunt na ulicach.

- I w majątkach ziemskich.

- Tak, nasz kraj stanąłby w ogniu wojny domowej. Kłopot polega na tym, że idee Dawida nie zrodziły się tu, w Szkocji, i nigdy nie zakorzeniły się na tyle, by wokół nich powstało stronnictwo polityczne. Do tego okup, który na mocy traktatu z

Berwick trzeba zapłacić Anglikom za uwolnienie króla, działa na niekorzyść tej koncepcji. Dwie raty, na które złożyły się podatki Szkotów, już pojechały do Londynu, i co dalej? Majątki ziemskie ledwie dyszą, szlachta tonie w długach, a tu jeszcze dochodzą dodatkowe obciążenia.

Spojrzeni na króla, który siedział po drugiej stronie komnaty.

Długi, słaba gospodarka i nieudolny król źle rokowały dla idei naprawdę wolnej, silnej Szkocji. Lachlan znów pożałował, że nie jest w domu.

- Gdyby miał spadkobiercę, pewnie wszystko potoczyłoby się inaczej.

Oczy Johna rozbłysły.

- Skoro o tym mowa...

Lachlan przerwał mu, dobrze wiedząc, dokąd John zmierza.

- Ożeniłem się niecałe dwa tygodnie przed tym, zanim Dawid ściągnął mnie tutaj.

- A teraz chcesz wracać? - Uśmiech przyjaciela rozdrażnił Lachlana równie mocno, jak ziarno prawdy zawarte w jego słowach. John nie przejął się gniewną miną Lachlana, tylko mówił dalej: - Dość już zrobiłeś dla króla Szkotów przez te wszystkie lata daleko od domu, we Francji, w Château-Gaillard, i w Odiham w Hampshire. Nie sądzisz, że może czas, by zaprowadzić porządek we własnym domu?

Gdyby te słowa wypowiedział ktoś inny, Lachlan uznałby je za zniewagę, ale znał Johna Murraya dłużej niż Dawida i wiedział, że przyjacielem kierowały jak najlepsze intencje.

Belridden, które dumnie wznosiło się nad okolicą, w rzeczywistości było zrujnowaną twierdzą przesiąkniętą krwią Kerrów, od wieków rozlewana na tych ziemiach. A jednak czuł się z tym miejscem nierozzerwalnie związany. Po ślubie z Ruth miał nadzieję, że już osiadzie tam na stałe, a jednak zarówno przez wzgląd na melancholię żony, jak i negocjacje w sprawie uwolnienia Dawida, więcej czasu spędził w rozjazdach niż w domu.

Może to, co się wydarzyło później, nie było tylko jej winą; może część odpowiedzialności spoczywała na nim, nieobecny mężu, który lata całe strawił na woj-

nach i dyplomatycznych misjach i nie potrafił zerwać więzów, którymi oplątała go rodzina.

Była to smutna refleksja.

Wstał, spojrzął na przyjaciela.

- John, słyszałem, że za parę tygodni wybierasz się w podróż na południe.

- Tak.

- W takim razie koniecznie zajedź do mego zamku.

- Żeby poznać twoją żonę?

Lachlan odszedł bez słowa.

O zachodzie słońca dziesiątego dnia po wyjeździe wrócił do Belridden i trafił w sam środek chaosu.

Wczesnym rankiem zapalił się młyn i nad pogorzelskim, z miejsc, których nie zalano wodą, wciąż unosiły się smugi dymu. Jednak nie strata zapasów jedzenia ani zniszczony budynek zmartwiły go najbardziej. Nie, chodziło o to, że tuż przed pożarem przy młynie widziano kobietę. Kobietę w ciemnoniebieskiej pelerynie z kapturem i czarnych butach z delikatnej skóry.

Grace.

Connor próbował mu to wyjaśnić, zanim jeszcze zsiadł z konia.

- Stary Tom widział ją, kiedy był na dworze z psami, a Bridget, córka kowala, też ją widziała, jak biegła w kierunku polany za zachodnią ścianą.

- Tylko postać, bez twarzy? To mógł być ktokolwiek.

Connor przez dłuższą chwilę milczał, głęboko zastanawiając się nad doborem właściwych słów.

- Wielu mieszkańców zamku wierzy, że to pańska żona.

- Rozumiem. Gdzie ona jest?

- W swojej sypialni. Nie wychodzi stamtąd, odkąd spytano ją o pożar.

Lachlan rzucił wodze stajennemu i otrzepał się z kurzu. Po męczącej jeździe marzył o wypoczynku, ale nie chciał, by ludzie dłużej snuli domysły.

Kiedy wszedł do wielkiej sieni, zapadła osobliwa cisza, zupełnie jakby cały za-

mek wstrzymał oddech w oczekiwaniu na to, co się wydarzy. Nawet Rebecca, zajęta wycieraniem stołów nieopodal paleniska, trzymała się na dystans.

Grace siedziała przy oknie, jednak okiennice były zamknięte. Płomiennorude włosy opadały falami na ramiona. W izbie było bardzo zimno.

Patrząc na nią, Lachlan uświadomił sobie, że myśli o tym, jak bardzo pasuje do niej ta nowa długość włosów, a kiedy Grace podniosła głowę, zauważył natychmiast, że jej oczy są zapuchnięte i zalęknione.

- Nie zrobiłam tego.

Kiedy wstała, zobaczył, że nosi tylko lekki bandaż na jednym ręku.

- Masz błękitną pelerynę z kapturem?

- Ttak.

- Czy jest tutaj?

Skinęła głową, otworzyła skrzynię i patrzyła na Lachlana, który zbliżył się wielkimi krokami i wziął pelerynę. Nie poczuł zapachu ognia ani dymu. Nie dostrzegł też śladów osmaleń, popiołu ani tłustych plam.

- Jeśli jesteś niewinna, nikt nie zrobi ci krzywdy.

Pokręciła głową.

- Jeśli, jeśli... - szepnęła do siebie, lecz zorientowała się, że Lachlan to usłyszał. - Myślałam, że juuż zaczynają mnie luulubić.

Musiał się uśmiechnąć. Była taka naiwna. Boże, nawet jako młodzik nie patrzył na świat w ten sposób. Patrzyła mu prosto w oczy, gdy dodała:

- Mmyślałam, że wwróócisz i zobaczysz, że twoi ludzie mnie luubią.

- A to dla ciebie jest ważne, bo...? - Był ciekaw, dlaczego taką wagę do tego przykłada.

Jej pragnienie, by być lubianym i szanowanym, rozumiało się samo przez się, jednak czy chciała tego dla samej siebie, dla zbudowania własnej pozycji w zamku, czy też by wykorzystać to dla dobra męża? I wspomagać go w pracy dla dobra Belridden, co przyszłoby jej łatwiej, gdyby cieszyła się miernym światem wśród służby i wojów? Nie wiedział, jakimi tropami zmierzają jej myśli, pragnienia, marzenia.

Patrzył na nią wyczekująco, a pod wpływem jego spojrzenia plamy na jej policzkach pociemniały. Już myślał, że padnie odpowiedź, gdy w otwartych drzwiach pojawiła się służąca.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że pan wrócił. Przyszłam pomóc pańskiej żonie przebrać się do kolacji.

- Więc zejdziesz na dół?

- Dlaczego miałabym nie zejść? Nie zroobiłam tego. - W jej brązowych oczach pojawił się gniew.

Lachlan poczuł nagły przypływ namiętności. Minęły ponad dwa tygodnie, odkąd z nią spał. Gdyby był pewien, że nie będzie się opierała, odesłałby służącą i wziął Grace do łóżka, tu i teraz.

Powściągnął jednak żądzę i odwrócił się, a prezent, który przywiózł żonie z Edynburga, pozostał w jego sakiewce. Była to spinka do włosów zrobiona w Konstantynopolu. Zobaczył ją w witrynie sklepu w wąskim zaułku za zamkiem i kupił natychmiast. Był to impulsywny, lekkomyślny zakup, który stanowczo za wiele go kosztował.

Wychodząc z sypialni, zacisnął palce, czując gładkość szylkretu.

Tego wieczoru świętowano jego bezpieczny powrót z Edynburga. W wielkiej sieni było wyjątkowo tłoczno, bo na ucztę przybyli też wieśniacy z wioski. Wszyscy siedzieli na ławach, ciasno jeden obok drugiego, nie kryjąc ciekawości, co zaraz się zdarzy.

Nie kryli niechęci wobec Grace.

Lachlan wiedział, że powinien odsunąć się od żony. Tak zwykle zachowywał się w oficjalnych okolicznościach laird, samodzierzca na swoim zamku i swojej ziemi, wyrastający niebotycznie nie tylko ponad służbę, ale i rodzinę, dzieci, żonę. Zarazem swoim postępowaniem sygnalizował innym swoją wolę, jego gesty wskazywały, kogo wywyższa, a kogo zrzuca na sam dół. Gdyby odsunął się tylko od Grace, nic by to nie znaczyło. Gdyby spojrzał na nią z pogardą czy niechęcią, znaczyłoby to wiele. Tak samo wiele by znaczyło, tylko w zupełnie inny sposób, gdyby tkwił blisko niej. I

właśnie tak postąpił, zaniepokoiły go bowiem nastroje panujące wśród wojów, służby i wieśniaków.

Grace miała na sobie suknię, w której wyglądała jak prawdziwa angielska dama, a czerwony brokatowy tren idealnie pasował do rubinowego naszyjnika. Bogactwo, które było z tego stroju, było jednak zbyt ostentacyjne. Żadna tutejsza kobieta nie mogła jej dorównać, żaden mężczyzna nie mógł kupić czegoś równie wspaniałego żonie czy córce. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego Grace zachowuje się w ten sposób, zwłaszcza gdy obciąża ją oskarżenie o spowodowanie pożaru. Siedziała więc samotnie, jakby na ziemi niczyjej, stworzonej przez ich podejrzliwość i własną wyniosłość. Wyprostowała się dumnie, a szpiczasty czepiec unosił się dobre trzy stopy nad jej głową, osobliwa konstrukcja pochodząca z odległego świata dworów i królów.

Gdyby była ładniejsza albo uleglejsza, może by jej wybaczone, lecz taka nie była. Skóra na jej szyi znów zrobiła się szorstka, a rude włosy gryzły się z jasnoczerwoną barwą sukni. Lachlan odgarnął włosy i starał się opanować narastającą irytację, którą wywołał znajomy mu już błysk w oczach żony. Strach przytłumiony odwagą i wyzwaniem, które rzuciła otoczeniu.

Śmiech Rebecki też go drażnił, tym bardziej że niefortunnym zbiegiem okoliczności kochanka wybrała prawie taki sam kolor sukni jak jego żona. Spora grupka ludzi tłoczyła się wokół Rebecki, pojąc ją piwem, które Lachlan kazał przynieść z piwnic. Natomiast Grace odmawiała picia. Milcząca i nieprzystępna, wyglądała jak ktoś, komu nie odpowiada żadne towarzystwo poza własnym.

- Jeśli chciałabyś zatańczyć, Connor zna kroki.

Po raz pierwszy tego wieczoru spojrzała mu prosto w twarz.

- Wątpię, czy chciałaby zatańczyć akurat zee mną. - Skrzywiła się lekko na rubaszne pokrzykiwania tych, którzy kręcili się wokół Rebecki. - Możesz odejść, jeśli chcesz dołączyć do niej, a ja...

- Nie - przerwał jej. - Dziś potrzebujesz mojej ochrony.

Zdenerwowana, przełknęła ślinę.

- Czy oogień spowodował duże straty?

- Jak dla nas olbrzymie. Mąka. Worki. Drewniane koło wodne.

- Mój posag może to wynagrodzić.

- Nie zawsze pieniądze są skutecznym rozwiązaniem, pamiętaj też, że jakakolwiek rekompensata za czyn, którego, jak twierdzisz, nie popełniłaś, może być uznana za przyznanie się do winy.

- Nie chciałam...

- Ktokolwiek podpalił młyn, zostanie pojmany i ukarany.

- Tak powinno się stać. - Okręciła czerwoną jedwabną chustę wokół ręki.

Lachlan przypomniał sobie, że zrobił podobnie tej nocy, kiedy zabrał jej dziewictwo. Jego chusta była koloru burgunda, a skóra Grace wydawała się pod nią niemal przezroczysta.

Boże, może rzeczywiście była czarownicą, ta jego dziwna żona... Wywoływała żądze, pragnienie, którego nie dało się ugasić, i całkiem nie dbała o sens i rozsądek. Zerknął przez otwartą okiennicę, sprawdzając położenie księżyca na niebie, Było już późno. Kiedy Rebecca pochwyciła jego spojrzenie z drugiej strony sieni, ku jej rozczarowaniu odwrócił wzrok. Grace skupiła na sobie całą jego uwagę.

- Czy nosisz w sobie nasze dziecko?

Oblizła językiem wargi, a brodawki piersi napięły się pod materiałem sukni. Gwałtowna żądza, którą zapłonął, zezłościła go.

- Jeszcze zza wcześniej, by coś powiedzieć.

Jej głos był stłumiony, krótkie loki tańczyły wokół twarzy. Wyglądała znacznie młodziej niż na dwadzieścia sześć lat.

- Ładnie ci we włosach tej długości. - Zatrzymał dłonie, które już podnosiły się, by dotknąć Grace, i zastanawiał się, co go podkusiło, by wypowiedzieć te słowa, a kiedy uniosła rękę, w oczy rzuciły mu się piegi na wierzchu dłoni, tak inne od nieskazitelnie białej skóry jego kochanki.

Do diabła. Czy jego życie sprowadziło się do porównywania Grace z każdą kobietą, z którą kiedykolwiek romansował, i prawienia jej komplementów, których - o czym doskonale wiedział - oczekiwały inne? Irytacja sprawiła, że zrobił się niemiły.

- Jednym z twoich obowiązków jako mojej żony jest zarządzanie zamkiem. Jutro każę gospodyni, żeby pokazała ci, na czym to polega.

- Bardzo bym chciała.

- Wychodząc z zamku, zawsze dopilnuj, żeby towarzyszył ci któryś z moich ludzi.

- Żeby piipilnowali, bym nie wyrządziła szkody twemu zamkowi?

Roześmiał się, lecz ten śmiech zabrzmiał dziwnie obco.

- Nie myślałem o tym w ten sposób. - Tym razem spojrzała mu prosto w oczy, a światło świec sprawiło, że bursztyn jej oczu przybrał głębszy odcień brązu. - Chodziło mi raczej o ochronę.

- Przeciwno czemu?

Spojrzał na nią. Jak łatwo i bezpiecznie musiało się jej żyć w Anglii, skoro zadała mu takie pytanie. Tutaj nic nie było bezpieczne. Ani ognisko domowe, ani rodzinne strony, ani cały kraj.

- To Szkocja, Grace, a ty prowadzisz niebezpieczną grę, zadając te wszystkie pytania. Jeśli cenisz swoją głowę, rozsądniej będzie, gdy zaczniesz ją schylać. W ten sposób unikniesz kłopotów.

Kiedy przytaknęła z powagą, a dołeczki w jej policzkach pogłębiły się od namysłu, znów poczuł pożądanie. Boże w niebiesiech, to przecież nie miało sensu.

Spojrzał przez sień na Rebeccę i poczuł głęboką niechęć, gdy ujrzał jej kokieteryjnie dziecinną minę, gdy wspomniął jej temperament. Pragnął tylko Grace. Nie potrafił nawet zdobyć się na pewien umiar w słowach, tylko zapytał wprost:

- Czy pójdziesz dziś ze mną do łóża?

Złoto w jej oczach błysnęło jak odbicie jego własnego pożądania.

- Jesteś moim mężem. Możesz ze mną spać, kiedy tylko chcesz.

- I gdzie chcę - odpowiedział szybko, nie bacząc na zachowanie manier.

Tak silna była potrzeba. Pragnął być z nią. Być w niej. Patrzeć na jej rude loki poruszające się przy każdym ruchu. Wejść w jej miękką kobiecość.

Skinęła głową, jakby godziła się z jego obcesowością, chociaż nie patrzyła na

niego.

- W takim razie przyjdę do ciebie, jak tylko porozmawiam z Connorem.

Wstała, skłoniła się i wyszła z sieni, a kołysanie jej bioder rozpraszało go tak, że nie słyszał słów Connora. Patrzył, jak jego żona wychodzi z wysoko uniesioną głową, torując sobie drogę przez tłum ludzi i nie odzywając się do nikogo.

Grace zdjęła piękną suknię i wysoki czepiec z welonem, który zwisał lekką przezroczystą falą z jego czubka, nie zdjęła jednak podwiązek podtrzymujących pończochy i lśniącego rubinowego naszyjnika. Boże, jaka była zadowolona, że jest z daleka od sieni pełnej ludzi i przebijającego się przez gwar śmiechu Rebecki McInness.

Podeszła do łóżka i położyła się na nim, a kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Lachlan, nie odwróciła wzroku.

- Święci pańscy! - zawołał, zamknął rygle i ściągając koszulę, przemierzył pomieszczenie. Na widok jego gotowości uśmiechnęła się, a on jedną ręką chwycił ją za włosy i owinał je sobie wokół nadgarstka, drugą zaś ujął jej nagi pośladek. - Kiedy wezmę cię tym razem, zamierzam doprowadzić do tego, byś błagała mnie, żebym przestał.

- Zaczynaj od razu - odparła, wgrzyzając się w skórę jego nadgarstka.

Krzyknęła spazmatycznie, kiedy oboje dotarli do szczytu, a jawna szczerłość tego krzyku podziałała na nich wyzwalająco.

- Świece - powiedziała ochryple, kiedy przytulił jej biodra do swoich. - Niee chcę ich.

Zwilżył palce i zgasił płomienie.

Leżeli wyczerpani, Grace bezwładnie opadła na Lachlana, włosy miała dziko splątane. Zmorzył ją sen.

Była kusicielką, choć sama o tym nie wiedziała. Na pozór pospolita i nieśmiała, w rzeczywistości kryła w sobie niezwykłą siłę zmysłowości.

Lachlan ostrożnie, by nie zbudzić żony, położył na jej plecach dłoń. Czuł, jak lekko unosi się i opada w rytm oddechu, rozkoszował się zapachem jej perfum, którego do tej pory nie znał. Jakieś kwiaty, uznał. To było w jej skórze i włosach. I po raz

pierwszy po kochaniu się z kobietą nie miał ochoty wstać i wyjść. To, że Grace leżała na nim, drzemała, dochodziła do sił, było... właściwe.

Nasłuchiwał dobiegających z wielkiej sieni odgłosów uczty. Był zadowolony, że go tam nie ma, był zadowolony, że jest w swym łóżu ze swoją żoną w ramionach, a drzwi są dobrze zabezpieczone przed intruzami.

Ta żona.

Tak niepodobna do poprzedniej.

Tak niepodobna do żadnej innej kobiety, z którą kiedykolwiek dzielił łóżo, a było ich przecież niemało.

Jego wzrok powędrował do pończoch na podwiązkach rzuconych niedbale na matę z sitowia, pończoch, które zjął po północy, kiedy Grace błagała go, żeby nie przestawał.

Jak nabawiła się ran na udach?

Zacieśnił uścisk. Ślady ognia? Już wiedział, pytanie zamieniło się w pewność.

Czując przy piersi ruch jej rzęs, domyślił się, że się przebudziła, a jednak była tak cicho jak on, ciesząc się ostatnimi wspólnymi chwilami, zanim rzeczywistość ich rozdzieli.

Jak bardzo kochała jego brata? Jak dużo wiedziała o jego śmierci? Czy była jakaś prawda w krążących pogłoskach, które obarczały Grace winą za zniknięcie Malcolma?

Były to pytania, które musiał zadać, choć nie teraz. Nie, kiedy przyplływ pożądania znów go dopadł. Lachlan obrócił się ku żonie, napawając się sposobem, w jaki jej ciało owinęło się wokół jego ciała, zanim przyjęła go w siebie.

Rozdział siódmy

Wczesnym popołudniem następnego dnia Grace udała się na spacer ścieżką prowadzącą tuż przy zamkowym murze. Lekka mgła nadawała okolicy dzikie piękno, którego tak brakowało w Anglii, a kamienie, z których zbudowano Belridden, przybrały niemal różową barwę. W tym świetle wysoka surowa wieża nie wydawała się tak brzydka jak zwykle. Zamek miał przecież służyć do obrony, a w tym odległym od cywilizacji świecie bezpieczeństwo miało swój niezaprzeczalny walor.

Bezpieczeństwo. Zacisnęła dłonie w pięści, a potem wyprostowała wszystkie palce, jakby uwalniając trawiące ją uczucia. Przypomniała sobie wybuch namiętności, żywiołowy i niepoahamowany, który ostatej nocy przełamał cały opór, zastępując go pełną entuzjazmu reakcją. Nawet teraz wciąż czuła podniecenie, zachwyty i żarliwość.

Lachlan opiekował się nią. Ta myśl spowodowała, że łzy zakręciły jej się w oczach. Zaczęła się obawiać, że popłyną niepoahamowanym strumieniem. Zawsze będzie tu bezpieczna, chroniona jako żona, a przed nią być może jeszcze wiele takich nocy. Czy Lachlan przyjdzie dziś wieczorem? Uśmiechnęła się, bo już zaczynała zdawać sobie sprawę ze swojej kobiecej władzy.

W tym momencie dostrzegła męża. Wyłonił się z lasu za łągiem, jechał ku niej na stępaku. Koń był mniejszy od tego, na którym przyjechał do Anglii. Uzda była w tonacji czerwono-zielonej, klanowych barwach Kerrów, a znak herbowy w tych samych odcieniach zdobił siodło. Lachlan był nie tylko lairdem, ale także rycerzem, a swój rycerski miecz otrzymał na dworze króla Filipa.

Z młyna została wypalona skorupa, zwęglone resztki koła wodnego wisały smętnie z drugiej strony rzeki, a Lachlan nie wyglądał na zadowolonego. Jej radość zmąciła się jeszcze bardziej, kiedy dołączył do niego jeden z wasali, w którego oczach, gdy poparzył na nią, dostrzegła nieufność i podejrzliwość, a może nawet nienawiść.

- Będziemy musieli go odbudować przed zimą, panie. Koło i dach są na nic, większość ziarna spalona i mokra.

- Ściągnij ludzi. Niech oczyszczą teren i zetną drzewa na budulec. Obiecuj im w moim imieniu chleb z zamkowej kuchni i prawo do polowania w okolicznych lasach w zamian za przepracowane godziny.

Grace słuchała z rosnącym podziwem logicznych, pełnych rozsądku poleceń męża, kiedy przedstawiał plany ponownego uruchomienia młyna. Wreszcie, usatysfakcjonowany tym, co udało mu się ustalić, pożegnał wasalę i zsiadł z konia. Było zimno. Grace żałowała, że nie włożyła peleryny, ale przy tych wszystkich domysłach na temat kobiety w błękitach nie odważyła się nikomu w niej pokazać. Była zdumiona, jak lekko ubrany jest Lachlan w tę pogodę, nogi miał gołe, a gruba koszula była rozpięta przy szyi. W świetle nowego dnia wszystko to, co wydarzyło się między nimi w ciemnościach, wydawało się nierzeczywiste, a ostrość jego spojrzenia odebrała jej pewność siebie i wzbudziła niepokój.

- Wiidzę, że ludzie mmyślą, że to ja.

- Cóż, w Belridden nigdy nie było pożaru, który wyrządziłby takie szkody, a ty jedna jesteś tu obca. Musisz zrozumieć, jak to może wyglądać z ich punktu widzenia.

- A jeeśli to zdarzy się znów...?

- Chcesz powiedzieć - przerwał jej - że mogłoby?

Pokręciła głową.

- Nie, ale jeśli ktoś inny znowu upozoruuje, że tto ja?

Zmarszczka gniewu przecięła mu czoło.

- Wówczas zostanie złapany. - Na chwilę zamilkł, po czym podjął: - Jeśli to jednak ty, Grace, lepiej będzie, jeśli powiesz mi o tym teraz.

- To nnie ja. - Siłą woli zdusiła ból.

Kiedy ramię w ramię skierowali się do wieży, w miejsce ledwie obudzonej nadziei pojawiło się przygnębienie. Nie mogła pojąć, dlaczego mąż uważa ją za zdolną do czegoś takiego. Może był bardziej podobny do swego brata, niż sądziła.

Znów powróciła myślami do tego wieczoru, kiedy Malcolm Kerr przybył do Grantley z Londynu wraz z jej kuzynem. Spojrzał na nią raz i roześmiał się.

- Wyciągnąłeś mnie z dworu dla tej kobiety, Stephen? - Postarał się, żeby jego

głos nie był słyszany w drugim końcu pomieszczenia i żeby jej wuj nie zauważył tego grubiaństwa. - W Londynie mogłem ożenić się z każdą bogatą dziedziczką przeciętnej urody i z pewnością żadna nie miała włosów tego koloru. - Ział szyderstwem, a gdyby tego wieczoru znalazł się jakiś woźnica skłonny podjąć się podróży powrotnej do miasta, może nie doszłoby do tego wszystkiego, co stało się potem.

Bo oto do komnaty weszła Ginny ze świeżo umyтыми włosami i w nowej szafirowej sukni odcieniem doskonale dopasowanej do niezwykłego koloru jej oczu. Grace z miejsca zauważyła zainteresowanie na twarzy potencjalnego zalotnika i coś się w niej zmieniło. Coś ją przeraziło.

Potrząsnęła głową. Lachlan Kerr w niczym nie przypominał swego brata, ale dziś był chłodny i nieobecny. Delikatnego nocnego kochanka zastąpił mężczyzna, który miał na głowie wiele spraw. Rzuciła okiem na jego palce, w których teraz trzymał uzdę, palce, które tak cudownie pieściły jej ciało. Uśmiechnęła się do swoich niedorzecznych rozważań, zadowolona, że Lachlan nie może czytać w jej myślach.

Jednak jego następna uwaga zaniepokoiła ją.

- Jesteś taka dziś cicha.

Co miało znaczyć to stwierdzenie? Czy porównywał obecne zachowanie żony z nocną namiętnością? Jej nastrój zmienił się diametralnie. Nie, to niemożliwe, by myślał o czymś takim. Cóż, ledwie ją zauważał, pomijając pytanie o pożar, i z pewnością trzymał się od niej na dystans.

- Bbycie lairdem to wieelka odpowiedzialność - zaryzykowała, drapiąc plamę na nadgarstku.

- Czy poparzenia wciąż ci dokuczają? - spytał, po czym ujął Grace pod ramię, by dokładniej przyjrzeć się jej ręce.

Próbowała ją wyrwać.

- Nie, już nie. Od jak ddawna jesteś lairdem? - Zadała to pytanie w nadziei, że przeniesie jego uwagę na inne sprawy.

- Od śmierci Malcolma.

Dziesięć miesięcy. To niezbyt długo. Była zadowolona, kiedy puścił jej palce.

- Mój wuj często mawiał, że wwojna wymaga od mężczyzny wiele odwagi, ale pozostanie na wsi i praca na ziemi jeszcze więcej.

Roześmiał się, ale jego śmiech ledwie zabrzmiał, a już się skończył. Grace pomyślała, że jej mąż nie ma w tym wielkiej wprawy.

- Pewnie ma rację. Malcolm trzymał się z dala od Belridden tak długo, jak tylko się dało. Czy poznałaś go w Londynie?

- Nie. Przyjechał do Grantley ze Stephenem.

- Twoim kuzynem? Mężczyzną, który przybył do Belridden z rzeczami mego brata po tym jak...?

Pytanie zawisło w powietrzu. Rozejrzała się wokół. Przeszywał ją spojrzeniem tych swoich bladoniebieskich oczu.

- Po tym, jak kkoń go zrzucił - dokończyła z trudem, wbijając paznokcie w miękką skórę wnętrza dłoni. Boże, po ostatniej nocy był nieskończenie bardziej surowy, zamiast serdeczności i uprzejmości pojawiły się raniąca rezerwa i powściągliwość.

W sposobie, w jaki marszczył czoło, było też coś, co sugerowało, że nie wierzył w jej opowieść. Stephen powiedział to samo po powrocie z Belridden dziesięć miesięcy wcześniej. Bardzo więc zaskoczyła ją i jej rodzinę propozycja małżeństwa z Lachlanem Kerrem. Grace zaś po prostu bała się, że drugi brat może odgadł, może wie...

Znów odpędziła tę myśl.

Nikt nie wiedział, nikt z wyjątkiem mężczyzny, który pokoziołkował w głąb żlebu i którego nikt odtąd nie widział.

Nawoływania z zamkowych murów gwałtownie wyrwały ją z zadumy. Od strony wioski jechali dwaj mężczyźni na koniach, a ich stroje sugerowały Grace, że to zapewne Anglicy. Serce zaczęło jej walić. Czy jej rodzina była bezpieczna? Czy coś się stało jej kuzynkom i wujowi?

- Kto to?

Lachlan przesłonił oczy przed słońcem wierzchem dłoni.

- Przyjaciele - odparł wreszcie i uniósł dłoń na powitanie.

Lachlan stał odwrócony plecami do ognia, usiłując zrozumieć coś, czego nie spodziewał się nigdy usłyszeć.

- Widziałem zaginionego sługę twego brata w ubiegłym miesiącu w jednej z tych oberży w Londynie, Lach. Z tego co mi powiedziano, pił więcej, niż powinien, i przegrywał mnóstwo złota w karty.

- Mówisz o Kennecie MacIndoe? Jesteś pewien, że to był on?

- Wszedłem prosto na niego i klepnałem go w plecy. Powiedziałem mu, że go szukałeś, masz kilka pytań w sprawie śmierci twego brata i bardzo ci zależy na odpowiedziach. Kiedy wspomniałem o twoim małżeństwie, przeklął ciebie i twoją żonę, a potem bardzo wzburzony wyszedł z sali. Od tamtej pory nie mogłem go znaleźć, chociaż oberżysta twierdził, że kręcił się tam od jakiegoś czasu.

Lachlan usiłował zrozumieć powód takiego zachowania. Dlaczego sługa ukrywał się w Londynie, skoro wszystko zostało wyjaśnione. Istnieje oficjalna wersja zdarzeń, koniec, kropka, nikt o nic nie został oskarżony, nikomu nic nie grozi. Jeśli jednak do wiadomości ogółu przedostaną się jakieś wątpliwości związane ze śmiercią Malcolma, jak to wpłynie na Grace? Kochała Malcolma. Może wciąż go kocha.

Pajęczyna oszustw i ich następstw zacieśniała się wokół niego, tym bardziej że sam też uciekł się do szeregu kłamstw. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Jeśli królowie w majestacie prawa mogli zawiązać węzeł, on za pomocą stali potrafi rozciąć inny. To było proste, a poza tym nigdy nie ufał Kennethowi MacIndoe. Cała ta historia jednak go zaniepokoiła. Złoto zostawiało swoje ślady, a mężczyzna z rodziną czekającą na niego na pograniczu nie miał żadnego interesu w przyczajaniu się w londyńskiej oberży. Chyba że...

Potrząsnął głową i zakazał sobie myślenia o polityce. Jego spojrzenie bezwiednie powędrowało za okno, na światło dzienne. Przynajmniej siedem godzin do zmierzchu. Siedem godzin do czasu, kiedy znów weźmie swą żonę, bez pytań, które pojawiały się podczas schadzki za dnia. Przeklął długie godziny oczekiwania i prze-

klął też swoje godne potępienia pragnienia nasilające się z każdą chwilą, którą spędzał z dala od Grace, kiedy nie czuł jej dłoni w tych miejscach na swoim ciele, których żadna kobieta nigdy dotąd nie dotykała. Słodkich. Gorących. Hojnych.

Wysłał nowo przybyłych do wielkiej sieni, aby zjedli coś i się napili, odgarnął włosy z twarzy i polecił swoim ludziom ruszyć na pole, gdzie stał obrotowy manekin do ćwiczeń, dochodząc do wniosku, że solidna dawka ciężkiej pracy może wygna demony, które w nim zamieszkały.

Do czasu obiadu jego irytacja nie ustąpiła. Wiele godzin żołnierskich ćwiczeń i odniesione w nich obrażenia tylko podsycaly ból tkwiący głębiej. Spojrzał na Rebecce, która wyszywała gobelin w rogu sieni przy palenisku, i wezwał ją do siebie. Ściągnął z niej ubranie, wziął ją do łóżka zasłanego ciężkimi, dobrze wyprawionymi futrami przyjemnie pieszczącymi skórę, i natychmiast rozpoczęli taniec godowy.

- Myślałam, że już do mnie nie wrócisz, *luaidh*.

- Cii. - Nie chciał słyszeć jej głosu, nie teraz, nie, kiedy w uszach dźwięczał mu inny głos.

Palące pragnienie. Dłonie Rebecki były zimne, zapach jej skóry wyjątkowo ostry. Nie miał nic wspólnego z kwiatami!

Odwrócił ją na brzuch i otoczył dłońmi krągłe pośladki, a jedwab włosów w kolorze zboża nakrył jej plecy.

Piękna. Była piękna, jasna przy jego opaleniznie, bez skaz, a blask świecy promieniał na jej skórze.

Zdmuchując płomień, wyczuł jej zaskoczenie, bo zawsze podczas miłosnych igraszek patrzyli na siebie. I cieszyli się tym. Teraz jednak, kiedy zmierzch wczesnego wieczoru okazał się niewystarczający, zamknął oczy. Jeszcze jedna różnica. Lepiej. Dał upust żądzy, która towarzyszyła mu cały dzień.

Prawie dobrze.

Jednak nie do końca. Zaklął, kiedy niecierpliwość osłabła i ciało mu zwiotczało.

Grace zobaczyła ich, jak razem opuszczali jego komnatę. Akurat schodziła na kolację. Przeszli obok. Lachlan nawet nie pokazał po sobie, że ją zauważył, chociaż

wchodząc do wielkiej sieni, oderwał się od Rebecki McInness, która zajęła swoje miejsce na ławie, a Grace skierowała się do stołu na podwyższeniu.

Małe zwycięstwo. I niewiele warta nagroda. Chciała, żeby kolacja już się skończyła i żeby mogła na powrót uciec do swej sypialni, z dala od nieprzyjaznych spojrzeń i rodzących się pytań. Dzisiejszego wieczoru miała na sobie suknię w kolorze ciemnego błękitu, której rękawy rozcięte od ramion po nadgarstki pokazywały koszulę w jaśniejszym odcieniu. Włosy rozpuściła. Tak właśnie jak lubił jej mąż!

Boże. Błyskawicznie zgarnęła je dłonią i zaplotła w jeden ciasny warkocz, którego koniec wcisnęła za podniesiony kołnierz sukni.

Kiedy jego twarde, szaroniebieskie oczy napotkały jej wzrok, odpowiedziała równie gniewnie, nie dbając o nakazy dobrego wychowania.

- Złapałeś już ppodpalacza, czy byłeś zbyt zajęty? - Była tak wściekła, że prawie się nie jękała, a mała iskra nieufności, którą dostrzegła w jego oczach, zirytowała ją jeszcze bardziej.

- Byłem zbyt zajęty - odparł, po czym pociągnął spory łyk mocnego piwa.

Kiedy służba weszła do sieni z półmiskami mięsiwa, skinął na nich, a potem do swojej porcji odciął solidną piętękę chleba.

- W zgliszczach znaleziono coś ciekawego...

- Tak? - Grace czekała, unosząc brwi.

- Kiedy ostatni raz nosiłaś złotą broszę w kształcie róży? Nie widziała jej od wielu dni, odkąd przybyła do Belridden, od kąpieli, którą wzięła przed tamtą nocą, kiedy...

- Znaaleziono ją tam?

- Na skraju wypalonego obszaru. Jest nienaruszona. Chcesz ją dostać z powrotem?

- Nie. - W jego słowach wyczuwała cień niedowierzania. Peleryna, buty, teraz brosza. - Kktoś zadał sobie wiecele trudu, by zezepchnąć winę na mnie.

- Istotnie. - Mówił cicho, zupełnie jakby chciał, z uwagi na powagę takiego oskarżenia, żeby ta rozmowa została między nimi.

Wiedziała, że to nie potrwa długo. Oskarżenia przeciwko niej mnożyły się. Popatrzyła na siedzących przy stole i zobaczyła, że Connor ją obserwuje. Ian też. A niżej, na ławach, napotkała zmartwione spojrzenie Lizzie. Przynajmniej miała jedną osobę po swojej stronie. Rozpaczliwie chciała, żeby znaleźli się inni, bo utrata wysadzanej klejnotami szkatułki Malcolma Kerra również ją niepokoiła, a ukryte w niej listy, gdyby je odpowiednio zinterpretować, mogły ją zniszczyć.

Boże, gdyby służąca nie spakowała listów do kufra w błędnym przekonaniu, że jej pani na pewno chce zabrać taki skarb z sobą na nową drogę życia. Powinna była spalić te wszystkie niewysłane listy, jak tylko znalazła je w sypialni Ginny, i wyrzucić szkatułkę, ale w tych zapiskach była jakaś irytująca niedojrzałość, która mogłaby pewnego dnia pomóc jej kuzynce zobaczyć, że młodość nie miała szansy wobec zamiarów kłamliwego starszego kochanka. Najmniejszej szansy.

Mąż, zupełnie jakby potrafił czytać w jej myślach, zadał właśnie pytanie, którego tak bardzo nie chciała usłyszeć.

- Czy umiesz czytasz i pisać?

Kiedy przytaknęła, poczuła, że trawiący go gniew, który stał się jakby jego drugą naturą, jeszcze się pogłębił. By przerwać narastającą ciszę, powiedziała:

- Nauczyłam się w klasztorze pod Yorkiem, po śmierci moich rodziców.

- W młynie zostawiono notatkę. Może później pokażesz mi próbkę twego pisma.

- Później?

- Jutro. Nie przyjdę do ciebie dzisiejszej nocy.

Powiedział to szorstko, z nonszalancją, zupełnie nie zważając na jej uczucia.

Skinąwszy głową, popatrzyła mu prosto w oczy, dostrzegając w jasnym świetle świec kręgi zieleni wokół błękitu. Kryło się w nich coś jeszcze. Ciekawość? Pytania? Miała nadzieję, że jej uśmiech nie wygląda na nadto wymuszony, a żalosne drżenie górnej wargi jest niedostrzegalne.

Lachlan spędził noc sam w swojej komnacie, odprawivszy Rebecę, kiedy próbowała mu się narzucać, zmęczony jej dąsami, humorami i tym, że w łóżu jej włosy owijały się wokół niego jak węże. Kiedy zauważył, w którą stronę biegną jego myśli,

zmarszczył brwi. Był mężczyzną, który w życiu miał wiele kobiet, rzadko dostrzegał w nich wady i cieszył się z tego, co miały mu do zaoferowania. Jednak dzisiejszej nocy pragnął tylko jednej kobiety, Grace, z jej jękami, piegami i bursztynowymi oczami kryjącymi sekrety. Nie miała w sobie przebiegłości i sprytu, w czym celowały piękne kobiety. Nie mrugała oczami na jego widok, nie bawiła się włosami, jak inne miały w zwyczaju, ani nie posługiwała się ukrytymi wdziękami jak łatwą przynętą. Nie, Grace nie stosowała takich sztuczek. Nie potrzebowała ich. Wdzięku przydawały jej wyobraźnia, tajemniczość i wyznania, które osobliwie chwytały go za serce.

Napełnił szklanicę, uniósł ją i przyjrzał się jej w płomieniu świec, rozmyślając, że złączący się miód ma dokładnie taki sam odcień jak oczy Grace oświetlone promieniami słońca, i zarazem karcąc siebie za samo myślenie o takich rzeczach. Boże, ona kochała jego brata, prawdopodobnie wciąż go kochała i nie robiła sekretu z faktu, że nie chciała tego małżeństwa tak samo jak on.

- Nie pozwól jej się do siebie zbliżyć, Lach - szepnął. Przecież jeszcze nie rozwiązano tajemnicy pożaru w młynie, a jego klan był tak samo podejrzliwy wobec niej jak wobec jej kuzyna Stephena, kiedy przybył z wieścią o śmierci Malcolma.

Wszystko było skutkiem politycznego sojuszu między dwoma władcami, którzy - choć pełni wzajemnej niechęci - chcieli zapobiec wojnie. W tym celu królowie połączyli dwie rodziny, które nie miały wcale takiego życzenia. Zmęczony tymi rozmyślaniami dokończył miód i nalał sobie następną porcję.

Nocny chłód wdzierał się do środka przez szpary pomiędzy kamieniami Belriden. Lachlan naciągnął na ramiona wyprawioną, ciepłą skórę, przypominając sobie chwilę, gdy dwa dni po śmierci ojca powalił tego jelenia w górach za zamkiem. Odmówił wówczas modlitwę za duszę szlachetnego wroga. Nie chodziło tu o religię, tylko o zwykłą świadomość miejsca, domu i ogniska domowego. Jego domu. Jego ziemi. Krew jelenia i pot na jego czole zmieszały się pod wpływem ciepła, podobnie jak w jego umyśle wiedza o życiu, przemijającym i kruchym, połączyła się ze świadomością rozwianych marzeń rodziny, którym kres położył sznur zaciśnięty wokół szyi jego ojca.

Życie zbyt łatwo zabrane.

Malcolm odciął ojca i trzymał go przy piersi, tak jak matka mogłaby trzymać dziecko, i płakał, a strumień jego łez dziwnie kontrastował z suchymi policzkami Lachlana. Wszelkie podejmowane przez niego wysiłki okazania żalu były żałosne. Zdołały jedynie wzbudzić wściekłość Malcolma i przyczynić się do powiększenia przepaści między nimi, chociaż polityka zabrała Kerrom serca na długo przed śmiercią ich ojca. To była jedna z tajemnic kryjących się w tym skrawku ziemi, wciśniętym pomiędzy dwa królestwa jak wąski korytarz pełen ludzkich pretensji i chciwości.

Jego uwagę przyciągnęła wysadzana kamieniami szkatułka stojąca na stole. Otworzył zamek i przy świecy z zaskoczeniem zobaczył, że zielona pilśniowa wysciółka jest wyraźnie przekrzywiona. Sięgnął do środka, złapał mocno za odstający kawałek tkaniny, szarpnął, a wówczas jego oczom ukazał się plik złożonych listów.

Następnego ranka nie mógł znaleźć swojej żony w żadnym miejscu na zamku. Na podzamczu też nie. Ani w kaplicy, ani w ogrodach. Jego gniew spotęgował się, kiedy usłyszał jej śpiew odbijający się dziwnym echem od zachodniej ściany murów. Poszedł za tym dźwiękiem przez żywopłot aż do groty, o której istnieniu dotąd nie miał pojęcia.

Grace siedziała przed czymś w rodzaju kapliczki, którą tworzyły dzbany z kwiatami i obrazek Świętej Rodziny na ścianie. Obok leżały liczne kamyki i gałązki. Kiedy spojrzał uważniej, zobaczył, że jeden z nich to bursztyn z zatopionym owadem. Ćma! Po jednej stronie tej zbieraniny na ziemi ktoś wyrysował kształt serca, a w nim zatknął dziką koniczynkę. Kiedy Grace usłyszała, jak wchodzi, wstała niezgrabnie, ocierając oczy wierzchem rękawa.

Żal. Za jego bratem? Przeczytał miłosne listy, które do niego napisała, żarliwe, kwieciste słowa zamknięte w wysadzanej klejnotami szkatułce, w sekrecie, ukryte na zawsze.

Kiedy zobaczyła, na co patrzy, roztarła ziemię obcasem, a trącone przez nią kielichy kwiatów rozsypały się.

- Jak mnie znalazłeś?

- Usłyszałem, jak śpiewasz.

- Powiedział, że nikt mnie tutaj nie usłyszy... - Przerwała.

Z jej oczu wyczytał poczucie winy. Lachlan przez chwilę nerwowo się zastanawiał, czy mówiła o jego bracie?

Cisza zawisła między nimi jak cień.

Szyję Grace zdobił podwójny sznur pereł, a włosy miała zaplecione i przewiązane wstążką. Zarówno suknia, jak tren były żółte. Kolor gniewu.

- To jedyne miejsce, w którym nie jękam się tak bardzo. Zauważyłeś?

Nie zauważył.

- Powinnam powiedzieć ci, że nie miałam nic wspólnego z pożarem młyna. Co więcej, moja rodzina może potwierdzić, że mam awersję do ognia.

- Rozumiem. - Łzy nieoczekiwanie zmieniły brąz w jej oczach na złoto. Obserwował, w jaki sposób palcami prawej dłoni podtrzymuje pierścień, który od niego dostała. Był za duży. Musi temu zaradzić.

- Kaplica w Belridden jest piękna, ale nikt tam nie chodzi. Dlaczego?

- Nie mamy tu księdza. - To było znacznie prostsze wyjaśnienie niż opowiadanie o klątwie, którą Dalbeth obłożył ojca w tym właśnie pomieszczeniu, potępiając go za rozpustę i picie. Bez możliwości skruchy i wybaczenia.

- Jestem pewna, że gdybyś zwrócił się z prośbą, Kościół znalazłby...

Przerwał jej udzielaną w najlepszej wierze radą:

- Jesteś tu od niedawna. Byłoby o wiele lepiej, gdybyś trzymała się z daleka od spraw, o których nie masz pojęcia, i zostawiła wszystko swemu biegowi.

- Bo mieszkańcy zamku są podzieleni i mieszkają tu ludzie, którzy mogą okazać się dla mnie niebezpieczni?

Lachlan czuł, jak krew dudni mu w skroniach. Kto jej to powiedział? Domyślał się, że jeden z jego podwładnych. No tak, ale dlaczego mieliby ryzykować wszystko, skoro bezpieczeństwo Dawida spoczywało na tak kruchej podstawie?

Próbował obrócić jej słowa w żart, ale w twarzy Grace zobaczył coś więcej niż

pytanie.

Nagle poczuł, że ma serdecznie dość kłamstw.

- Może mój brat nie był takim człowiekiem, jakim ci się wydawał.

Gdy spojrzał na kwiaty u jej stóp, zbladła gwałtownie.

- W takim razie jaki był?

- Zazdrosny.

- O ciebie?

Przytaknął.

- Pojechałem z Dawidem do Francji po zwycięstwie Edwarda na Halidon Hill.

Brat żałował, że nie on został wybrany, a ponieważ był starszy ode mnie, w jakimś sensie miał rację. - Boże, pomyślał Lachlan, oto jak można w delikatnych słowach opisać reakcję Malcolma. Lata nienawiści były trudne do zniesienia, a potem, po śmierci ojca, Malcolm stał się mściwym, często nieobecnym lairdem.

Grace poczuła, jak puls jej przyśpieszył. Co on mówił o bracie? Czy mogła w tym momencie zaryzykować, wyznać mu swoją tajemnicę i zdjąć nieco winy ze swoich ramion? Nie. Nie mogła, bo więzy krwi są mocne, a narzucona przez króla żona była nikim w porównaniu z rodziną. Jednak Lachlan Kerr najwyraźniej miał ochotę mówić, a ona była bardzo ciekawa roli, którą odegrał w tamtych wydarzeniach. Chciała się dowiedzieć, jaki był, kiedy był młodszy.

- Byłeś ze swoim królem w Anglii?

- Tak, ale nie czułem się tam jak więzień. Od czasu do czasu wolno mi było przyjeżdżać do Szkocji,

- Jednak twój brat pozostał tutaj?

- Odkąd został lairdem, trudniej mu było wyjeżdżać.

Mówiąc te słowa, zacisnął szczęki. Może to nie była prawda? Nie odważyła się zadać dalszych pytań, kiedy tak stał z ostrzem za pasem i z bladymi oczami ukrywającymi tajemnice. W tej grocie wyglądał na potężnego, mocnego mężczyznę, nie na kogoś, kto został pobłażliwie wychowany. Był rycerzem Dawida, a wojna wryła się na jego ramionach i twarzy w osobliwy sposób, w jaki samotność znaczy tych, którzy

poznali niszczącą potęgę chaosu.

Może jej twarz też kiedyś zostanie tak naznaczona?

Czy duchy tych, którzy marnie odeszli, nigdy nie zaznają spokoju? Namacała różaniec w kieszeni i poczuła pociechę. W ten sposób historia łączyła się z terażniejszością, dodawała otuchy i poczucia solidności.

- Święta Mario, łaskiś pełna, Pan z tobą... - Modlitwa, którą mówiła od zawsze, przebiegała jej przez głowę, niesłyszalnym szeptem wyszła z ust.

Patrzyła, jak jej mąż dotyka tkaniny, którą dał jej Donald, z wyhaftowanym wizerunkiem małego Jezusa. Na nadgarstku lewej ręki zauważyła długi czerwony obrzęk. Kolejna rana. Była ciekawa, jak goiła się rana na jego ramieniu, ale nie odważyła się zapytać. Dziś miał zaplecione włosy, a kitkę przewiązał miękkim skórzanym brązowym rzemykiem.

Piękny. Był piękny. Za każdym razem, kiedy go widziała, na nowo zadziwiała ją harmonia jego rysów w połączeniu z bladoniebieskimi oczami.

Mój.

Teraz.

Na czas, którego trzeba do poczęcia dziecka.

Nie miała pojęcia, że wstrzymuje oddech, dopóki go nie wypuściła, drżała, a sekretne miejsce między nogami lekko pulsowało. Czy dziecko będzie podobne do Lachlana? Gorąco tego pragnęła, a jej ręka bez udziału woli powędrowała na brzuch. Spojrzał w dół i wyciągnął palce, by dotknąć.

I tak, jak tamta ćma, została uwięziona w czasie i przestrzeni w grocie ze strumieniem i darami chłopca, tyle że Grace była pełna życia, czując ciepło skóry Lachlana przy swojej, i pełna nadziei, kiedy drobinki pyłu płynęły w świetle.

Kocham cię.

Powiedziała to?

Nie.

Ulga sprawiła, że poszukała oparcia w zimnej ziemnej ścianie. Nie chciałby usłyszeć takich słów od niej.

Jeszcze nie. Nie teraz. Nigdy.

Proszę, Boże, spraw, bym była piękna. Nowa modlitwa w tym miejscu kultu. Samolubne błaganie, które sprawiło, że poczuła się skruszona w obliczu całego cierpienia na świecie.

- Często rozmawiam z Bogiem.

Zmarszczył brwi na to wyznanie.

- I odpowiada ci?

Ironia była niezawoalowana, musiała ją wychwycić.

Chciała zaprzeczyć, ale zmieniła zdanie.

- Jeśli słuchasz wystarczająco uważnie, myślę, że możesz usłyszeć odpowiedź.

Jego głośny śmiech sprawił, że poczuła się niepewnie.

- Taka pobożność i oddanie Bogu wydają się nie na miejscu u kobiety, która reaguje na mężczyznę tak jak ty. - Przytrzymując jej wzrok, napał na nią. - Powiedz, Grace, co mówi Bóg o połączeniu kobiety i mężczyzny w tej świątyni? Tak czy nie? Zgoda czy zakaz?

- Jest biały dzień.

- I to twoja jedyna troska? - Żar zwięził mu oczy rozjaśnione żądzą.

- Byłam pooparzona kiedyś przez płomienie.

- Na udach?

- Ttak... Są brzydkie w świetle dnia.

W odpowiedzi podciągnął żółtą wełnę jej spódnicy, a kiedy próbowała z nim walczyć, przytrzymał ją mocniej, palcami dotykając wypukłej skóry ze śladami blizn od oparzeń, chłodnej w powietrzu groty.

Kiedy spojrzał w dół, Grace nie zdołała powstrzymać okrzyku wstydu, potem jednak umilkła.

Zobaczył. Pochylał się. Lekko muskał to, co ukryła na zawsze. Oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy. Wiedziała już, jak bardzo wrażliwym człowiekiem jest jej mąż. Wrażliwym i delikatnym. Rozszerzyła nogi, a on językiem dotknął miejsca między nimi. Żółta wełna na ramionach nakryła go tak, jakby zostali połączeni żarem

krwi i ciała. Po co zadawać jakiegokolwiek pytania? Jej jęki były coraz głośniejsze, wołała jego imię, błagała, a jego język naparł bardziej, mocniej, piżmowy zapach ciała odzwierciedlał jej pragnienie. Weszła na szczyt pożądania z westchnieniem i spadła tak, że poczuła pod pośladkami chłód ziemi i widziała, jak on zamyka oczy.

Nie było w nich niechęci. Nie było odrazy. Nie było litości ani współczucia. Tylko pewnego rodzaju konsternacja.

- Lubisz to. - Jego palce powędrowały do miejsca, w którym przed chwilą były usta. - I to. - Wilgoć połała się po jej palcach, kiedy ujął je i pociągnął do miejsca, gdzie były jego palce, a potem podciągnął rąbek swojej koszuli. - Twoje ciało przywołuje moje, moja *nighean*, jest jak wołanie dziecka, kiedy zabierają je od ciepła, od którego nie chce być oderwane.

Jedno mocne pchnięcie i już był w środku, ściskając jej kolana i obracając ją tak, że się odchyliła. Wszedł jeszcze głębiej. Jej krzyki sprawiły, że przyśpieszył rytm, jedną dłonią tłumiąc dźwięki wrywające się z ust Grace, a drugą szarpiąc materiał stanika jej sukni.

I tym razem, kiedy przyszło spełnienie, skurcz jej ciała dopasował się do niego, ściśnięci razem w szalonym pędzie nie do opanowania. Zatraceni. Wbrew czasowi i prawdzie. Tylko oni. Razem.

Rozdział ósmy

Wstał i zostawił ją na ziemi, skuloną i zanurzoną w mglistym świetle snu, z podwiniętą spódnicą ukazującą blizny po oparzeniach na jednej nodze i ponętny kształt drugiej.

- Do diabła - zaklął, oddalając się dużymi krokami od miejsca, do którego przyszedł jedynie z zamiarem powiadomienia żony, jakie granice zamierza wyznaczyć w ich stosunkach. Miał jej powiedzieć, że będzie z nią sypiał, dopóki nie zajdzie w ciążę, bo zależy mu na spadkobiercy. To wszystko.

A tymczasem? Obejrzał się za siebie, spojrzął na wejście do groty i zatrzymał się. Jeśli znalazłby ją ktokolwiek inny...

Słońce błyskało spomiędzy drzew, ptaki słodko śpiewały, a z oddali dolatywały głosy dzieci wieśniaków bawiących się przed kolacją. Wszystko było zwyczajne. Wręcz przeciwnie niż jego życie. Nawet teraz omal nie wrócił, zapragnąwszy wziąć Grace w ramiona i zabrać do domu. Jego żona. W uszach wciąż rozbrzmiewały mu jej cudowne okrzyki, a subtelny zapach kwiatów tkwił w nozdrzach. Widział jej rude włosy wijące się na tle piegowatej skóry szyi. Najbardziej intrygująca była jednak nieokiełznana żądza, tak bardzo kontrastująca z pobożnością. Jego gniew osłabł, kiedy dowiedział się o jej uczuciach dla jego brata. Ten sekret ujawniły znalezione przez niego w szkatułce listy podpisane inicjałami GS.

Kochała go. Tę miłość wyrażało każde słowo, każde zapisane zdanie. Przez chwilę zastanawiał się, jakim cudem odzyskała te listy, skoro wysłała je do Malcolma, i dlaczego nie zachowała listów, które z pewnością otrzymała od niego w odpowiedzi. Tak czy inaczej, przekonały go, że jego żona nie jest morderczynią, a jego wściekłość i obawa przed przyszłością zmniejszyły się. Poczł wyraźną ulgę.

Strzała, która gwizdnęła mu koło skroni, ocierając się o nią, przeleciała tak niespodziewanie i miała tak wielki impet, że przewrócił się na plecy. Natychmiast zerwał się na równe nogi i wyciągając sztylet z pochwy, próbował zlokalizować napastnika, ale płynąca z czoła krew, która zasłoniła mu oczy i zabarwiła jego świat na czerwono,

sprawiła, że stracił najlepszy moment. Natychmiast zjawili się jego ludzie. Mężczyźni przybiegli od bramy zamkowej, z pól i młyna odległego o dwieście jardów.

- Kto cię trafił? - spytał Connor, który trzymał w gotowości wyciągnięty miecz.

Lachlan schylił się po strzałę drgającą w pniu dębu i wyciągnął ją. Boże, taki grot mógł z łatwością przebić nawet najgrubszą zbroję. Ból wokół oczu zwiększył się. Lachlan zamknął je na chwilę, zanim odpowiedział:

- To tylko draśnięcie. - Kiedy to mówił, zauważył Grace stojącą za mężczyznami, z zarumienioną twarzą i skromnie zasznurowaną żółtą suknią. Nie podeszła do niego, ale patrzyła na drewnianą stodołę z drugiej strony pola i nagle pobladła.

Znowu opadły go wątpliwości

Widziała, kto posłał strzałę? Znała napastnika?

Krew dudniąca mu w skroniach zaczęła pulsować jeszcze mocniej. Odepchnął Connora na bok z jego dobrymi intencjami i próbował zebrać myśli.

Gorączkowo obliczał w głowie, jaką odległość może przebyć taka strzała.

Dwieście, trzysta jardów. Stodoła znajdowała się mniej więcej w takiej odległości od nich.

Wyszarpnął falcjon zza pasa i poprowadził swoich ludzi w kierunku budynku, zostawiając żonę tam, gdzie stała.

- Nie ma go tu - oznajmił Lachlan jakieś dwadzieścia minut później, klęcząc i przyglądając się śladom stóp zostawionym na ziemi. Przecinały wąskie pólka wieśniaków, a potem znikwały w gęstym lesie. To odkrycie potwierdziło jego wszystkie obawy, tym bardziej że śladów nie zostawiły miękkie ciżmy czy bose stopy, ale solidne buty. Konkluzje tego odkrycia odbiły się w gniewie wypisanym na twarzach jego drużyny.

- Kto byłby gotów to zrobić i co mógłby zyskać na twojej śmierci?

Lachlan pokręcił ze złością głową, bo myślał dokładnie o tym samym.

- Poślijcie ludzi do lasu, niech sprawdzą, dokąd prowadzą ślady. Być może uzyskamy dzięki temu jakąś wskazówkę. I zobaczymy, czy wmieszani są w to jacyś inni ludzie.

Pociemniało, deszczowe chmury nadciągały z północy i niszczyły ślady, szare kamienne ściany zamku tonęły we mgle i cieniach. Gdzie była jego żona? Czy to jej sprawka? Czy to ona chciała w łatwy sposób rozprawić się z niechcianym mężem, a złote monety, które przekazał do jej wyłącznego użytku, wystarczyły, by zrealizować wymyślony przez nią plan? Tylko kiedy miałyby to zrobić? Nie miała ku temu okazji, nie była sama, odkąd tu przybyła, chyba że w grocie pod zachodnią ścianą Belridden.

„Powiedział, że nikt mnie tutaj nie usłyszy...”.

On?

Kto?

Napastnik? Człowiek nasłany przez jej wuja? Pożar w młynie i jej brosza w pogorzelisku. Kawałki układanki zaczęły powoli nabierać sensu.

Grace w centrum wszystkiego!

Nienawidził sposobu, w jaki jego rozum nie chciał w to uwierzyć, nawet kiedy zacisnął dłoń na owiniętej jedwabnym sznurem rękojeści miecza.

Czekała na niego w swojej izbie, siedząc na krześle z rękami na kolanach, a brąz jej oczu pociemniał w dziennym świetle. Musiał znowu rozpalić w sobie gniew, zanim przemówił.

- Ty to poleciałś? - Palcem dotknął ranki na czole, z której krew już przestała płynąć.

Pokręciła przecząco głową.

- Jednak wiesz, kto to zrobił. Widziałem twoją twarz, Grace. Nie byłaś w stanie ukryć, że znasz tego człowieka.

Znów pokręciła głową.

- Kłamiesz.

- Tto był po prostu cieeń. - Palcami mięła chusteczkę, zakręcając tkaninę, a jej zdenerwowanie było właściwie równoznaczne z przyznaniem się do winy.

- Odkąd jesteś w Belridden, wydarzyło się tu więcej wypadków niż przez lata.

Przeszedł przez izbę, chwycił Grace za rękę i mocno pociągnął, by wstała, nie troszcząc się o delikatność. Zobaczył przerażenie w jej oczach, ale nie powściągnął

gniewu.

- Kto to był, Grace? Kogo widziałaś?

- Nie widziałam nikogo.

Ścisnęła jeszcze mocniej jej ramię. W tym momencie pojedyncza łza spłynęła jej po policzku i upadła mu na rękę. Puścił ją jak oparzony.

- Nie wierzę, że nic o tym nie wiesz.

- W takim razie mnie nie znasz.

Chciał odpowiedzieć, ale powstrzymał się, coś w wyrazie jej gniewnych oczu sprawiło, że się zawahał.

- Może masz rację i rzeczywiście wcale cię nie znam.

Słuchając oddalających się kroków męża, czuła się ogłuszona, chora, dezorientowana. Zasłaniając rękami twarz, próbowała zrozumieć wydarzenia ostatnich paru godzin.

Służący Malcolma Kerra. Była pewna, że to on. Mężczyzna, który wiedział, że jego pan wcale nie interesował się nią, tylko jej młodszą kuzynką.

Czyżby popadała w szaleństwo? Czy brzemień winy prowadziło do tego, że przelotny cień czyjejs osoby rozpoznała jako swego wroga? Pokręciła głową. Nie możliwe, żeby to był on. Nie tutaj. Wiedząc o braku rozwagi Ginny, nie milczałby długo. W Belridden takim rewelacjom chętnie by nadstawiono ucha.

Położyła palce na ustach i przycisnęła mocno, żeby powstrzymać łkanie. Wciąż czuła dłonie Lachlana na swoim ciele.

Wystarczyła jedna godzina i jej życie tak się zmieniło.

Miłość.

Kłamstwa.

- Kocham cię - szepnęła.

I było to prawdą.

Kiedy po paru chwilach drzwi otworzyły się ponownie, pomyślała, że może zmienił zdanie i wrócił, ale to nie był jej mąż. Kobieta, której nigdy dotąd nie widziała, przyniosła dzbanek z wodą i chleb. Jej szyję ozdabiał naszyjnik z suszonych głów-

wek czosnku.

- To dla ochrony przed czarami *bandruidh*, jeśli zamierzasz skrzywdzić w Bel-ridden kogoś jeszcze - wyjaśniła, a jej kaprawe oczy przepelniała taka nienawiść, że na widok tej wrogości Grace zapało dech.

Nie widziała Lachlana następnego dnia i kolejnego, aż w końcu, kiedy miała serdecznie dość własnego towarzystwa, późnym popołudniem namówiła Lizzie na spacer do kaplicy w grocie. W ogóle nie schodziła do wielkiej sieni na posiłki, a z komnaty wychodziła tylko wieczorem, kiedy po dworze kręciło się niewiele osób. Dzisiejszy spacer w słońcu był wspaniały; wcześniej padało, więc na ścieżce przy zachodniej ścianie zamku były spore kałuże. Rozłożyła ramiona i zauważyła, że maść, której tak skrupulatnie używała, zmiękczyła jej skórę i usunęła czerwone spierzchnięte plamy. Nawet utykanie wydawało się jej mniej zauważalne.

Były prawie przy wejściu do pieczary, kiedy spomiędzy krzewów dobiegł je dziwny dźwięk. Szelest, po którym nastąpiła cisza, zielona zasłona kołysała się w tę i tamtą stronę.

Lizzie odskoczyła.

- Proszę się nie zbliżać, pani, może to niedźwiedź, który zszedł z gór, chore zwierzę, albo...

Z zarośli wysunął się ciemny nos, a potem psi pysk. Ogromny pies nie był przerażającym stworem, tylko błagalnie patrzył na Grace.

- Jaki on brzydki.

Lizzie cofnęła się, jednak Grace nie zamierzała zostawiać zwierzaka na pastwę losu. Był przerażony i samotny, futro miał zmierzwione i wybrudzone jeżynami, a na tylnej nodze widniała długa krwawiąca rana.

- Jest ranny.

Pochyliła się i ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. Odpowiedziało jej nieufne i czujne, a zarazem błagalne spojrzenie.

- Znasz tego psa, Lizzie? Jest z zamku?

- W takim stanie? Nie, to bezpieczeństwa pies i powinno się go zlikwidować, zanim

kogoś skrzywdzi.

Głębokie warknięcie sprawiło, że obie rzuciły się do ucieczki, ale pies nie poszedł za nimi. Zatrzymał się i czekał. Grace widziała, że zwierzę jest całkiem wyczerpane, porzucone, zdane na łaskę i niełaskę innych. W tym psie było wiele tego, co czuła sama. Zaprażyła mu pomóc.

- Możesz wrócić do zamku ppo sznur, Lizzie?
- Chce pani go zatrzymać?
- Chcę mu pomóc.
- Nie podejdzie pani bliżej? Jeśli panią ugryzie, a nikogo nie będzie w pobliżu...
- Nie dotknę go, a ty się pośpiesz.

Kiedy służąca odeszła i znów zapadła cisza, Grace usiadła, podwijając spódnicę pod nogi w taki sposób, aby w razie czego móc szybko wstać i pobiec.

Jednak zwierzę siedziało spokojnie, ani nie odwracając łba, ani nie liżąc ran, a w powietrzu było tylko słycać monotonne bzykanie much, które przyciągnął zapach krwi. Nawet wiatr wydawał się mniejszy.

- Wyglądasz tak, jakbyś potrzebował miłości - powiedziała wreszcie. Pies, zastrzygł uszami. W jednym z nich było nacięcie, drugie zwisało żałośnie na bok. - Mogłabym ci pomóc, gdybyś mi na to ppozwoił. - Wyciągnęła dłoń, a on się nie odsunął. Ośmielona podeszła bliżej, a kiedy wreszcie dotknęła jego futra, tylko lekko odwrócił głowę.

Jego skóra świadczyła o tym, że wiele przeszedł. Nie miał w sobie nic z miękości domowego zwierzęcia. Uśmiechnęła się, kiedy potarł nosem o jej dłoń. Nagle jednak zeszywniał, a sierść zjeżyła się dumnie na chudej jak szkielet linii grzbietu.

Zaskoczona Grace wstała szybko. Za nią stał Lachlan. Warknięcie zwierzęcia odbiło się groźnym echem.

W tym momencie uświadomiła sobie, kogo ten pies jej przypomina.

- Poleciałem ci nie wychodzić z zamku bez ochrony.
- Nie mogłam znaleźć żadnego z twoich ludzi i wzięłam Liizzie.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się, ale nie ciągnął sporu, tylko przyglądał

się psu.

- Znalazłam go w zaroślach. Jest raanny.

- Ślady wnyków, na oko sądząc. - Wyciągnął rękę i ruszył do przodu. - Ranne zwierzęta potrafią być nieprzewidywalne. - Grace widziała, jak zasłania ją swoim ciałem. Tak nieprzewidywalne jak on!

Patrzyła, jak owija sznur wokół szyi zwierzęcia, a palcami szuka innych ran.

- To posokowiec, prawdopodobnie pies gończy. Nie jest czystej krwi, co można poznać po kształcie uszu.

- Znasz się na ppsach, a jednak saam nie masz żadnego. Dlaczego?

- Dużo podróżuję. - Zwierzę polizało mu twarz, kiedy przyklęknął.

Podróżował, ale nigdzie nie zagrzał miejsca. Widziała, że znak na czole po uderzeniu strzały był teraz cienką czerwoną linią, co nadawało Lachlanowi jeszcze groźniejszy i bardziej niebezpieczny wygląd.

- Czy jego rany można wyleczyć?

- Na pewno, ale nie o to chciałaś spytać, prawda, Grace?

- Nie? - Zawsze się tak czuła przy Lachlanie. Jakby nie była w porządku. Jakby wciąż musiała być czujna.

- Nie. Chodzi raczej o to, dlaczego miałabyś tego ode mnie chcieć, prawda?

- Nie rozumiem.

- Kiedy Dawid po raz pierwszy wspomniał o tobie jako o mojej potencjalnej żonie, pomyślałem o moim bracie i jego upodobaniu do kobiet, które mnie nigdy nie interesowały, i zastanawiałem się, jak to będzie. Jednak potem pojawiłaś się ty i byłaś inna.

- Nieładna?

Gdy pokręcił głową, serce jej zamarło.

- Nie w tym rzecz. Inna, to znaczy... uczciwa, bezpośrednia, prawdomówna.

Teraz wiedziała, dokąd zmierzał.

- I pomyślałem sobie: Lachlanie, przez całe lata przebywałaś w towarzystwie tych, którzy mówili jedno, a robili drugie. Wszystko dla polityki, rozumiesz, bo po

śmierci Roberta Bruce'a pojawiło się wielu wrogów.

- Wrogów Dawida?

- I Szkocji! Po tym, co zaszło, nie jestem już taki pewny, że tak bardzo się różnisz od innych. - Palcem przejechał po śladzie zostawionym przez strzałę. - Kto to był, Grace? Kto mi to zrobił?

Lachlan czy Ginny? Czy mogła zaryzykować ujawnienie prawdy i mieć nadzieję, że jej mąż zachowa milczenie? Ile czasu upłynie, nim Kenneth MacIndoe ujawni prawdę?

Nie zdążyła jednak odpowiedzieć, bo Lachlan odezwał się pierwszy:

- Zgaduję, że w cieniu za stodołą ukrywał się ktoś, kogo znasz. Dlaczego mi tego nie powiesz? - Gdy zaczerwieniła się jeszcze bardziej, dodał: - Czy jesteś morderczynią, Grace? Czy to chcesz ukryć?

- Nie.

- W takim razie kryjesz mordercę? Może to twój kuzyn Stephen, a może wuj? Bali się mnie tak samo jak ty.

Jego bładoniebieskie oczy wydawały się przewiercać ją na wylot, a kiedy nie powiedziała nic, zaczął przyciągać psa do siebie, na początku delikatnie, potem z większym naciskiem. Była zaskoczona, kiedy pies go posłuchał i stanął przy jego nogach, jakby był jego ulubieńcem.

- Psy to dom, widzisz. Stabilny dom, gdzie ludzie zostają na długo. Nie możemy stworzyć takiego domu z tymi wszystkimi kłamstwami między nami. Zastanawiam się więc, dokąd może zaprowadzić sytuacja, kiedy oddasz serce komuś, kto nie mówi prawdy.

Serce!

Gwałtownie uniosła głowę zdezorientowana strasznym odkryciem, że Lachlan wcale nie mówi o psie. Tymczasem jej mąż niczego nie zdradził, ten pan na ziemiach, którym ktoś ciągle zagrażał, i zrozumiała, jak musiał wyglądać na londyńskim dworze, gdzie pojechał prowadzić negocjacje w sprawie uwolnienia monarchy, którego wypuszczenie wcale nie leżało w interesie Edwarda.

Perswazja, dyplomacja i intelekt. Nie, Lachlan Kerr wyróżniał się nie tylko na wojnie i w walce.

W jego pytaniu wyczuła jednak coś, czego nie spodziewała się tam znaleźć. Tęsknotę za domem. Ten wieczny wędrowiec nie czuł się ani spełniony, ani szczęśliwy.

- Jak umarli twoi rodzice? - Może gdyby wiedziała coś o jego rodzinie, byłoby jej łatwiej go zrozumieć.

- Źle. - Odwrócił głowę, kiedy Lizzie pojawiła się na ścieżce z dwoma młodziami.

- Znalezienie ludzi zabrało mi sporo czasu, panie - wysapała.

Grace zobaczyła, że towarzysze Lizzie są uzbrojeni.

- Nie zaabijecie go?

Lodowate oczy wwierciły się w nią, po czym Lachlan odwrócił się i wyprowadził całą grupkę z lasu.

Postanowiła nazwać czarnego psa Dexter, po dziadku, bo zwierzak zasługiwał na mocne imię, skoro przetrwał w tej dzikiej krainie i wyrwał się z pułapki, której ślady wciąż były widoczne w postaci skóry pozbawionej futra na jego nodze.

Miała jeszcze jeden sekret.

Od ostatniego krwawienia minęło trzydzieści dni. Jej piersi były pełne i obolałe, a sama myśl o tym sprawiła, że czuła się... spełniona.

Ona matką.

Po szesnastych urodzinach, kiedy żaden mężczyzna nawet na nią nie spojrzał, porzuciła nadzieję, że stanie się nią kiedykolwiek. Tak więc ten cud sprawił, że w jej serce wstąpiła nadzieja.

Lachlan trzyma ją w ramionach i szepcze czułe słowa, a jego dłonie nakrywają jej wypukły brzuch. „Moje dziecko. Moja żona. Będę kochał was oboje. Zawsze”.

Grace zastanawiała się nad znaczeniem swoich marzeń. W Grantley mieszała takie wizje dzień w dzień. Tutaj zdarzały się znacznie rzadziej. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że Lachlan Kerr mówi te słowa naprawdę. To w niej coś się zmieniło. Przedtem uważała takie fantazje prawie za rzeczywistość. Teraz wiedziała, że miłość z jej

wyobrażeń nie mogła się nawet równać z cudownym żarem tej rzeczywistości.

Nie padło ani słowo o Kennecie MacIndoe. Zupełnie jakby na powrót znikł w miejscu, z którego przybył, i Lachlan już nie wracał do tego incydentu. Była zadowolona, bo osiągnęli pewnego rodzaju zawieszenie broni, zawarli kruchy pokój i chociaż w dalszym ciągu unikał jej łoża, a jego pełna rezerwy skrupulatność stała się męcząca, wszystko było lepsze od gniewu. Przynajmniej w tej chwili.

Dzisiaj w zamku mieli gości. Z Edynburga przybył przyjaciel Lachlana, toteż poproszono ją, by zeszła na dół i dołączyła do mężczyzn przy obiedzie.

Włożyła suknię w kolorze nieba o północy, a jej biodra zdobił srebrny pas. Umyła włosy wczesnym rankiem i zostawiła rozpuszczone. Loki wiły się miękko dzięki mydłu, które Lizzie sporządziła specjalnie dla niej według oryginalnej receptury. Dexter siedział przy łóżku, bacznie obserwując każdy ruch swojej pani, a jego złote oczy patrzyły uważnie, kiedy Grace skieruje się ku drzwiom, żeby i on z nią mógł wyjść.

Uśmiechnęła się na widok tej czujności i lojalności.

Kiedy weszła do sieni, Lachlan wstał. Mężczyzna siedzący obok niego zrobił to samo.

- Johnie Murrayu, lordzie Bothwell i Avoch, chciałbym przedstawić cię swojej żonie, lady Grace.

Dłoń Murraya była ciepła, jego uśmiech też. Z kolei Lachlan wyglądał na zmęczonego, a na jego policzku pojawił się nowy siniak. Zachowywał się jednak dwornie, oparł też dłoń na plecach żony. Kiedy jednak pomagał jej usiąść, nie patrzył w oczy Grace. Może to jedynie pokaz na użytek przyjaciela?

- Wiele o pani słyszałem, lady Grace.

Te życzliwe słowa wydawały się szczere. Była bardzo ciekawa źródła jego wiadomości.

- Mam nadzieję, że nie od dworskich błaznów i żartownisiów, panie?

Roześmiał się.

- Pani mąż nie mógł się doczekać powrotu do Belridden. Teraz już rozumiem

dlaczego.

Na chwilę brawura ją opuściła. Nie nawykła do takich komplementów, a nawet ktoś tak miły jak John Murray mógł mieć swoje powody, by kłamać. Jednakże nabrała odwagi, kiedy Lachlan napełnił jej kielich, a jego oczy powędrowały ku wypukłości powyżej dekoltu sukni z błyskiem pożądania i niewysłowionego pragnienia. Grace odetchnęła głęboko, żeby jej piersi wydały się jeszcze większe.

- John jest w drodze na londyński dwór - wyjaśnił Lachlan.

Wytrząsnął krople z kielicha i nalał sobie następną porcję.

- Jednym z powodów mojej wizyty w Belridden jest to, że Dawid prosił mnie, bym zobaczył, co u was słyhać. Czy mogę mu powiedzieć, że jego ingerencja w sprawy serca okazała się widocznym sukcesem?

- Widzisz przecież, że tak jest. - Lachlan przesunął się ostrożnie i oparł ramię o jej przedramię.

Czując promieniejące z niego ciepło, Grace zapragnęła po prostu położyć palce na jego palcach, ale się powstrzymała. To była jego szarada, a ona chciała zobaczyć, jak daleko ją doprowadzi.

Za nimi stali służący, napełniając puchary i uzupełniając tace z jedzeniem. Grace spuściła głowę, zastanawiając się, jak powinna się zachować. Z całą pewnością chciała w oczach gościa z Edynburga wyglądać jak piękna kobieta i ukochana żona lairda.

- Dawid liczył na nowiny o spadkobiercy Kerrów, zwłaszcza że Margaret została zamordowana, a Joan jest chorowita. Bardzo się troszczy o zachowanie stabilnego pokoju na terenach przygranicznych, dlatego zależy mu, by arystokracja się rozmnażała, Lachlanie.

- Kiedy będą jakieś nowiny, on pierwszy zostanie o tym powiadomiony.

Głos jej męża był chłodny, pytania dotyczące spraw osobistych traktował z niechęcią, nawet jeśli zadawał je przyjaciel. Lachlan był nadzwyczaj skrytym mężczyzną, który tak niewiele ujawniał o sobie!

- Bez syna Bruce'a w parlamencie narasta opozycja.

- W takim razie odizolujcie tych, którzy mogliby się przeciwstawić Dawidowi.

Zgarnijcie wrogów naszego monarchy, jednego po drugim, aż do ostatniego, i zdajcie ich na królewską łaskę.

- Wróc więc do Edynburga, Lachlanie, i pomóż nam w tym zbożnym dziele.

- Nie ma mowy. Służyłem Dawidowi niemal całe życie, a zadanie zapewnienia pokoju w Belridden coraz bardziej mi się podoba. Poza tym Szkocja potrzebuje siły tutaj, we wschodnich hrabstwach.

- A co z turniejem rycerskim? Czy pojawisz się przynajmniej na nim?

- Nigdy nie biorę udziału w turniejach.

John roześmiał się.

- A więc Belridden to dom? W takim razie pozostaje mi mieć nadzieję, że Bóg uśmiechnie się do ciebie i obdarzy cię mnóstwem krzepkich dzieci.

Uniósł szklanicę. Grace dostrzegła w jego spojrzeniu, tylko przez chwilę, ten sam wyraz, który często widywała w oczach męża.

Utrata!

Prawdziwy koszt za zaszczyt królewskiej łaski. Totumfaccy Dawida nie zyskiwali złota czy ziem, lecz tracili majątki, tracili ogniska domowe w zamian za ciężką służbę na rzecz upadającej monarchii. Zastanawiając się, gdzie jest rodzina Murraya, uniosła puchar i przepiła do niego.

- Za twój szybki powrót do Szkocji, panie. Mam nadzieję, że zaawitasz do nas w powrotnej drodze.

- Z największą przyjemnością, lady Kerr. *Slainte mhath*.

- Twoje zdrowie - przetłumaczył Lachlan, a w jego słowach usłyszała podtekst, który sprawił, że się zaniepokoiła.

Boże, myślał Lachlan, rozglądając się, kłamstwa i oszustwa krążyły wokół niego, a mocne piwo sprawiało, że kręciło mu się w głowie. Nie chciał powiedzieć nic, czego mógłby później żałować, a zwłaszcza niebacznych słów o politykierstwie i przekonaniach króla, który wierzył w możliwość angielskiej sukcesji. Szkocja wówczas rozpadłaby się na kawałki i świat byłby przeklęty! Przez jedną pełną napięcia chwilę zastanawiał się, czemu właściwie służyła praca jego całego życia... Czyżby na

marne nadstawił własną pierś w Nevilles Cross, przyjmując na siebie strzałę, ledwie uchodząc śmierci. Dwanaście tysięcy ludzi przeciwko ośmiu, dopóki Dunbar i Steward się nie wycofali, zostawiając swoich ludzi bez osłony. Nienawidził takiego tchórzostwa i gardził zdrajcami, a teraz z furją myślał o tym, że Dawid w alarmującym tempie unicestwia ideę niepodległej Szkocji.

Nic już nie wydawało się w porządku!

I nikt - z wyjątkiem Grace. Gdyby mógł tylko pozbyć się wątpliwości wobec niej!

Tak bardzo chciał wierzyć w coś i w kogoś, mieć jakiś stabilny, twardy punkt odniesienia na tym pełnym chaosu świecie. Zacisnął palce na dłoni żony i ucieszył się, kiedy się nie wycofała. Z przyjemnością słuchał jej rozmowy z Johnem. Grace była damą, której wpojono umiejętność prowadzenia konwersacji bez względu na jąkanie. Zauważył też, jak pilnowała, by dziękować służbie za każdy drobny gest.

Żałował, że przeczytał jej listy miłosne schowane w szkatułce Malcolma, ujawniające sekrety serca i nadzieje, które wiązała z jego bratem. Nigdy nie powiedziała niczego podobnego do niego, ani razu. Zdawał też sobie sprawę, że widziała tego, kto był za stodołą, kto do niego strzelał i omal nie trafił.

Skompromitowana. Znowu.

John śmiał się przyjaźnie, kiedy Grace opowiadała mu, jak znalazła psa w krzakach. Zdaje się, że nazwała go Dexter, może to było jakieś rodzinne imię, nie wiedział. Jednak ogar siedział pod jej krzesłem, żółte ślepia śledziły każdy jej ruch, czujne, pełne miłości. Przebiegło mu przez głowę pytanie, czy jego oczy też wyrażały takie emocje. Potrzeba przebywania wśród ludzi, którym mógłby ufać i polegać na nich, którzy okazaliby się odporni na kaprysy władców, nieustanne zawirowania polityki i diabelskie podszepty zwykłej zachłanności, zwykłej lubieżności, w ogóle pospolitej małości ludzkiej natury.

Odżył w nim gniew, którego nie potrafił opanować. To, czego nigdy nie miał i do czego od długich lat tęsknił, było teraz tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Obietnica spełnienia jego marzeń wydawała się tak realna, a on nie mógł nic zrobić. Nie dziś.

Dopił piwo i zobaczył na twarzach Johna i Grace pytanie, dlaczego milczy.

- Zatrzymasz więc psa, Lachlanie?

- Grace już nie potrafi się z nim rozstać... a poza tym ma chorą nogę.

Żona odwróciła się i obdarzyła go uśmiechem, na którego widok zapragnął dostarczyć jej każde zwierzę, jakiego sobie zażyczy, ale służba właśnie wniosła desery i uwaga wszystkich skupiła się na półmiskach.

Z wyjątkiem niego. W odległym końcu sieni zebrała się mała grupka mężczyzn. Stały z nimi Rebecca i Lizzie, służąca Grace. To, w jaki sposób patrzyli na jego żonę, sprawiło, że się zaniepokoił i jego dłoń bezwiednie powędrowała do rękojeści miecza. Wtedy nagle rozeszli się. Mogło się wydawać, że wyobraził sobie całą tę scenkę i dostrzegł w jej uczestnikach wrogość, której nie było. Niemniej przysiągł sobie, że będzie ostrożny i postanowił, że następnego dnia nauczy Grace przynajmniej podstaw samoobrony.

RS

Rozdział dziewiąty

Lachlan zabrał ją na spacer daleko od zamku. Grace zastanawiała się, o co mu może chodzić. Za pasem miał pół tuzina sztyletów, a włosy zaczesał do tyłu w ciasny węzeł. Nie czekał na nią, tylko szedł wielkimi krokami przez zarośla, nie przytrzymywał gałęzi zagrażających mu drogę, a nawet nie odwracał się, by sprawdzić, czy ona wciąż idzie za nim. Nie, dziś był wyjątkowo skupiony i ledwie zauważał jej obecność.

Wreszcie zatrzymał się. Stali na polance, którą otaczały wysokie drzewa, tworzące zielony baldachim na tle popołudniowego nieba.

Ostrożnie wyjął jeden ze sztyletów z za pasa, po czym rozwarł dłoń Grace i umieścił w niej broń.

- W Belridden ludzie są podzieleni, a na wypadek, gdybyś znalazła się w środku *stramash*, powinnaś wiedzieć o paru sprawach, by być w stanie się bronić. Czy kiedykolwiek posłużyłaś się bronią wobec wroga, Grace?

Mogła tylko pokręcić przecząco głową i patrzeć, kiedy zamknął jej palce na skórzanej rękojeści sztyletu.

- Zważ go w rękę i wyobraź sobie, gdzie leży środek. - Manipulował ostrzem to w jedną stronę, to w drugą, polecając jej zamknąć oczy. Skoncentrowała się na jego słowach, starając się wypełnić instrukcje.

Po chwili broń spoczywała nieruchomo w jej dłoni. Wrażenie było równie namacalne jak delikatny podmuch wiatru od płynącego nieopodal strumienia i dotyk gąbczastego mchu pod stopami.

- Czuję, że... ani drgnie. - Nie znalazła lepszych słów, by określić swoje emocje. Była zadowolona, że nie zająknęła się przy tym zdaniu.

- Dobrze. - Położył palec u nasady jej prawego kciuka. - Pamiętaj ten bezruch, kiedy otworzysz oczy, bo od ciężaru ostrza zależy siła pchnięcia i kontry. - Był obok niej, czuła jego oddech na swoim policzku i czubki palców sytuujące sztylet w przestrzeni między palcem wskazującym a kciukiem. Zakrzywiona rękojeść owinięta pa-

skami skóry ani drgnęła, kiedy zacisnęła na niej dłoń.

Sprawdził kąt i skinął głową.

- Takim sztyletem najlepiej posługiwać się z bliska i z zaskoczenia. Musisz pamiętać o tym w razie ataku. Nie będą się spodziewać oporu z twojej strony.

- Kto...? - Nie dokończyła pytania.

- Każdy jest podejrzany. Pamiętaj o tym. Każdy.

- Jednak nie twój przyjaciel John?

- Nie, Grace, nie on.

- Ani Connor.

Tym razem pokręcił głową.

- Mój brat rządził na tym zamku od lat, a niektórzy z jego stronników wciąż tu mieszkają, czekając, aż popełnię błąd.

- Choćby taki, jak ślub ze mną?

Roześmiał się.

- Gdyby to było aż tak proste, nie tkwiłbym tu teraz, ucząc cię sztuki samoobrony i zabijania. Nie, miałbym co innego do roboty. Napawałbym się twoimi wdziękami we własnym łóżu w pomieszczeniu zabezpieczonym solidnym skoblem.

- Chcą, żebyś zginął. - Nagle zrozumiała. - A ja z tobą?

- Krążą pogłoski, że Malcolm żyje. Poczęcie przez nas dziecka może nie być po ich myśli.

Fala krwi dotarła do jej twarzy. Nie powiedziała mu nic o braku menstruacji i teraz z zadowoleniem skonstatowała, że, sądząc po jego twarzy, nie miał o tym pojęcia. Czy w takim razie było to tylko niewinne pytanie? Tyle że te wieści o jego bracie...

- Myślisz, że te pogłoski mogą być prawdziwe?

- Żleb jest głęboki, a Stephen mówił, że dokładnie go przeszukaliście. Skoro jednak jego dnem płynie rzeka, to wydaje się, że Malcolm mógł przeżyć. A ty jak to oceniasz, Grace?

Przerażenie sprawiło, że pobladła.

- A ci, którzy popierają Malcolma, nie sprzyjają Dawidowi, prawda?

- Nie! I właśnie dlatego tu jestem. Hrabstwa przygraniczne to bufor między dwoma królestwami, które od niepamiętnych czasów znajdują się w stanie wojny. Gdyby Steward albo Douglas położyli łapy na południu i przejęli te ziemie...

- Wybuchłaby wojna. A więc John Murray nie przyjechał tylko dlatego, by zobaczyć, czy nasz związek ma solidne podstawy, ale także by cię ostrzec?

- Właśnie. I dlatego musisz nauczyć się bronić. - Cofnął się o krok, po czym wyciągnął drugi sztylet. Grace natychmiast zobaczyła, jak szybko i wprawnie ułożył go w swojej dłoni.

Boże, błagam, niech Malcolm będzie martwy. Powtarzała to zdanie w kółko, jakby zaklinając los.

- Jeśli natarłbym na ciebie w ten sposób, co byś zrobiła?

Uniosła sztylet.

- Nie. Atakuj od dołu. W ten sposób będziesz miała więcej siły. I wbijesz się mocno. Właśnie tak.

Usłyszała świst powietrza, ale szybki ruch był niemal niedostrzegalny.

Kiedy spróbowała go naśladować, uśmiechnął się.

- Dobra jesteś. Jeśli poćwiczysz pod moim okiem, wkrótce pojmiesz, na czym to polega.

Pchnięcie i krok do tyłu. Pchnięcie i krok do tyłu. Po kilku chwilach była tak utrudzona jak nigdy w życiu.

- Czy walka jest zawsze tak męcząca?

- Jeszcze z nikim się nie zmierzyłaś. - Rozwinął proporzec i powiesił go na gałęzi drzewa. - No dalej, w znak herbowy - poinstruował.

Kiedy to zrobiła, sztylet skaleczył ją w nadgarstek i jęknęła z bólu, upuszczając ostrze i chwytając się za zranioną dłoń.

- Kość jest równie twarda, Grace - powiedział, biorąc jej palce między swoje, nacierając, by przywrócić im ciepło i czucie. - Pamiętaj, musisz dobrze poznać się na tych sprawach, bo śmierć jest czymś ostatecznym.

Teraz, kiedy zdjął koszulę, dziwne kręgi na jego nadgarstku rzucały się w oczy.

- Skąd to masz? - Dotknęła czarnych linii.

Oboje znieruchomieli.

- Próżność. Dawni katolicy uważali tatuowanie za oznakę dojrzałości. Wiedziałaś o tym?

- Nie.

- Powiedział mi o tym pewien człowiek, od którego, tak przynajmniej sądziłem, mogłem się wiele nauczyć. Nad ogniem w Vironfosse narysował nożem wzór i wypełnił go popiołem. Miałem prawie czternaście lat, a więc sama myśl o takim symbolu robiła na mnie wrażenie.

Trzy splatające się z sobą pasma tworzyły skomplikowany warkocz, otaczający nadgarstek jak bransoleta. Linie najbliżej kciuka dzieliła szrama.

- A to? - Dotknęła blizny.

Wzruszył ramionami.

- Dawid miał wielu wrogów, którzy siłą rzeczy stali się również moimi.

- Teraz też?

Skinął głową i świat wokół nich ucichł, nie było słychać ani śpiewu ptaków, ani szumu rzeki, ani wiatru w gałęziach, ani owadów krążących wokół ostatnich kwiatów przed zimą.

Był tylko uśmiech, kiedy jego wargi spoczęły na jej wargach, i jeszcze jeden, kiedy rozwiązał sznurówki jej stanika. Brodawki stwardniały na wietrze, a bladość skóry olśniewała, kiedy jego dłonie obrysowywały kształt jej ramion, piersi i talii.

- Zdaje się, że nie potrafię wytrzymać z dala od ciebie, *mo nighean*, choćbym nawet chciał. - Zaczerpnął tchu. - Twoje ciało jest dla mnie domem, którego nie miałem.

Jaskrawy sztandar na gałęzi rozwinął się na wietrze i spłynął na ziemię obok nich. Później pomyślała, że było to jak zaproszenia do łoża na polanie wśród drzew, daleko od całego świata. Nie było tu wrogów ani polityki. Widziała jednak wahanie Lachlana, zupełnie jakby toczył z sobą walkę, odejść czy zostać.

Kiedy zaczął nierówno oddychać, wiedziała, że wygrała, więc pociągnęła go obok siebie na jedwabny sztandar jego rodziny. Był mężczyzną wychowanym w Europie, a więc herb i barwy klanowe były dla niego równie ważne. Skomplikowany mężczyzna, prawdziwa szkocka natura, pozornie stonowana przez inne wpływy. Wyobraziła go sobie z Filipem na francuskim dworze, a potem w pałacach Edwarda, baczącego, aby cudze przekonania nie zaszkodziły jego królowi.

Był lojalny wobec idei Szkocji uwolnionej od panowania Anglików, a swoje przygraniczne ziemie uważał za pierwszy bastion oporu przed wydziedziczonymi baronami Balliola i pretensjami Roberta Stewarda.

Na drodze zła! Nagle zrozumiała, że wojna nadejdzie na te ziemie, i to już wkrótce. Dreszcz przerażenia sprawił, że skóra jej się zmarszczyła.

- Zimno ci, Grace? - Poluzował pasek i owinął sztandar wokół nich.

Leżała spowita w czerwień i zieleń, światło dnia rzucało kolorowe plamy na jej skórę.

Jak rany.

Czasami nienawidziła swojej wyobraźni. Wyzwolili się od strachu i skupiła na teraźniejszości. Istniało wyłącznie teraz.

- Tak długo byłem daleko od tej ziemi... Czasami żałuję... - przerwał.

Czekała cierpliwie, nie ponaglała.

- Czasami żałuję, że tak było.

To proste wyznanie było przeznaczone wyłącznie dla jej uszu. Dar powierzony w głębokim poczuciu zaufania, szczerzy, uczciwy, a biorąc pod uwagę, ile walk wywarło na nim piętno, był to naprawdę cenny dar. Pociągnęła rąbek jego koszuli, poczuła żar i pragnienie Lachlana. Oddalenie znikło w tym jednym akcie połączenia.

- Jesteś piękny. - O wiele piękniejszy ode mnie, omal nie dodała, ale powstrzymała się.

W świetle dnia, kiedy ich oddechy się mieszały, spojrzała Lachlanowi w oczy, znajdujące się w tej chwili jakieś sześć cali od jej oczu, spojrzała w ich głębię bladości i zobaczyła pożądanie. Jej.

Silne i szczere. Namiętność wyczuwalna w ślepych dotyku. Wzajemne przyciąganie. Jedność.

Pozwól mi siebie dotykać i zapomnieć o świecie wokół nas, pomyślała. Kiedy jęknęła, nie spowodował tego ból, ale zachwyt, a wirujące poczucie jedności, które spoiliło ich z sobą, było całkowite i tak bardzo... pierwotne.

Potem nie rozmawiali, każde zamknięte we własnym milczeniu, cienka i wąła więź przeciwko sekretom, które mogły ich rozdzielić.

Grace, czując dzikie walenie serca, zamknęła oczy i wdychała zapach Lachlana. Spojrzała jeszcze raz, aby podziwiać piękno jego ciała.

Poruszył się.

Znowu.

A kiedy zamknęła oczy i pozwoliła mu robić to, czego pragnął, przez głowę przemknęła jej myśl, że dawno temu w dalekiej Francji nauczył się czegoś więcej, nie tylko wojny i polityki.

O wiele więcej.

Kilka godzin później wracali do zamku. Nauka samoobrony przerwana szturmem namiętności została całkowicie zapomniana.

Było ciemno, tylko księżyc oświetlał ich stopy i ścieżkę. Nie dotykali się, nie wchodzili sobie też przypadkowo w drogę. Było za dużo do stracenia i za mało do zatrzymania. Bali się nazwać tę moc, która trzymała cały świat w ciągłym ruchu i kazała tańczącym to łączyć się, to rozdzielać.

Jeszcze nie przyszła pora na nich. Jeszcze nie.

Kiedy straż dostrzegła ich z szanćów i spuściła most, szybko przez niego przeszli i każde poszło w swoją stronę.

Już w sypialni Grace spojrzała na swoje odbicie w lustrze i z zaskoczeniem skonstatowała, że w jej twarzy nie widać tego wszystkiego, co czuła w środku, gdzie pełne uniesienia, palące pragnienie spalało każde włókienko jej ciała.

Uśmiechnęła się, a kobieta, która odpowiedziała jej uśmiechem, wyglądała... niemal ładnie. Zdumiona, przyłożyła palec do policzka, tak jak zrobił to Lachlan, bar-

dzo ostrożnie, ale nawet wspomnienie tamtej chwili wywołało podniecenie, którego nie mogła opanować.

Kocham cię.

Chciała to powiedzieć, chciała to wykrzyczeć, chciała, by echo jej słów powtarzało wciąż, co czuła. Żałowała, że nie ma tu jej kuzynek, nie miała bowiem kogo spytać, czy dobrze nazwała swoje uczucie i czy Lachlan odpowiadał jej równie głębokim. Tak bardzo pragnęła usłyszeć, jak one to widzą, dostrzec prawdę ich oczami.

Może nic nią nie było.

Może żądza była wszystkim, co Lachlan czuł, a ona była łatwym celem do zdobycia. Bez warunków wstępnych, miała tylko dawać i dawać.

Skrobanie do drzwi sprawiło, że zatrzymała się i odwróciła, chociaż jeszcze przed otwarciem ich wiedziała, kto to.

Dexter.

Jego miękkość była kojąca i ciepła, a dotyk mokrego języka sprawił, że wybuchnęła głośnym śmiechem.

Kocham cię, kocham cię, kocham cię.

Prostolinijna i rozkochana, bez względu na wszystko.

Księżyc był tak wyraźny jak nigdy. Lachlan ściągnął koszulę i wszedł do jeziora. Dzisiaj nie nurkował, stał tylko w czarnej wodzie sięgającej mu piersi, a nad głową było bezkresne niebo. Patrzył na odległy brzeg, śledził pas ziemi od wody aż do gór. Ziemia Kerrów jak okiem sięgnąć. Jego ziemia. Nie tylko jego ojca, ale dziadka i pradziadka. Dobrzy ludzie, zasługujący na szacunek, byli powiernikami przeszłości, która sięgała ponad czas, poza pamięć.

Pewnego dnia jego synowie staną w tym samym miejscu i będą wspominać przodków, którzy spoczywają w tej ziemi zroszonej ich potem i krwią, przodków, którzy wyciągną swe ciche ręce ku teraźniejszości i uspokoją go tak, jak jego przodkowie czynią teraz.

Malcolm. Hugh.

W tej chwili nie czuł do nich nienawiści. Przyniosło mu to niewysłowioną ulgę.

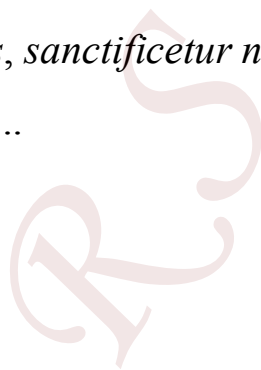
Grace była jego. Jego, mimo miłosnych wyznań spisanych na kartach spoczywających w ozdobnej szkatułce jego brata. Nikt, kto leżał na tym jedwabnym sztandarze, nie mógł pozostać niezmienny. Uniósł palce do ust, próbując poczuć jej smak, ale ten już znikł. Woda igrała z jego męskością tak jak ona niedawno. Miłe wspomnienie.

- Boże, pomóż mi - usłyszał, jak mówi głośno, i nagle olśniło go, co czuje w tej chwili jakby zawieszony pomiędzy nieskończonością nieba a bezkresną czernią wody.
- Boże, błagam, pomóż mi. - Poczul poruszenie w duszy.

Wiara tkwiła tam wciąż mimo całego zamętu, który od lat nosił w sobie. Uśmiechnął się na tę myśl, a potem uśmiechnął się jeszcze raz, kiedy spadająca gwiazda przecięła niebo, a ogon światła odbił się w wodzie.

Znak z niebios? Przeżegnał się.

- *Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum...* Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...



Rozdział dziesiąty

Następnego ranka przyszła do niej Rebecca McInness. Widać było po niej, że płakała. Twarz miała zapuchniętą i czerwoną. Przynajmniej raz nie wyglądała ładnie i Grace pomyślała z nadzieją, że może Lachlan widział ją w tym stanie. Wyparła się tej myśli, kiedy Rebecca wręczyła jej kwiaty zebrane przy ścieżce prowadzącej do grot od zachodniej strony Belridden.

Za Rebeccą skradała się babka Lachlana, Eleanor Kerr, która zazwyczaj prześadywała w swoich komnatach. Kiedy Grace popełniła błąd, obdarzając ją uśmiechem, jej ciemne oczy skamieniały.

Widząc to, Grace ostrożnie odwróciła wzrok i skupiła się na słowach Rebecki.

- Doszły mnie słuchy, że mogłam zranić panią swym zachowaniem, więc chciałam za to przeprosić.

Starannie wyrażony żal z pewnością nie pochodził z głębi serca.

Mimo to Grace wzięła kwiaty i skłoniła głowę.

- Dziękuję. - Zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

- Eleanor uważa, że najlepiej dla mnie będzie, jeśli opuszczę Belridden i zamieszkać z rodziną matki.

Słowa zabrzmiały błagalnie, zupełnie jakby Rebecca chciała, żeby Grace sprzeciwiła się temu w obliczu starej matrony i przy pilnie nadstawiających uszu sługach.

- Myślę, że Eleanor ma rację.

Po raz pierwszy oczy staruszki popatrzyły na nią życzliwiej, bez dotąd wszechobecnej krytyki, a po alabastrowych policzkach kochanki Lachlana zaczęły płynąć łzy. Grace jednakże nie miała czasu, by zastanawiać się nad jej reakcją, bo uwagę wszystkich zwróciły głosy z zewnątrz.

Jej mąż wszedł do wielkiej sieni. Grace domyśliła się, że przed chwilą szkolił swoich ludzi, bo nadgarstki miał obwiązane paskami skóry, a w pochwach u pasa tkwiły dwa miecze. Connor i Ian otaczali go z dwóch stron i śmieli się z czegoś, co powiedział, choć ich rozbawienie momentalnie wyparowało, kiedy Rebecca w powo-

dzi łez podbiegła do lairda. Rzucił okiem na Grace, uniósł pytająco brwi, ale nie uczynił żadnego ruchu. Gdy do Rebecki dotarło, że laird pozwala jej odejść, nie zamierza jej zatrzymać, rozplakała się jeszcze bardziej i pobiegła na schody.

Niezręczną sytuację rozładował Dexter, który pobiegł ku mężczyznom, szaleńczo merdając ogonem i wielkim zwisającym językiem polizał buty Lachlana.

Grace zauważyła, jak mąż ukradkiem podrapał psa za uszami, jednocześnie biorąc kubek wody, który podawała mu jedna ze służących.

Pomyślała, że z tym śmiechem, miłością psa i promieniami słońca wpadającymi ukośnie przez łukowate okna do wielkiej sieni wygląda... na szczęśliwego, lub choćby mniej ponurego niż mężczyzna, którego poślubiła, czy mężczyzna, który siedział przy kolacji ostatniej nocy i prawie się nie odzywał.

Tego ranka Eleanor też była pogodniejsza. Przecięła sień i usiadła do stołu z wnukiem.

- Może jutro wybierzemy się na łąki na zakole rzeki, Lachlanie, ostatni raz w tym sezonie, ze wszystkimi dziećmi i ich rodzicami? Potrzebujemy wspomnień, które pozwoliłyby nam przetrwać zimę w Belridden w dobrych nastrojach.

Kiedy Lachlan skinął głową, Grace zobaczyła, że służący, którzy stali za nim, uśmiechnęli się. Domyśliła się, że wieść o tym wydarzeniu rozejdzie się po zamku błyskawicznie. Prosta przyjemność, niewyszukana rozrywka, kilka godzin wytchnienia od codziennego trudu. Uświadomiła sobie, że sama też z wielką radością czeka na ten dzień.

Lachlan skończył spisywanie rachunków i ruszył, by spotkać się z żoną. Kiedy dotarł do jej izby, Grace w niej nie było, posłał więc służącą na dalsze poszukiwania. Na pewno była jeszcze w wielkiej sieni, planując z Eleanor jutrzejszą wyprawę. Mając nadzieję na jej rychły powrót, przeszedł przez izbę i wziął do ręki szczotkę z rudym włosiem zaplątanym w szczecinę. Kiedy ją odłożył, zobaczył, że obok leży owad zatopiony w bursztynie.

Grace bardzo dbała o swoje skarby. Ta myśl sprawiła, że zaczął się zastanawiać, czy dostała ich wiele. Przypomniał sobie, że wciąż nie pokazał jej spinki, którą kupił

dla niej w Edynburgu, więc wyciągnął ją ze sporranu. Wydało mu się stosowne, że dziś powinna dostać coś dla uczczenia... czego? Nie wiedział, więc tylko pokręcił głową.

Wreszcie usłyszał odgłos kroków w korytarzu, a po chwili do sypialni weszła Grace. Dexter był tuż za nią.

- Przepraszam, że muusiałeś czekać. Eleanor bardzo chciała omówić wszystkie szczegóły. Staale zapominała, co powiedziałam.

- Gdybyś powiedziała mojej babce, że pamięć jej szwankuje, z pewnością by to zapamiętała.

Roześmiała się beztrósco.

- Kiedy się śmiejesz, wyglądasz prawie pięknie.

- Prawie? - Powiedziane żartem, zupełnie jakby chciała usłyszeć więcej.

- No dobrze, bardzo. Bardzo pięknie.

- Z pustym łóżem obok ciebie i ppustą nocą przed sobą... Myyślę, że mam prawo powątpiewać w twoje odczucia.

Sięgnął do kieszeni i wyjął spinkę.

- Może w takim razie podarunek zmiękczy twoje twarde serce?

- Dla mnie? - Jej dobry nastrój prysł, zębami niepewnie przygryzła górną wargę.

- Kupilem ją parę tygodni temu. Powinnaś dostać ją już wcześniej.

- Och... nie mam nic dla cieebie.

- Naprawdę nic, Grace? - Łącząca ich nić pożądania sprawiła, że nie miała trudności z właściwym odczytaniem jego słów. Podszedł bliżej i położył spinkę w jej dłoniach. - Kupiec powiedział, że jest ze świętego miasta Konstantynopola.

Zacisnęła palce na prezencie. W świetle figurka rycerza na koniu była wyraźnie widoczna.

- Czy nosiłeś taaką zbroję? - spytała, gładząc palcami napierśnik i naramiennik.

- We Francji tak.

- Jednak nie tutaj?

Pokręcił głową.

- Nie brałem udziału w turniejach...

- Bo...?

- Straciłem wielu przyjaciół w walkach przeciwko Anglikom, więc nie widziałem sensu w tym, że moi rodacy tracą życie dla czyjejś rozrywki. Poza tym reguły uczestnictwa były zawsze surowe.

- Los rycerza nie był twoim powołaniem, czy tak? - Spojrzała na trzymaną w rękę spinę i uśmiechnęła się. - Mogłabym się spierać, że jest inaczej. Nawiasem mówiąc, mój wuj uważał, że będziesz dla mnie bardzo dobrym mężem.

- Jakim człowiekiem jest twój wuj?

Znów interesy. Grace jakoś już przywykła, że Lachlan błyskawicznie przenosił uwagę z jednej sprawy na drugą.

- To dobry człowiek.

- Jeden z ludzi Edwarda Balliola?

- To było dawno temu.

- Tak samo jak twój ojciec?

Świat zaczął wirować wokół niej. Ciężko opadła na łóżko. Tak Tak. Tak. Krew na sukni jej matki doskonale pasowała do koloru butów.

- Wyypytywałeś o mnie?

- O twoją rodzinę, Grace, a głównie o twoich rodziców. O ich śmierć pod Yorkiem. Można byłoby powiedzieć, że twój ojciec drogo zapłacił za mieszanie się do polityki kraju, którego raczej nie miał powodu lubić.

Mogła tylko przytaknąć i dalej słuchać w milczeniu.

- Ziemie twego dziadka rozciągały się wzdłuż zachodnich hrabstw i przepadły, kiedy Robert Steward podpisał układ w Edynburgu. A więc zapytam cię jeszcze raz, Grace, jakim człowiekiem jest twój wuj?

- Baardzo się różni od mojego ojca. On nie ściągnąłby niebezpieczeństwa na rodzinę za złoto.

Zobaczyła, że mięśnie na jego szczękę zaciskają się.

Ogień parzący jej nogi. Mama. Dziwni, niebezpieczni mężczyźni wołający jej

imię i ziemia przy jej policzkach. Wilgotna. Zimna. Ciemna. Szepty. Wina jej ojca. Koniec dzieciństwa.

- Jak ona wyglądała? Mam na myśli twoją matkę.

- Była piękna.

Łagodność w jego oczach sprawiła, że zamilkła.

- W Edynburgu słyszałem, że zaczęłaś się jąkać dopiero po wypadku i że byłaś w lesie dobre dwa dni, zanim znaleziono cię skuloną przy pniu dębu.

- Kkochałam ją.

- A jego? Czy swego ojca też kochałaś?

- Tak. - To słowo zostało z niej wydarte, wydarte z głębi serca przepełnionego gniewem i żalem. Wydarte z tego, co utraciła i z czym teraz została.

Poczucie krzywdy zmagало się z lojalnością.

- Dobrzy mężczyźni mogą popełniać błędy tak samo łatwo jak źli, Grace - powiedział jak ktoś, kto wie.

Zwróciła twarz ku niemu.

- Mooja mama nie chciała jechać do Yooruku. On nas zmusił.

Głuchy ból w jej gardle narastał coraz bardziej. Pamięć o jego winie i błędach, które popełnił, mieszały się ze wspomnieniami z dzieciństwa, kiedy siedziała na kolanach ojca, a on opowiadał jej różne historie. Wtedy nie był zły, przeciwnie, czuły, dobry mężczyzna, ojciec... Palcami gładził jej rude włoski, a światło, które odbijało się w jego włosach, nadawało im taki sam odcień.

Drząc, próbowała w tym pełnym dobroci obrazku znaleźć ścieżkę, która wyprowadzi ją z wszechogarniającego przygnębienia. I pozwoli przetrwać!

- Ojciec zawołał mnie, kiedy umierał, zanim nadeszli inni. Powiedział mi, że nie chciał nas wplątywać w politykę. Przepraszał, błagał o wybaczenie. Aż do teraz nie pamiętałam, że to powiedział. Jakbym wyparła to z siebie... - Pogładziła lśniąca spinkę, którą wciąż trzymała w ręku, obrysowując kontury wyrytego rycerza. Widząc w środku napis, uniosła klejnocik do światła. - *Miserere nobis. Zmiłuj się nad nami.* Czy wiedziałeś o tym napisie?

Pokręcił przecząco głową.

- Może chrześcijańskie Cesarstwo Bizantyjskie dostarczyło ci odpowiedzi na twoją wiarę.

- W Boga?

Ponownie pokręcił głową.

- W siebie.

Nagle roześmiała się.

- I to mówi mężczyzna, który nie wierzy w nic?

- Nie wierzył w nic... - Przyciągnął ją do siebie, udzielając Grace swojej siły i pewności.

Jej długo powstrzymywany gniew zaczął ustępować, zmieniać się i przechodzić w smutek. Wydawało się, że wreszcie może przebaczyć ojcu, zapomnieć o jego złych wyborach i skutkach, które przyniosły! Pamiętać jedynie o tym, że do końca ją kochał.

Może jednak Lachlan miał rację.

Może dobrzy ludzie mogą popełniać błędy tak samo łatwo jak źli?

Wtuliła się w niego, a on ją objął. Księżyc wzeszedł na wschodzie, sprowadzając światło w miejsce ciemności, a upływ czasu odmierzało jedynie ciepło ich ciał.

Obudziła się o świcie, słysząc śpiew ptaków na dworze i nawoływania. Lachlan leżał przy niej, ale nie poruszyła się, bo wiedziała, jak łatwo się budzi nawet na naj-
lżejszy dźwięk.

We śnie wyglądał mniej surowo, łagodniej, długie ciemne rzęsy rzucały cienie na policzki, jak u anioła, poturbowanego anioła, którego piękność wprawiała w za-
dziwienie wszystkich patrzących.

Trzymali się za ręce przez całą noc i rozmawiali nie jak kochankowie, ale jak przyjaciele. Dzielili się wspomnieniami z dzieciństwa, opowiadali o ulubionych miejscach i czasach, kiedy byli szczęśliwi, a gdy pełni ufności zapadli wreszcie w sen, palce ich rąk pozostały splecione. Jak znak rodzącego się poczucia jedności, obietnica wspólnej przyszłości.

Nęcała.

Uzależniająca.

Niosąca bezpieczeństwo.

Uśmiechnęła się i spojrzała w blade oczy, które ani drgnęły.

- Dzień dobry - powiedział, nie odrywając ręki. - Nigdy nie spałem z kobietą w ten sposób.

- W przyjaźni?

- Mało powiedziane. - Przetoczył się na nią, nakrywając swoim ciałem i przyniatając do miękkości łoża. - W czymś o wiele większym.

Rozdział jedenasty

Grace leżała na plecach na kocu rozłożonym w cieniu na polanie i patrzyła w niebo.

- Szkocja jest taka piękna, o wiele bardziej dzika niż Grantley.

Babka Lachlana, która siedziała obok niej, uśmiechnęła się na te słowa.

- Tak, to prawda, i dobrze, że tak jest, bo dzięki temu świat i jego problemy są daleko stąd.

Nie mogła się z tym nie zgodzić, nie dzisiaj, w tak słoneczną pogodę, z Dexterem u boku i perspektywą mroźnej zimy tuż-tuż. Cudowna aura była niespodziewanym darem natury, o tej porze roku takie dni właściwie się nie zdarzały. Grace odwróciła się ku rzece i zobaczyła Donalda, który z patykiem w ręku kierował się do wody, oraz Mary, jego matkę, siedzącą nieco dalej od brzegu z gromadką młodszych dzieci i niemowlęciem przy piersi.

Oczy Grace powędrowały ku niemowlęciu, maleńkiemu i bezbronnemu. Zastanawiała się, jakie to uczucie trzymać taką kruszynkę, karmić ją, kochać i dbać o nią. Jej przypadłość miesięczna wciąż się spóźniała.

- Kiedy urodziłam ojca Lachlana, miałam czternaście lat.

Grace szybko odwróciła głowę i zerknęła na Eleanor. Staruszka musiała ją obserwować i zauważyła, w którą stronę patrzy.

- Hugh był bliźniakiem. Jego siostra umarła zaraz po urodzeniu. Często o niej myślę, zwłaszcza kiedy widzę takie maleństwa jak dziecko Mary.

- Mój mąż i jego ojciec chyba nie byli sobie bliscy...

- Mój syn był samolubnym chłopcem, a potem samolubnym mężczyzną, ale cały jego świat się zawalił, jak zmarła mu żona.

- Ile lat miał Lachlan, kiedy to się stało?

- Prawie sześć. Zaraz potem wyjechał z Dawidem do Francji. - I miną, i tonem głosu zaświadczała dobitnie, że nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

Grace zamierzała pociągnąć ją za język, kiedy z lasu z drugiej strony brzegu wychyliła się buzia chłopczyka, odzianego w pled różniący się wzorem od tartanu Kerrów. Malec przyglądał się, jak Donald unosi rękę i macha, a zaraz potem nieznajomy znikł wchłonięty przez gęstą zielenią.

Żaden z sześciu, może więcej wojowników, którzy przyszli wraz z nimi nad rzekę, nie robił wrażenia zaniepokojonego, więc odprężyła się. Miała nadzieję, że wkrótce dołączy do nich Lachlan, którego po drodze zatrzymał mężczyzna nadzorujący odbudowę koła wodnego.

Pełne podniecenia głosy przyciągnęły jej uwagę. Donald leżał teraz na konarze drzewa rosnącego tuż nad wodą i chwycił duże płaskie liście, które płynęły z nurtem. Drugi, młodszy chłopiec obserwował go, dając sygnały, kiedy kolejny liść, porwany wirem, oderwie się od zbitej masy.

Grace przypomniała sobie, że będąc dzieckiem, bawiła się tak z kuzynkami, gdy trzask pękającej gałęzi przywrócił ją do rzeczywistości. Patrzyła, jak Donald, nie mogąc się niczego chwycić, ześlizguje się z drzewa i wpada w głęboką wodę.

Mary pobiegła tak szybko, jak mogła, Dexter tuż za nią, ale zanim dotarli do miejsca wypadku, z krzaków z drugiego brzegu rzeki wypadła jeszcze jedna postać i rzuciła się do wody, płynąc prosto do Donalda.

Był to chłopiec, który obserwował ich zza zasłony lasu. Towarzyszący im mężczyźni także zaczęli biec, ale nie byli wystarczająco blisko. Grace widziała, że Donald robi się coraz słabszy i znów idzie pod wodę, a jego pobieliałe palce łapią nicłość.

Rozwiązała sznurówkę i zdjęła suknię, która była zbyt ciężka i niewygodna. Koszula, którą miała pod spodem, przynajmniej nie krępowała jej ruchów. Buty poszły za suknią.

- Co robisz? - próbowała ją zatrzymać Eleanor.

- Umiem pływać. Ojciec mnie nauczył. - Uwolniła się z jej objęć i ruszyła biegiem. Wskoczyła do wody, przedtem poleciwszy psu zostać na brzegu, by nie próbował wejść za nią.

Zimno uderzyło ją jak cios, odbierając oddech, a czerń szkockiej rzeki bardzo się różniła od przejrzystych strumieni jej dzieciństwa. Brnęła jednak do Donalda, dziesięć jardów, już tylko pięć. Dłonie chłopca chwyciły spod powierzchni wody jej dłonie i zacisnęły się kurczowo, ściągając ją w dół.

Nie wyobrażała sobie, że nurt jest tak bystry, a zdesperowany Donald okaże się tak silny. Kiedy z trudem odbiła się od dna, spanikowany chłopiec kopnął ją tak mocno, że zabrakło jej tchu. Poszła pod wodę, włosy dziecka stanęły dęba, a w zielonej kipieli jego przerażone oczy wydawały się olbrzymie.

Kiedy wynurzyli się znów, otuliła ich spieniona woda. Krzyki tych, którzy byli na brzegu, oraz szczekanie Dextera zagłuszał płyn w uszach. Drugi chłopiec był obok i starał się pomóc, a jego drobna twarzączka cała się pomarszczyła z wysiłku.

- Możesz podtrzymać mu ramię? - wydyszała.

Była mu wdzięczna, kiedy przytaknął. Ona pociągnęła za drugie. Płynęli w kierunku brzegu, powoli, bo nurt po tej stronie był bardzo silny, z takim dotąd się nie spotkała, a woda wciąż była ciemnozielona, co oznaczało, że dno jest głęboko. Byli jednak coraz bliżej celu, wreszcie poczuła pod stopami muł.

Nieoczekiwanie uderzyła ich gałąź wirująca w bocznej odnodze i nieznajomy chłopiec zniknął.

Po Donalda wyciągnęły się czyjeś ręce. Ręce mężczyzn, mocne ręce. Bezpieczeństwo.

Co teraz?

Uratować jednego czy dwóch?

Nie było czasu do namysłu. Rzuciła się do tyłu, płynąc z prądem, a głosy oddały się i wreszcie nastąpiła cisza. Została sama!

Kiedy dotarła do malca i trąciła go w bok, leżał w wodzie twarzą do dołu. Zaczęła go holować. Wartki prąd rzeki niósł z sobą większe i mniejsze gałęzie, jedna z nich zahaczyła o jej ramię, druga uderzyła ją w łydkę. Łzy zmieszały się z bólem, ale twardo nie poddawała się panice. Nie teraz, kiedy byli tak blisko celu. Dwadzieścia jardów, potem dziesięć, wreszcie błoto pod stopami, gęste i zalegające głęboko, ale ubite.

Kiedy znalazła porządne oparcie dla nóg, wyciągnęła chłopca na brzeg, odwróciła i uderzyła w pierś tak, jak zrobił to kiedyś jej ojciec, ratując mężczyznę, który nie oddychał.

Malec zakaszłał, wypluł wodę z ust. Wdzięczna Bogu, że chłopak żyje, usiadła na brzegu, próbując łapać powietrze, którego tak potrzebowała. Wreszcie oboje byli w stanie mówić, choć ich głosy były chrapliwe od wody, której się nałykali.

- Uratowałaś mnie?

- Kim jeesteś?

- Callum Elliot. Jestem... najstarszym synem... lairda Elliotów.

Boże! Grace omal nie wybuchnęła śmiechem. Elliot był tym mężczyzną, który obraził ją w lesie, w dodatku naczelnikiem klanu wadzącego się z Kerrami.

Krew płynęła mu po lewym policzku z głębokiej rany powstałej od uderzenia o kłodę. Włosy, które ją zasłoniły szybko nabierały koloru ciemnego różu jakby spłowiałego w słońcu.

- Gdyby nie ty, pewnie nie udałoby mi się uratować Donalda. - Musiała sprawić, by znów uwierzył w siebie.

Słyszając te słowa, chłopak uniósł głowę, ciemny błękit w jego oczach był dokładnie tego samego koloru co niebo o północy.

- Chodzi o tamtego chłopca? Ma na imię Donald? Widywałem go już wcześniej w lasach dzielących nasze zamki.

- Jest mniej więcej w twoim wieku i tak samo lubi przygody, więc nic dziwne-

go, że wasze drogi się spotkały. Jestem Grace.

Miała na sobie jedynie przezroczystą i moką koszulę, a cała sytuacja była absurdalna, ale Callum wyciągnął rękę, a ona ją serdecznie ujęła.

Dobiegały do nich wołania z daleka, głosy mężczyzn, później szczerzenie Dexterą. Przez chwilę myślała, że słyszy głos Lachlana, głębszy niż inne i rozlegający się bliżej.

- Nie powinni mnie tu zastać. Gdyby mój ojciec się dowiedział... - Callum wstał i równie szybko usiadł na powrót.

- Mmyślę, że nie masz wyboru - odparła cicho, położyła mu rękę na ramieniu i przywołała biegnących.

Lachlan przedzierał się przez drzewa jak szalony, ale kiedy ją zobaczył, zatrzymał się i zaczerpnął tchu, a gniew odbijający się na jego twarzy zastąpiły emocje innego rodzaju. Dexter nie miał takich problemów, dużym zwisającym językiem lizał zarówno jej twarz, jak Calluma.

- Jak na kobietę, która boi się własnego cienia, wydajesz się wyjątkowo biegła w ryzykowaniu życia dla ratowania innych.

- Kiedy się zjawiłeś nad rzeką?

- W samą porę, by zobaczyć, jak płyniesz w dół.

- Callum jest ranny.

- Callum?

- Syyn lairda Elliota.

- Bogowie!

Nie była to odpowiedź, jakiej się spodziewała. Czuła, jak chłopiec przy jej boku stęzał.

- Laird Kerr nic ci nie zrobi, Callum. Nie musisz się niepokoić.

Głos niósł się po wodzie i zdawało jej się, że widzi, jak mąż się uśmiecha, kiedy podszedł, ściągając z siebie grubą koszulę. Przerzucił ją przez jej głowę i teraz jego nagość okrywał tylko pled.

- Moi ludzie są tuż za mną - wyjaśnił, a widok jego potężnych mięśni w po-

ładniowym słońcu zapierał dech. Płótno koszuli opadło na jej skórę jak zasłona, ciepłe i suche. Zakaszła, kiedy Lachlan przygarnął ją do siebie, niemal brutalnie, a palcem pogładził po policzku.

- Masz tutaj siniaka - powiedział - i tutaj.

Ślad na szyi zabolął ją, kiedy oderwał palec.

Jednak nie puścił jej, oparł dłoń na jej pośladkach, a woda ściekająca z jej koszuli pozostawiła ciemną plamę na jego pledzie.

Tymczasem Mary i Eleanor zaopiekowały się Callumem, wychwalając go za odwagę i owijając kocem. Grace była zadowolona, że to zrobiły. W końcu dopadła ją reakcja na wszystkie wydarzenia i uświadomiła sobie, że trzęsie się w równie niekontrolowany sposób jak chłopiec.

- Nnie wieem, jak...

Boże, ledwie mogła mówić czy iść, toteż kiedy Lachlan wziął ją na rękę, nie broniła się, tylko objęła go rękami za szyję i wtuliła się w niego, zadowolona z dotyku jego gładkiej skóry przy policzku i bicia jego serca tuż przy jej uchu. Dexter biegł tuż za nimi. Uśmiechnęła się.

Niebiosa!

Była tam.

Alistair Elliot przybył do Belridden z reprezentacją swego klanu. Była to mała grupka kobiet i kilka osób starszych wiekiem, co raczej nie wyglądało groźnie. W zasięgu wzroku nie było żadnych wojowników, chociaż Lachlan powiedział, że obozują za zamkiem.

Kobieta jadąca konno obok lairda miała twarz pokrytą czerwonymi plamami, a kiedy znaleźli się na zamkowym dziedzińcu, przy oczach trzymała chusteczkę. Na pewno płakała. Matka Calluma! Nietrudno było to odgadnąć, bo chłopiec wyrwał się opiekunkom i pobiegł ku niej, ku nim, ku swojej rodzinie i został dosłownie otulony miłością, kiedy przybysze zsiadli z koni i wzięli go w ramiona.

Zaginione dziecko zostało odnalezione! Grace zobaczyła, jak Mary odruchowo objęła Donalda.

- Kerr. - Głos Elliota był równie głęboki jak jego spojrzenie spoczywające na synu. - Chciałem ci podziękować za życie mego najstarszego syna.

- Te słowa nie mnie się należą. To mojej żonie jesteś winien podziękowanie.

- Potrafi pływać? - W głosie Elliota słychać było nieukrywane zdziwienie.

- Potrafi i dobrze, że tak jest, prawda?

- Nie oddychałem, mamó. Ona przywróciła mnie do życia - wtrącił Callum.

- No niezupełnie... - zaczęła Grace, ale Lachlan powstrzymał ją naciskiem ręki, a naczelnik klanu Elliotów przykleknął przed nią.

- Jestem pani dłużnikiem, lady Grace, a jeśli mój klan będzie mógł wyświadczyć pani jakąś przysługę, wystarczy jedno pani słowo.

- Nie myślę, żeby było coś takiego...

- Nie chodzi o to, Grace, żebyś w tej chwili miała jakieś życzenie, tylko jeżeli w przyszłości byłabyś w potrzebie...

- Naaturalnie. - Poczula, jak jej twarz pokrywa się ciemnym rumieńcem.

- Moja żona także chciałaby pani coś dać.

Alistair wstał, natomiast kobieta z czerwonymi oczami wysunęła się do przodu, a jej delikatne palce ujęły dłoń Grace.

- Oto pierścień, który dostałam, wychodząc za mąż, pani - zaczęła. - Pierścień płodności, tak mówią, co w moim przypadku okazało się prawdą, bo Callum jest najstarszy z naszych czworga dzieci. Noś go, a będziesz miała tyle dzieci co ja i równie szybko.

Wsunęła go na palec Grace i objęła ją gwałtownym uściskiem, który wyrażał całą jej wdzięczność.

- Dziękuję ci za życie mego syna - szepnęła, po czym cofnęła się, a z oczu popłynął jej nowy strumień łez.

Starsza kobieta stojąca za nią zaintonowała pieśń w języku, którego Grace nie знаła, słowa nachodziły jedno na drugie, tempo i natężenie narastały współmiernie do targających nią emocji, a kiedy skończyła, wyjęła ziemię z sakiewki i sypnęła ją u stóp Grace. Po chwili mały stosik czarnej wilgotnej ziemi zmieszanej z jakimiś nasio-

nami leżał w kurzu przed zamkiem.

- Babka Calluma mówi, że jesteś ziemią Elliotów. Mówi, że jej ognisko domowe jest twoim ogniskiem, a jej ziarno twoim ziarnem. Mówi, że następna dziewczynka, która przyjdzie na świat w klanie Elliotów, otrzyma twoje imię, a kiedy jej wnuk do-
rośnie i zostanie równie dzielnym wojownikiem jak jego ojciec, także będzie cię
chronił - tłumaczył słowa pieśni Lachlan. Jego głos dźwięczał mocno na tle jękliwego
wołania starszej kobiety, a kiedy pieśń dobiegła końca, Grace skłoniła głowę w po-
dziękowaniu.

Teraz przyszła kolej na Lachlana.

- Twój syn to dzielny chłopak, Alistairze. Skoczył do rzeki na ratunek jednemu z
Kerrów. Gdyby nie jego męstwo, dziecko mogłoby utonąć.

Pierś naczelnika Elliotów wezbrała dumą. To nie był jednostronny dar, pomy-
ślała Grace. Tym sposobem łatwiej było okazać wdzięczność. Napięcie wyraźnie ze-
rzało i Grace skorzystała z okazji, by przyjrzeć się uważniej podarunkowi matki Cal-
luma.

Na srebrnym pierścieniu wyryto romb wysadzany rubinami, cztery kamienie
oznaczały wielką płodność. Jeden na jedno dziecko, wyobraziła sobie Grace i
uśmiechnęła się. Sama możliwość była emocjonująca.

Dwie godziny później, kiedy wymiotowała do miski po raz drugi w ciągu paru
minut, zastanawiała się, czy to jedynie rzeczna woda sprawiła, że czuła się tak okrop-
nie.

Jak to dobrze, że Lachlan postanowił towarzyszyć Elliotom do granicy posia-
dłości i spodziewano się go z powrotem dopiero w porze kolacji. Nie chciała, żeby
widział ją w tym stanie. Dotyk dłoni Lizzie na jej ramieniu dawał pocieszenie.

- Kiedy nosiłam pod sercem swoje pierwsze dziecko, chorowałam tak samo jak
pani.

Grace pokręciła głową, nie chcąc uznać takiej możliwości.

On musi najpierw mnie pokochać. Musi mówić mi, że mnie kocha. Że nie trak-
tuje mnie jak żonę, która urodzi mu spadkobierców, tylko jak kobietę kochaną i ko-

chającą.

Jednak Lizzie nie miała wątpliwości.

- Jeśli to się okaże prawdą, pani, proszę nie mówić o tym nikomu prócz pani męża, bo są tu tacy, którzy nie przyjęliby dobrze wiadomości o tym, że wkrótce na świecie pojawi się dziedzic Lachlana Kerra.

- Kto, Lizzie? Kto skrzywdziłby dziecko? - Grace przypomniała sobie dzień, w którym Lachlan wziął ją do lasu, by nauczyć sztuki samoobrony. Dał jej wtedy takie samo ostrzeżenie.

- Jego brat. - Dwa słowa. Grace poczuła dreszcz strachu biegnący wzdłuż kręgosłupa. - Jeśli Malcolm Kerr wciąż żyje, na pewno będzie chciał odzyskać ziemie Belridden.

Serce Grace, już bijące szybko, jeszcze przyśpieszyło, kiedy przypomniała sobie dzień, gdy ten, o którym mówiły, stracił równowagę i wpadł do żlebu nieopodal rzeki w Grantley.

- Słyszałam, co mówią. - Lizzie miała poważną minę. - Pani mąż słyszał to samo, ale żeby panią chronić, nie powiedział nic. Gdyby wiedział, że ja pani o tym mówię...

- Obiecuję, że cię nie wydam...

- I będzie pani ostrożna? Dla dobra dziecka i własnego?

Fala mdłości powstrzymała ją od odpowiedzi. Poczowała pot pokrywający czoło pod ciężką grzywką włosów i spływający strużką między piersiami.

Boże. Kłamstwa ciągle wisiały nad jej głową. Jeśli okaże się, że Malcolm Kerr żyje, wiedziała dokładnie, jakie rzuci na nią oskarżenie.

Morderstwo i oszustwo. I wszystko legnie w gruzach.

Lachlan wracał do domu leśnymi ścieżkami po odprowadzeniu klanu Elliota do granicy swojej ziemi. Jechał tylko z Connorem i Ianem. We trzech w milczeniu przezierali się przez zwarte poszycie i kierowali się na południowy zachód, a słońce, które zachodziło ku wzgórzom Cheviots, oświetlało ziemię na czerwono.

Czerwono.

Jak włosy Grace i kolor rubinów w pierścieniu, który podarowała jej żona Ellio-ta. Na płodność? Zacisnął mocniej palce na uździe i próbował przypomnieć sobie, czy Grace miała miesięczne krwawienie, od kiedy zamieszkała do Szkocji. Nie sądził. Po-liczył dni od przybycia do Belridden, bo to wtedy poznał ją intymnie po raz pierwszy.

Nieco ponad cztery tygodnie.

Czyżby już nosiła jego dziecko? Sekrety między nimi mnożyły się, a on nie mógł nic zrobić. Nic poza próbą chronienia jej. Najlepiej jak potrafił.

Rozdział dwunasty

Grace nie mogła sobie znaleźć miejsca. Lachlan jeszcze nie wrócił do domu, choć było już dobrze po dziesiątej, zapadły ciemności, a ziemię spowił cień. Wreszcie udała się do jego komnaty, która znajdowała się w wieży piętro wyżej. Uniosła skórzaną zasłonę przy oknie i wyjrzała na zewnątrz, wypatrując światła i nadstawiając ucha w nadziei, że usłyszy rzenie koni i okrzyki strażników na szanćcach obwieszczające powrót zaginionych wojowników.

Ściśle biorąc, nie zaginęli, bo poza nią nikt nie martwił się z powodu ich nieobecności. Rozpadało się na dobre. Do ulewnego, zacinającego deszczu dołączył porywisty wiatr. Wilgoć przenikała cały, uczepiony grani zamek, wzniesiony na tyle wysoko, że przez większą część roku był otulony zimnymi mgłami charakterystycznymi dla terenów pogranicza, a jego mieszkańcy w pełni odczuwali siłę szalejących tu wichur. Grace owinęła się szczelniej kocem, który miała narzucony na ramiona niby szal, i zadygotała.

- Gdzie jesteś, Lachlanie? - spytała cieni czających się wokół. Tak bardzo chcia-ła, żeby już wrócił, bo wówczas mogłaby zasnąć.

Tylko zasnąć?

Obróciła pierścień na palcu i uśmiechnęła się.

Komnata męża była obszerna. Grace podeszła do biurka, którego jedna strona była zawalona dokumentami. Inkaust i gęsie pióra umieszczono z drugiej. Tam rów-

nież leżał starannie zamknięty czerwony wosk, zapewne do pieczęci. Nie widząc jej obok, doszła do wniosku, że została schowana w jednej z trzech szuflad pod blatem. Choć była ciekawa, co jeszcze tam trzymał, nie odważyła się żadnej z nich otworzyć. W każdej chwili ktoś mógł wejść, a poza tym wrodzone poczucie tego, co wypada, a co nie, nie pozwalało jej na takie wścibstwo.

Zamiast tego wysunęła jego krzesło i usiadła. Ta wygodna pozycja sprzyjała odpoczynkowi i relaksowi. Wyobraziła sobie, że Lachlan tu jest, patrzy na komnatę z tego właśnie miejsca, na drewniane półki, na których leżały miecze, i na szafę z ubraniami. W końcu wstała, podeszła do niej i otworzyła drzwi. Leżały w niej starannie złożone koszule i pledy. A w głębi wisiały angielskie ubrania, wytworne stroje z aksamitu i brokatu. Rzeczy pochodzące z życia, które jej mąż prowadził wcześniej, z czasów, kiedy służył swemu królowi w dalekich krajach. W Akwitanii i Brytanii. W zamkach, gdzie trzymano króla, dziecko, którego nikt nie chciał, królewskiego potomka, który sprowadził chaos na ziemię silnych i chciwych mężczyzn.

Szkocja.

Dom.

Wyciągnęła rękę, dotknęła płótna mężowskiej koszuli i poczuła... spokój. Ta błoga chwila umknęła, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Przestraszona Grace odskoczyła i pośpiesznie zamknęła szafę.

- Proszę wejść - powiedziała, a drzwi się otworzyły i na progu stanęła Lizzie. Służąca nie kryła niepokoju.

- Proszę pani, powinna pani stąd wyjść. Niebezpiecznie jest siedzieć na górze samej. Na pewno w wielkiej sieni będzie pani przyjemniej, a w towarzystwie także bezpieczniej.

Widząc przerażenie Lizzie, Grace udała się za nią na korytarz i natychmiast doznała szoku. Z ciemności wysunęła się ręka, która uderzyła ją z całej siły w skroń. Grace zapadła się w wirującą czerń.

- Jeśli będzie pani cicho, nikt pani nie skrzywdzi. - Głos Lizzie. Blisko. Nakładający się na ból w głowie i w przywiązanych do drzewa w lesie dłoniach.

I głos kochanki Lachlana, która kogoś ostro rugała:

- Kenneth MacIndoe mówił, że tu będzie - wściekała się Rebecca. - Powiedział, że jeśli przyprowadzimy Grace Stanton, przyjedzie i da nam złoto.

- Cóż, nie może przyjechać, bo jest jeszcze w Yorku.

- A my nie możemy tu zostać do świtu, bo gdyby ktokolwiek odkrył, że ją uprowadziliśmy...

- Cii, kuzynko. - Lizzie podniosła rękę.

Kuzynka? Jej kuzynka? Rebecca była kuzynką Lizzie, a Kenneth MacIndoe był sługą Malcolma Kerra, mężczyzną, który znał prawdę o upokorzeniu, którego doznała Ginny. Wszystko, czego się obawiała, działo się teraz w rzeczywistości.

- Jednak ty próbowałaś mnie oostrzec, Lizzie.

Ku jej zdziwieniu służąca szybko pokręciła głową i bezgłośnie poruszyła ustami:

- Pomoc!

Pomoc przeciwko czemu? Przeciwko komu? Kiedy na polanie pojawiła się grupa żołnierzy, Grace uświadomiła sobie, że nie ma najmniejszych szans na ucieczkę. Lecz nie załamała się. Musiała trzymać się dzielnie i mieć nadzieję... Mieć nadzieję, że przybędzie Lachlan... Mieć nadzieję, że Lizzie pomoże... Mieć nadzieję, że kiedy Kenneth MacIndoe w końcu ją zobaczy, nie zabije jej za kłamstwa.

Nie miała wyboru, w dodatku deszcz się nasilił, a koc, którym służąca nakryła jej włosy, był marną ochroną przed zimną jesienną mżawką.

- Mamy dostarczyć ją do Watchlaw Castle - powiedział wysoki mężczyzna o rudych włosach. - Udamy się drogą wzdłuż Tyne, bo przed zmierzchem rzeka przybierze od deszczu i zatrze ślady po naszym przejściu.

- A co z Belridden? Co z tymi mieszkańcami zamku, którzy wciąż są lojalni wobec nas?

- Za tydzień będzie nas więcej, wtedy odbijemy zamek. Zostawiłaś pierścień, Rebecca?

- Tak.

Pierścień? Jej ślubny pierścień? Grace uświadomiła sobie, że nie ma go na pal-

cu. Jej niepokój wzrósł jeszcze bardziej.

- W takim razie wsadźcie żonę Kerra na konia.

Dwaj żołnierze zeskoczyli z siodeł i podeszli do niej. Poluzowawszy więzy, wrzucili ją na grzbiet dużego białego wierzchowca, po czym przywiązali nadgarstki do łąku. Potem jeden z nich usiadł za nią i brutalnie opasał ramionami. Podczas jazdy starała się nie odchyłać do tyłu, starała się zachować dystans między nimi, starała się pozostać tak nieruchoma, jak to tylko możliwe.

Nie była to pora, w której mogła dać wyraz swej niechęci do jazdy konnej. Z Lachlanem czuła się na tyle bezpiecznie, by okazywać strach. Przy tym mężczyźnie zeszywniała i zdusiła w zarodku słowa sprzeciwu.

Sowa zahukała w lesie, raz, drugi, potem trzeci. Grupa jeźdźców znieruchomiła, przekrzywiali tylko głowy w kierunku źródła dźwięku i wyciągali miecze z pochew.

Niech to nie będzie Lachlan, modliła się Grace. Proszę, Boże, niech to nie będzie on. Wiedziała, że pojechał tylko z dwoma ludźmi, a ta grupa liczyła dobrze ponad trzydziestu. Nawet on nie zdołałby zwyciężyć przy takiej dysproporcji sił.

Rozległ się trzask łamanych gałązek i szelest liści, a po chwili zza ostatniego rzędu młodych drzewek wysunął się pysk Dextera. Pies natychmiast podbiegł do Grace, szczekając głośno z radości, z wywieszonym czerwonym językiem i podskakując, zaczął lizać jej buty.

Śmiech porywaczy rozładował napięcie. Ulżyło jej, kiedy ciemnowłosa mężczyzna, który był ich przywódcą, nakazał gestem, by ruszali dalej. W zamieszaniu zapomniano o psie. Ostrożnie się odwróciła i patrzyła, jak podąża za nimi, jej jedyny przyjaciel wśród gromady obcych.

W ciągu godziny z trudem przejechali drogą pod wysokimi wapiennymi klifami. Grace wiedziała, że są daleko od krańców ziemi Kerrów, daleko od miejsca, do którego jej mąż odprowadził Elliotów ze swego zamku. Namacała w kieszeni różaniec i zaczęła bezgłośnie odmawiać modlitwę o ratunek.

Lachlan trzymał w ręku pierścień Grace i klął głośno, podczas gdy ciepło jego

skóry wsączało się w chłód złota. Jego żona go opuściła. Kiedy Duncan ocknął się po uderzeniu w głowę, powiedział, że Grace odeszła z własnej woli. Po zapadnięciu zmroku udała się pieszo do lasu od zachodniej strony zamku, skrywając głowę pod kapturem ciemnoniebieskiej peleryny. Ukrywając prawdę. A z Grace poszedł tuzin jego ludzi, którzy w ciężkiej skrzyni nieśli jej rzeczy.

Stronnicy Malcolma!

Czyżby coraz liczniejsze pogłoski o tym, że jego brat żyje, okazały się prawdą? Skoro jednak Malcolm przeżył wypadek w Grantley, dlaczego nie wrócił do Belridden upomnieć się o swoje prawa lairda?

Nasuwały się dwie odpowiedzi. Było mu wstyd z powodu odkrycia miłości z żoną brata, Ruth, i oddźwięku, jaki mogło to wywołać, a poza tym często postrzegał swoje obowiązki lairda w Belridden jako pułapkę. Dlaczego jednak się ukrywał i dlaczego posłał Kennetha MacIndoe z powrotem na tereny przygraniczne, zamiast udać się tam osobiście?

Z powodu związku z Grace?

Gniew i ból zżerały Lachlana. Jaką kobietę poślubił? Jak mógł dać się tak nabrać? Kłamczucha? Krętaczka?

Ukrył twarz w dłoniach i oddychał głęboko, próbując odnaleźć drogę wyjścia z tego chaosu. Wśród członków klanu w Belridden było wielu takich, którzy widzieli w niej wybawczynię, anioła, kobietę, która dzień po dniu stawała się jedną z nich. Wyjeżdżając z Elliotami, był przekonany, że Grace jest szczęśliwa, a fakt, że Elliotowie wyrazili jej najwyższe uznanie przy tylu świadkach, był wszystkim, czego pragnęła od początku swego pobytu tutaj.

Do diabła.

Nic nie miało sensu, ale nie dostrzegał śladów walki, żadnego szczegółu, który pozwoliłby mu uwierzyć, że się opierała, że została zmuszona do odejścia. Jedna z jej koszul leżała zwinięta w kłębek w nogach łóżka, rzucona w pośpiechu przed ucieczką, jak uznał, biorąc ją do ręki. Delikatna i koronkowa, pachniała Grace. Kwiaty i zapach kobiety. Przełknął ślinę i rzucił koszulę w ogień, gdzie znikła w płomieniach i dymie.

Ulotne i przemijające! Cała tymczasowość jego życia nagle go przytłoczyła; nigdy nie miał swojego miejsca, domu, osoby, która naprawdę należałaby do niego. Nigdy nie cieszył się niczym zaufaniem, uczciwością i wiarą. Jego związki przypominały te płomienie, które pełgały po kłodach drewna, a potem znikwały, zostawiając po sobie tylko dym i sadzę. Jeszcze jedna myśl sprawiła, że zeszywniał. Grace zabrała też psa, bo nie było go ani w jej sypialni, ani w wielkiej sieni, gdzie swymi złotymi oczami zwykł obserwować każdy ruch jego żony.

Żałował, że jutro nie ma żadnej bitwy, potyczki, bo wówczas mógłby po prostu rzucić się w jej wir z mieczem w ręku i zapomnieć o wszystkim.

To było jednak niemożliwe.

Nie, jutro będzie musiał stanąć przed swymi ludźmi i powiedzieć im najlepiej jak potrafi, dlaczego przed miesiącem poślubiona żona lairda spakowała swoje rzeczy i opuściła męża. Nie chciał nawet myśleć o kolejnej zdradzie Malcolma.

Grace zebrała włosy do góry wolną ręką i kiedy odsunęła je od szyi, zimne i wilgotne, uświadomiła sobie, jak bardzo zmarzła. Wszystko przesiąkło wilgocią. Jej ciało, stopy, koc, którym była owinięta, i błotnista ziemia pod nią, ale przynajmniej nie było śladu Kennetha MacIndoe i za to była wdzięczna losowi.

Dexter przyczał się w cieniu drzew, daleko od światła. Od czasu do czasu słyszała jego warczenie i widziała ciemny kształt na skraju polany. Chociaż rzucano mu kawałki mięsa, ignorował je, nie spuszczać z niej oczu. Nie wiedziała, czy chce, żeby został. Z pewnością wkrótce dla tych, którzy ją więżą, stanie się oczywiste, że to jej pies, a wówczas mogą zrobić mu krzywdę.

Przed dwoma dniami do grupy dołączyli inni. Byli to Anglicy, a ten, który był ich przywódcą, przejawiał coraz większe zainteresowanie jej osobą. Jego ludzie nazywali go lordem Thomasem. W ciągu dnia nieraz widziała, że patrzy na nią z niebezpiecznym, niedającym się rozszyfrować do końca błyskiem w oku.

Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zostało jej odebrane, z wyjątkiem różańca i kamienia ukrytych głęboko w kieszeni sukni. Nawet buty jej ściągnęli, zastępując je topornymi skórzniemi, przynajmniej o numer za dużymi. Jej buty nosiła teraz

inna kobieta. Grace zauważyła dziś wieczorem, jak dziewczyna utykała przed położeniem się spać, bo solidniejsza skóra najwyraźniej poraniła jej stopy.

Mała zemsta.

Uśmiechnęła się na tę myśl.

- Wygląda pani na szczęśliwą. - Mężczyzna, którego nazywali Czarnym Paulem, podszedł do niej i położył lubieżnie rękę na jej udzie. Na ten widok lord Thomas wstał i przyłączył się do nich.

- Ona nie jest dla takich jak ty - powiedział, kładąc dłoń na rękojeści miecza za pasem. Warczenie na skraju polany stało się głośniejsze.

Inni też wstali, tworząc wokół niej krąg. Mężczyźni gotowi do awantury. Była jedyną osobą, która nie mogła się podnieść, by stawić im czoło.

- Widziałem, jak na nią patrzysz, Thomas, jak obserwujesz te jej krągłości. - Simon wyciągnął swój miecz i machał nim przed nosem rywala. - Skoro nie potrafisz poradzić sobie z tym, co cię dręczy, może zrobię to w twoim imieniu.

Potok gaelickich słów sprawił, że niektórzy mężczyźni roześmieli się, a twarze innych pociemniały. Nie był to łatwy sojusz, pomyślała Grace, bo to, co chciwość połączyła, mogła także rozerwać.

Nagle jeden z mężczyzn przesunął się, stanął tuż za nią i oparł ostrze noża na jej szyi. Myślała, że zamierza poderżnąć jej gardło, ale po chwili uświadomiła sobie, że wciąż jeszcze oddycha.

- Jeśli się zbliżysz, zabiję ją! - wrzasnął, ciągnąc jej włosy do góry i ucinając prawie przy skórze, a potem unosząc jak trofeum. - Jeśli pozwolisz, by jej kobiecość cię uwiodła, walka, która nas czeka, zakończy się przegraną. Chodzi o walkę o ziemię, która należy ci się zgodnie z prawem, chyba to rozumiesz. Klótnie nie posuną naszej sprawy dalej niż próżne rozlanie krwi.

Czarny kształt wyskoczył z cienia drzew. Szybki błysk białych zębów i wściekły okrzyk mężczyzny, który ją trzymał. Ostrze jego noża zwróciło się teraz ku Dexterowi, dżgając przestrzeń między nimi. Grace upadła, uderzając głową o pień drzewa, aż zobaczyła gwiazdy przed oczami, a wyrwane loki rozsypały się w błocie, gdzie upu-

ścił je napastnik. Inni rzucili się, aby poskromić psa, ich długie miecze dźgały go, gdzie popadło.

Grace usiłowała się pozbierać, aby mu pomóc, psu, który walczył z nimi wszystkimi, nie myśląc o własnym bezpieczeństwie. Jednak kiedy tak wierzgała, sznur jeszcze bardziej werznął jej się w jej nadgarstki, a dźwięki wokół stawały się słabsze. Ciężko oddychała. Zdała sobie sprawę, że nie powstrzyma tego, co wydawało się nieuchronne.

Łzy ulgi i strachu oślepiły ją, kiedy Dexter wreszcie się wyrwał i znikł w lesie tym swoim charakterystycznym biegiem. W takim razie chyba nie doznał zbyt dużych obrażeń... Uniosła wolną rękę i pomacała głowę, którą wieńczył teraz krótki język. Była jeszcze brzydsza, chociaż twarze mężczyzn, którzy na nią patrzyli, sugerowały coś wręcz przeciwnego.

Lizzie stała, wpatrując się w mrok. Grace odwróciła głowę. Gdyby Dexterowi udało się dotrzeć do domu, Lachlan by przybył. Żeby ją uratować.

Lachlan zaklął, kiedy dowiedział się, ilu ludzi zbiera się na granicy jego ziem. Byli to zarówno Anglicy, jak Szkoci. Nie słyszał jednak ani słowa o tym, że jego brat znajduje się wśród nich. Czy była tam Grace? A może pojechała na południe do Gran-tley, by spotkać się z Malcolmem? Wszystko było niewiadomą; jeżeli istotnie jego brat żył, nie mógł po prostu wkroczyć do Belridden i spodziewać się, że przejmie rządy. Niektórzy z tutejszych poparliby go, ale tych, którzy nie chcieli mieć go za swojego lairda, było trzy razy więcej. Nie mógł też żądać ręki Grace. Chyba że Lachlan byłby martwy!

Kocham cię.

Grace powiedziała mu to którejs nocy przez sen. Objął ją wówczas i trzymał w objęciach aż do świtu, tylko oni i uczucie, którego nigdy dotąd nie doznał.

Nie mogła kłamać. Nie byłaby w stanie upozorować tej wyszeptanej przez sen deklaracji.

Od jej zniknięcia upłynęły dwa dni, a on tęsknił za nią wciąż bardziej i bardziej z każdą mijającą chwilą.

Proszę, Boże, niech będzie bezpieczna. Niech żyje. Niech Malcolm będzie dla niej dobry, jeśli uciekła do niego. Chciał tylko zobaczyć ją znów, popatrzeć jej w oczy i dowiedzieć się, czy dobrowolnie weszła na tę drogę, czy nie...

A jeśli została wzięta wbrew swojej woli? Słuczenia na jej ramieniu i nogach jeszcze się nie zagoiły po groźnej przygodzie w rzece. Kiedy była wystraszona, jękała się bardziej niż zazwyczaj. Jękała się tak bardzo, że niektórzy mogli stracić cierpliwość... Nakazał sobie przestać myśleć w ten sposób, powstrzymał strach i panikę. Nie, Duncan widział, jak stąd odchodziła, wyszła pieszo z Belridden z własnej woli, w towarzystwie tych, którzy pozostali lojalni wobec jego brata. Zostawiła pierścień i zabrała swoje ubrania. Liściki w wysadzonej klejnotami szkatułce sugerowały, że kochała Malcolma całym sercem. To było bardzo proste i wmawianie sobie, że sprawy przedstawiają się inaczej, świadczyło wyłącznie o jego naiwności.

Lachlan przygotował zamek do wojny, następnie posłał jeźdźców do Edynburga i Dawida, nakazując im jechać przez Liddesdale i Kelso. Potem zebrał wszystkich ludzi w wielkiej sieni, a kiedy się uciszyli, przemówił:

- Ten zamek podzieliły pragnienia chciwych ludzi. - Zapadła cisza. - Szkocję podzieliły pragnienia chciwych ludzi. Prawie czterdzieści lat temu czterdziestu szkockich panów przyłożyło swoje pieczęcie na deklaracji obiecującej wolność. Wolność od panowania Anglików. Czy mamy ją teraz? Czy mamy ją dziś w Belridden, gdzie wciąż snują się echa panowania Bruce'a? - Zawiesił głos, próbując pochwycić spojrzenia tych, którzy wspierali Malcolma. - Anglicy zgromadzili siły na granicy w pobliżu Whitelee i chcą zagarnąć ziemie przygraniczne w swoje władanie. Stronnicy Balliola wydziedziczeni. - Położył dłoń na mieczu, wzywając do walki tych, których lojalność trzymała we wrogim obozie. - Mogę powiedzieć wam tu i teraz, że jeśli nie podejmiemy walki, Szkocja nigdy nie będzie wolna. Jeśli nie będziemy czuli tego tutaj, w naszych sercach, w naszych domach, na ziemi pod naszymi stopami i stopami naszych przodków, jeśli nie będziemy wiedzieli, że pragniemy niezależnej i silnej Szkocji, tak naprawdę nigdy nie będziemy Szkotami. - Zaczekał, aż jego słowa dotrą do wszystkich zgromadzonych, czując w powietrzu unoszącą się energię, coś, co, jak odgady-

wał, mogło równać się z królewską władzą, a oznaczało prowadzenie ludzi tam, gdzie chciał, i pewność słuszności dokonywanych wyborów. - Jesteście ze mną? - Uniósł miecz wysoko nad głowę. Spodobało mu się, jak światło z łukowatych okien rozblęślo na stali, choć cień wojny tworzył przejmujący obraz na podłodze zamku. Tak, był na tyle dyplomata, by wierzyć w znaczenie odwrócenia biegu historii, i na tyle żołnierzem, by podchodzić do tego ostrożnie i z rozwagą. Nigdy nie było pewności, kiedy jeden próbował nagiąć wolę wielu. Czekał.

Pierwszy rzucił mu wyzwanie Simon McLeod:

- Twój brat rządził tym zamkiem przez lata. Ty jesteś tu od niedawna. Jeśli żyje, jego roszczenia do tej ziemi są słuszne.

- Mój brat rządził jak ktoś, kto chce, by klany wokół nas zostały rozgromione.

- I zastąpione przez tych, którzy walczyli u boku Balliola! - zawołał ktoś inny.

To był Connor. Lachlan skłonił głowę w podziękowaniu.

- Gdyby ci, którzy utracili ziemię za Bruce'a, upomnieli się o nią, Anglicy mieliby łatwy dostęp do Szkocji. Nie byłiby to tylko wydziedziczeni, których mieliśmy za sąsiadów. Byliby to także ci, którzy mieszkają bardziej na południu, ci, których wspiera Edward III Angielski i siła jego armii.

- A co ze Stewardem i Douglasem? Co z siłą ich armii, jeśli zwiążemy nasze losy z dworem Dawida?

- Ich interesuje wyłącznie północ i zachód. Ich siła nie powinna martwić nas tutaj.

- Proponuję, żebyśmy narysowali linię! - zawołał Ian, przekrzykując gwar tych, którzy nie mogli się zdecydować, komu winni są wierność. - Proponuję, żeby ci, którzy są za Lachlanem, stanęli po jednej stronie, a ci, którzy są przeciwko niemu, przeszli na drugą.

Lachlan skinął głową; wziął miecz i zaznaczył ślad w pustej przestrzeni na końcu sieni, za stopami ostatniego służącego.

I z rozmysłem ją przekroczył, wracając do wszystkich.

Nikt się nie poruszył, miecze tkwiły w ich pochwach, a ręce u boków.

- W takim razie dobrze. - Jego głos był teraz łagodniejszy, napełniony emocjami, które były mu obce. - Dom. Tutaj. Po tych wszystkich latach błąkania się. Rankiem opuścimy Belridden i ruszymy do Anglii.

- *Belleden!* - zawołał ktoś.

Okrzyk bojowy Kerrów rozbrzmiewał na zamku, bo podchwycili go wszyscy obecni. Po chwili jakieś zamieszanie na zewnątrz zwróciło ich uwagę; drzwi do sieni otwały się, a do środka weszli żołnierze Elliota. Byli bez broni, wchodzili jak przyjaciele.

- Przybyliśmy pomóc ci uratować żonę - powiedział wreszcie Alistair Elliot, kiedy parada dobiegła końca. - Wczoraj przybył do nas ksiądz z Annan i powiedział nam, że została pojmana.

- Pojmana? - Głos Lachlana był znużony i chłodny, cienka nić podejrzenia obrzeżona gniewem.

- Widział ją, lady Grace, rozumiesz, ze związanymi rękami i z posiniaczoną twarzą w jednym z obozów na południu. Gdyby nie zmogła go choroba, byłby tu, by przekazać ci to samo.

- Grace jest ranna?! - Od ryku Lachlana zadzwoniły naczynia stojące na stole za nim. - Ktoś ją skrzywdził?

Strach o jej życie ścisnął mu gardło. Nie poszła dobrowolnie do obozu jego wrogów! Uldze, która go ogarnęła, towarzyszyły jednak ból i pytanie, kto zdradził.

- Ksiądz powiedział mi, że twoja żona żyje, lairdzie Kerr. Próbował ich przekonać, żeby puścili ją wolno przez wzgląd na miłość bliźniego, ale nie posłuchali go.

Wizja rannej Grace wywołała w Lachlanie rozżarzony do czerwoności, gotujący się gniew zemsty. Nienawidziła koni, zawsze było jej zimno, a bez lekarstwa choroba skóry znacznie się nasili. Tymczasem z północy zaciął deszcz, marznąca lodowata mżawka, która zapanowała na pograniczu przed trzema dniami, a upłyną jeszcze przynajmniej dwa, zanim on dotrze do Grace.

Niewyobrażalna niemoc zamieniła go w słup soli, w uszach słyszał mocne bicie własnego serca, a gniew sprawiał, że trudno mu było cokolwiek powiedzieć.

Grace. Zraniona. Przestraszona. Zszokowana.

Ostrożnie wyjął miecz z pochwy i uniósł go. Oto odpowiedź na modlitwę! Ostateczne rozgrzeszenie!

- Na Anglię! - ryknął.

Cała nienawiść i wrogość zawarta w tych słowach sprowokowała żywy odzew, a klany, które od lat sobą pogardzały, zmieniły się na jego oczach.

Z powodu Grace i jej dobroci.

Trzymał miecz tak mocno, że palce zaczęły mu drżeć, a kiedy przeliczył otaczających go ludzi, w ich liczbie dostrzegł szansę na odzyskanie żony.

Rozdział trzynasty

Malcolma nie było nigdzie wśród zgromadzonych. Lachlan przekonał się o tym, jak tylko pierwszy szereg przeciwników podjechał do przodu i zobaczył ich sztandary i kolory na tarczach herbowych.

Za dziesiątką znajdującą się na czele było ponad dwustu ludzi, a po jego stronie zgrupowało się mniej niż stu pięćdziesięciu wasali. Connor, Ian, Marcus, Kenneth, Duncan, Alistair. Dobrzy wojownicy. Jego ludzie. Stronnicy króla Dawida, dla których traktat z Berwick oznaczał wyłącznie pustą obietnicę pokoju.

Słowa Elliota były odbiciem jego własnych.

- Wygląda na to, że ktoś wezwał na pomoc Anglików, i to wielu. Na moje oko jest ich dwa razy więcej od naszych.

- Mamy przewagę, bo idziemy z góry - zauważył Lachlan. Spodobało mu się, że naczelnik klanu Elliotów wybuchnął śmiechem.

- Tak, to prawda.

Lachlan odwrócił się, uniósł ramię i szeregi złożone z jego wasali ruszyły miarowo naprzód, z tarczami w pogotowiu i zaostrzonymi mieczami. Potem popuścili koniom cugli i pogalopowali do bitwy.

Nóż przeciął sznury na jej rękach i Grace została wyrwana z drzemki.

- Lizzie?

- Proszę się pośpieszyć, bo zaraz wrócę, pani.

Brak krwi w palcach sprawił, że były opuchnięte i bez czucia, więc potrząsnęła nimi i skrzywiła się, kiedy po chwili w miejsce odrętwienia pojawił się ból. Na wprost niej leżał jakiś żołnierz, strużka krwi żłobiła ścieżkę w jego ciemnych włosach.

- Nie żyje?

- Pewnie żyje, choć nie jestem pewna, bo uderzyłam go naprawdę mocno. Jedno wiem na pewno, kiedy się obudzi, wszystkich zaalarmuje.

- Uuratujesz mnie przed nimi?

- Jestem tu tylko po to, by pani pomóc, ale wcześniej nie miałam okazji.

Chodźmy już, musimy odejść daleko, zanim się zorientują, że uciekłyśmy.

Droga, którą podążyły, biegła w las, a następnie zakreślała pod kątem prostym, omijając wzgórze i wychodząc na polanę. Po jednej stronie zobaczyły gęste krzaki, a po drugiej... pole bitwy. Nierówne szeregi ludzi walczących na tle zieleni. Szczęk prawdziwych mieczy, których ostrza połyskiwały w porannym słońcu.

Lachlan tam był. W samym środku bitwy, jego życie tak samo wplątane w oszustwo jak jej. Z narastającą paniką nakazała Lizzie gestem, żeby się zatrzymała.

- Nie, nie mogę iść dalej. Jeszcze nie.

- Nie możemy się zatrzymywać, pani - perswadowała służąca - musimy odejść tak daleko, jak zdołamy, bo w przeciwnym razie całe moje udawanie będzie na próżno.

- No tak, ale jeśli mój mąż jest ranny...

- Wtedy zginiemy wszyscy - dokończyła Lizzie i chwyciła Grace za rękę.

Jednak nie ustępowała.

- Proszę, Lizzie. Daj mi chwilę. - Pomyślała, że zaraz zwymiotuje. Nudności sprawiły, że oblała się potem. Dotknęła czoła drżącą ręką. - Muszę się zatrzymać, choćby na chwilę.

Patrz, słuchaj i wiedz.

Jej wzrok znów powędrował ku walczącym. Słyszała rzenie koni, brzęk mieczy i

bojowe okrzyki. Ponad tym harmidrem i bitewnym chaosem trzepotał czerwono-zielony herb Lachlana. Wciąż wysoko w górze. Szukała proporca jego brata, ale nie mogła go nigdzie dostrzec. Może Malcolm Kerr wcale się tu nie zjawił. Może pogłoski były fałszywe. Może jej mąż wygra tę morderczą bitwę, chociaż siły były tak bardzo nierówne.

- Proszę, proszę, niech tak się stanie. - Musnęła palcami wypolerowany kawałek bursztynu z zatopioną w nim ćmą i twarde paciorki różańca. Pogańscy bogowie i katolickie inwokacje. Nie chciała zostawić niczego przypadkowi, wzywała pomocy bardzo różnych bóstw.

Jej mąż wciąż odpierał ataki, choć prawie go nie było widać zza błyszczących w słońcu mieczy. Kiedy natarł koniem, jego napastnicy wycofali się. Wiedziała już, dlaczego był ulubionym rycerzem króla, jedynym, który odmawiał uczestnictwa w turniejach i nikt nie śmiał kpić z Lachlana Kerra z tego powodu, zarzucać, że tchórzy, unika rycerskich prób.

Przez chwilę wokół wierzchowca rycerza jadącego za osłoną czerwono-zielonej tarczy przybywało padających na ziemię ciał. Nieruchomych, ale złowieszczych. Nie mógł jednak pokonać ich wszystkich, nachodzących go fala po fali. Z miejsca, w którym się znajdowała, usłyszała jego głos:

- *Pog mo thon, a mhic an diabhoil!*

Grace nie zrozumiała tych słów, ale domyśliła się, że to poważne gaelickie przekleństwo, zobaczyła bowiem, że ci, którzy usłyszeli tę obelgę, rzucili się na Lachlana, a walka, i tak zajadła, jeszcze przybrała na sile.

Nadzieja została zniweczona w chwili, kiedy jego proporzec upadł na ziemię i zasłoniły go różnobarwne herby przeciwników i kurz wzbijany przez końskie kopyta. Maczugi, cepy, młoty bojowe i falcjony dźgały go w kolczugę i pancerz. Zatrzymały się, dopiero kiedy skórzany pasek podtrzymujący kaptur kolczy oderwał się od polerowanego hełmu i ciemne włosy rozsypały się po falującej zieleni.

Rozległy się głośnie wiwaty odbijające się echem wśród szeregów jego przeciwników. Grace pobiegła, straciwszy ramię Lizzie, biegła przez trawę i przez pole do

miejsca, gdzie jej mąż upadł, nie dostrzegając nikogo po drodze, bo ani cepy, ani młoty bojowe nie mogły jej przeszkodzić w dotarciu do mężczyzny, którego szukała.

Lachlan.

Pochyliła się i obróciła go na bok, żeby ułatwić mu oddychanie, czego najbardziej potrzebował, krew spod metalowej osłony karku kapłała na brzeg jej peleryny.

Kiedy wciąż nie oddychał, panika ogarnęła ją na dobre. Zaczęła nim potrząsać i robiła to dotąd, aż zaczął kaszleć, a krew i gęsta ślina pobrudziły mu twarz.

- Zabierzcie ją. - Głos z tyłu, dziwnie znajomy.

Malcolm Kerr. Usłyszała świst, drewniana głowica falcjonu zaatakowała ją zniechęca, poczuła uderzenie i zaczęła tracić świadomość. Ostatkiem sił zarejestrowała metaliczny smak krwi i ból w rękach, które znowu ktoś związał sznurem.

- Przebudziła się.

Grace usłyszała te słowa jak przez białą mgłę. Otworzywszy oczy, zobaczyła, że jest w porządnie urządzonej izbie, a nad nią unoszą się anioły. Anioły. Czyżby umarła? Kiedy poczuła ból w ramieniu, domyśliła się, że jednak nie jest w niebie, i wstrzymała oddech. Dwie kobiety stojące przy niej wyglądały na zaniepokojone. Nosiły habity mniszek, miały złote krzyże zawieszane na szyjach.

- Proszę się nie ruszać. Upuszczam pani krew.

Zrobiła tak, jak jej powiedziano, próbując mówić, próbując pytać, próbując sformułować imię w głowie, ale nie była w stanie.

Lachlan?

Zadała sobie pytanie, dlaczego nie może mówić, i językiem zbadła zewnętrzną część wargi. Była obolała i spuchnięta.

- Zszyłam pani ramię w miejscu, gdzie trafiło ostrze. Zostanie ślad.

- Laird Lachlan Kerr... mój mąż... czy jest bezpieczny? - wykrztusiła

Cisza. Ponieważ nikt nic nie mówił, Grace domyśliła się, że zginął. Odwróciła się od nich, od oczu, które mogły zobaczyć jej rozpacz. Jej mąż był martwy. Jedyne mężczyzna, którego naprawdę kochała. Nic nie zostało.

Kiedy obudziła się ponownie, była noc. Obok łóżka, odganiając cień, paliła się pojedyncza świeca.

- Grace? - usłyszała ciche pytanie.

Obok niej siedziała Judith, która uśmiechała się łagodnie, a wyraz jej twarzy zdradzał, że kuzynka nie wie, jak wypowiedzieć to, o czym myśli.

Tak bardzo mi przykro.

Po raz pierwszy w tym pomieszczeniu pełnym aniołów Grace poczuła łązy płynące po policzkach, spływające na prześcieradła i bandaże. Skuliła się z żalu, nadzieja odpłynęła niczym cherubiny fruujące nad jej głową; skrzydła unosiły je w inne, spokojniejsze miejsce. Miejsce, do którego udał się Lachlan? Najdzielniejszy z rycerzy króla zasługiwał chyba na prawdziwy wypoczynek w niebie...

- Jesteś tu od sześciu dni.

- Tu?

- W klasztorze tuż pod Eddington. Malcolm Kerr spotkał się wczoraj ze Stephenem i z ojcem.

Boże, więc on żyje. To jednak wydarzyło się naprawdę. Nie wyobraziła sobie jego głosu.

- Dlaczego?

Kuzynka położyła sobie jej dłoń na kolanach.

- Najpierw musisz wydobrzeć, Grace. Musisz znów jeść, bo jesteś taka chuda...

- Dlaczego? - powtórzyła pytanie, czekając na właściwą odpowiedź.

- Powiedział, że wciąż jest gotów pojąć cię za żonę.

Przerażenie spotęgowało się. Świadomość, jak diabelsko sprytny jest ten człowiek, niemal ją sparaliżowała.

Chciał jej pieniędzy i dostanie je, bo Stephen i wuj nie zdołają przeciwstawić się jego planom bez zrujnowania całej rodziny.

- Nie moogę...

- Wiem, ale dopóki nie obmyślimy jakiegoś sposobu, by cię stąd wyciągnąć, musimy tak postępować, by Malcolm wierzył w twoje dobre chęci. On jest bardzo

potężny, ma mnóstwo przyjaciół na wysokich stanowiskach i cieszy się życzliwością Edwarda. Jego misja na północy została uznana za triumf.

- Jego sztaandaru tam nie było, pojawił się na końcu...

- Idź spać. Zostanę przy tobie, obiecuję.

- A wuj...?

- Rozmawia z królem. Ma go spytać, czy mogłabyś zostać tutaj, w klasztorze.

- Na zawsze. - Grace nawet nie próbowała sobie tego wyobrazić, więc zamknęła oczy i pograżyła się w marzeniach.

Byli w grocie, cienistej grocie. Nie w Belridden. Nie w Grantley. Nie było tam łagodnej mgły północy ani wilgoci miasta położonego na nizinie. Było łagodniej. Ciepiej.

- *Je t'aime toujours.*

Francuski. Będę cię kochał, zawsze. Francuski tak płynny jak u kogoś tu wychowanego, jego dłoń na jej dłoni...

Nie, to nie było w porządku. Nic nie zostało. Ćma zatopiona w bursztynie w jej dłoniach śmiała się. Ćma z podwójną przepaską na skrzydłach.

- Przyniesie pani szczęście - powiedział Donald.

A może pecha? Nie była pewna.

- Grace. Grace. - Głos jej wuja, po chwili jego zmartwiona twarz tuż nad nią, kiedy udało jej się podnieść ciężkie powieki. - Jesteśmy tutaj z tobą. Była bitwa i zostałaś ranna...

Zabity. Martwy. Przypomniała jej się twarz Lachlana cała we krwi. W jednej przerażającej chwili wszystko, co się stało, powróciło. Z żalu nie była w stanie złapać tchu.

- Rozmawiałem z Edwardem Angielskim. Chce się z tobą spotkać i dowiedzieć się, jakie masz życzenia.

- Życzenia?

- Co do przyszłości.

Przyszłość. Grace z trudem mogła myśleć o przetrwaniu kolejnej godziny, a co

dopiero mówić o całej przyszłości. Pokręciła głową... i nagle podjęła decyzję.

- Chcę zostać w Graantley. Jeśli on myśli o moim małżeństwie z Malcolmem Kerrem...

Poczucie winy, które pojawiło się na policzkach jej wuja, było znamienne.

- Jeśli jest jakiś sposób oszczędzenia Ginny...

Kiedy Grace uniosła rękę, przerwał.

Jej życie było już zrujnowane, a Ginny dopiero się zaczynało, ale wyjść za mąż za Malcolma Kerra... Nie, nie mogła tego zrobić. Nie zrobi tego. Nawet dla Ginny.

- Mogę spłać Kerra. Zależało mu tylko na pposagu, a jeśli dostanie go bez żadnych warunków...

Wuj skinął głową.

- Możemy spróbować.

Głowa pękała jej z bólu. Twarz Lachlana wysmarowana krwią i ziemią. Gdzie jest teraz jego ciało?

- Czy wzięto więźniów dla okupu?

- Tak, wzięli ich Anglicy. Są w Watchlaw Castle, czekają na pieniądze od swoich wasali.

Po raz pierwszy trzepot czegoś na kształt nadziei wezbrał w piersi Grace. Watchlaw. Zamek niedaleko Eddington.

- Mógłbyś zorganizować moje spotkanie z nimi? Muszę dowiedzieć się, co się stało.

- Mogę spróbować, choć widziałem listę jeńców. Lachlana Kerra na niej nie było. - Grace ścisnęła wyciągniętą rękę wuja i błagała Boga o cud.

Lachlan szarpnął sznury na nodze i przeklął angielskich łajdaków, którzy go tu uwięzili.

Stan Connora pogorszył się, a jeden z żołnierzy Elliota wzięty z ich grupką miał na udzie otwartą ranę, z której sączyła się ropa.

Lachlan wrzasnął po raz setny tego dnia.

- Wezwijcie lekarza, wy angielskie psy, bo są tu chorzy.

Jego z kolei bolało ramię. Próbował je obejrzeć, ale wysiłek nie był wart bólu, a do przemycia miał jedynie słonawą wodę, więc dał sobie z tym spokój. Kiedy spojrzął przez celę na Iana, zobaczył w jego oczach ten sam gniew, który, był pewien, widać było w jego własnych.

- Wygląda na to, że o nas zapomniano. Może twój brat tak doradził Anglikom. Albo twoja żona?

Słyszał, że po bitwie widziano Grace w ramionach Malcolma, byli spleceni w uścisku jak kochankowie, a przecież twierdziła, że nimi nie są. Poczul się zdradzony, a wściekłość, która go zżerała, nie chciała ustąpić.

Był naiwny, kiedy uznał, że Grace jest szczerą. Gdzie w tym wszystkim było miejsce na lojalność? Ona też okazała się wiarogomną żoną? Próbował odsuwać od siebie te pytania, bo były inne, pilniejsze sprawy. Od wczorajszego popołudnia nie widzieli Duncana ani Alistaira Elliota i Lachlan zachodził w głowę, gdzie, do diabła, się podzieli.

Czyżby byli pierwszymi ofiarami? Nie ujawnił jednak swoich obaw towarzyszom.

- Dawid z pewnością przyśle posłańców, którzy będą negocjować nasze uwolnienie.

- Tak, ale pozostaje pytanie, czy przybędą na czas. - Ian spojrzal znacząco na ciężko rannego żołnierza Elliota

Lachlan zdusił w sobie niepokój. Byli tu, jak oceniał, blisko dziesięć dni. Zabrano im wszystkie ubrania, które były cokolwiek warte. Siedząc z bosymi nogami w cienkiej koszuli na zimnej kamiennej podłodze, był aż nadto świadomy strat, których doznali.

Boże, umrą w rękach Anglików za kratami w mroku i zostaną pochowani... gdzie? Miał właśnie wrzasnąć po raz kolejny, kiedy z oddali dobiegł go brzęk kluczy.

Bates, strażnik więzienny, wszedł do środka. Dzierzył maczugę najeżoną groźnie wyglądającymi stalowymi szpikulcami z resztkami włosów i skóry jakiegoś nieszczęśnika, który zbyt blisko się doń przybliżył.

- Macie gości. Ogarnijcie się.

Propozycja była dość absurdalna, bo kostki nóg mieli przykute do ściany, a ręce związane, Lachlan więc z trudem powstrzymał uśmiech. Wczoraj mu się to nie udało. Usłyszawszy jakieś inne polecenie, które wydał ten człowiek, roześmiał się i natychmiast oberwał w kark. Lepiej siedzieć cicho i czekać na okazję. Czy to właśnie ta chwila? Rozprostował się i oparł o mur. Zawroty głowy zakłóciły tok myśli. Boże, kiedy ostatni raz dano im jeść? Przedwczoraj? A może jeszcze dawniej?

Grace weszła w mrok celi jak księżniczka. Włosy miała nakryte szalem koloru burgunda, rudawa peleryna była obszyta pięknym futrem, a zazwyczaj blada twarz teraz pobladła jeszcze bardziej, przybierając barwę jasnego popiołu. Kiedy go ujrzała, jej oczy pociemniały gwałtownie, a po chwili błysnęło w nich nieme pytanie. Prawie niedosłyszalnie wypowiedziała jego imię, skłoniła głowę, po czym zgięła się wpół i padła. Padła na brudną podłogę, zasłaną resztkami sitowia, pokrytą kurzem.

Milczała... czyżby straciła przytomność?

Lachlan napiął z całej siły mięśnie i poczuł, jak sznur wżera mu się w rękę. Wściekły na ból i uwięzienie, na swoją bezsilność wobec tego, że jego żona leżała jak lalka dziesięć jardów od niego, z dziwnie wychudłym ciałem, zastanawiał się, co, u diabła, właściwie się stało. Zawołał głośno jej imię, za co natychmiast oberwał maczugą. Odzyskawszy rozsądek, zaczął oddychać nierówno i szybko, powstrzymując panikę.

Po chwili została wyniesiona przez strażnika. Chwycił ją jak jakiś tłumok... I już jej nie było.

Zamknięcie drzwi, stopniowe gaśnięcie światła, ciemność.

- *Gun toireach an diabhul fhein leis anns a bhas sibh, direach di Ifrinn!* - Jego przekleństwo ścigało ich, odbijając się echem o kamienie. - *Ifrinn, Ifrinn, Ifrinn* - wracając wciąż do niego, zupełnie jakby jakiś złośliwy duch bawił się jego strachem. A potem zapadła cisza, przez chwilę jego oddech był jedynym dźwiękiem w mrocznej celi.

- Co twoja żona... tu robiła? - Głos Connora był osłabiony wskutek choroby.

- Ważniejsze jest, kiedy wróci. - Miał nadzieję, że Bates jej nie skrzywdzi. Dlaczego przyszła sama, pod osłoną mroku, i gdzie podziewał się Malcolm?

Żywy. Lachlan był żywy. Żywy, choć nie pod swoim imieniem, ale niejakiego Angusa MacIndoe. Sprawdziła listę szkockich więźniów, kiedy doszła do siebie w pomieszczeniu, które zajmował Bates. Trzymała kufelek miodu w ręku i uśmiechała się, co go wprawiło w zakłopotanie.

Boże. Kiedy stała się taka dobra w oszukiwaniu?

Omdlenie. Sztylet. Uśmiech. I jeszcze jąkanie, dzięki któremu mężczyzna siedzący teraz naprzeciwko obdarzył ją spojrzeniem niemal... ojcowskim.

- Nie mogę zrozumieć, cco mi się stało.

- Lochy mogą tak oddziaływać na każdego. Pani wuj powinien zostać powieszony za to, że pozwolił pani przyjść tu samej.

Wyjęła jeszcze jedną monetę z sakiewki, zachęcając go do mówienia.

- Zazwyczaj rycerze pojmani w bitwie są wykupywani, ale ci tam pojutrze zawisną na szubienicy.

Grace poczuła, że jej gardło zaciska się ze strachu.

- Czy nie ddałoby się ich uwolnić, za oopłatą?

Znieruchomiał, zmarszczył czoło. Obliczał, domyśliła się Grace. Obliczał stopień ryzyka i jej wypłacalność. W końcu pokręcił głową.

- Trzej więźniowie nie mogą po prostu zniknąć...

Kiedy przerwał, dostrzegła w jego twarzy coś, co ją zaniepokoiło. Z uśmiechem postawiła kubek na stole i wstała. Jeśli będzie zbyt natarczywa, doniesie o tej rozmowie tym, którym nie powinien, a to będzie niebezpieczne.

- Dziękuję. Znajdę wuja i wwyjdę.

- A jeśli ktoś o panią zapyta, co właściwie powinienem powiedzieć?

Grace rzuciła na stół kolejne monety.

- Nnic.

Czas włókł się strasznie, godzina, potem dwie, aż w końcu chrapanie współtowarzyszy powiedziało Lachlanowi, że śpią. Poruszył się ostrożnie, wstał, tak żeby nie

robić hałasu, nie zbudzić Connora czy Iana, i wyciągał stopę coraz dalej i dalej w kierunku sztyletu, który żona upuściła, gdy upadła na ziemię, a którego srebrzyste ostrze było ledwie widoczne pod kupą sitowia.

Sam nie potrafiłby tego lepiej zaplanować, omdlenie, potem ostrożne upuszczenie na podłogę tego, co miała w ręku. Nikt prócz niego niczego nie zauważył. Wreszcie dosięgnął go stopą, przesunął, obrócił rękojeść tak, że mógł chwycić ją dużym palcem u nogi. Brak butów nieoczekiwanie okazał się pożyteczny. Garbiąc się, podniósł go, ostry kraniec stali przy sznurze, potem wolność. Żadnych ograniczeń. Roztarł odrętwiałe, swędzące nadgarstki i pogрузił się w myślach.

Do rana Lachlan obmyślił plan. Zaatakuje Batesa, kiedy ten przyjdzie z wodą w południe. Jęki, które przerywały nocną ciszę, ustały, a smród rozkładającego się ciała żołnierza Elliota przenikał wszystko. Zwłoki raczej nie mogły pozostać w celi, więc Bates będzie musiał wejść do środka. Sztylet plus zaskoczenie, to mu da moment przewagi nad strażnikiem. Jeśli nie wykorzysta tej szansy, nie będzie następnej. Był tego pewien. Jedenaście dni i żadnych odwiedzin z wyjątkiem jego żony, a Duncan, Alistair i pozostali znikli.

Ian po przebudzeniu zauważył sztylet. Jego brwi uniosły się i opadły, kiedy Lachlan nakazał mu milczenie. Nie mógł rozciąć jego więzów, bo był zbyt daleko i kostki nóg miał skrepowane sznurami, których nie miał odwagi przeciąć. Bał się, że Bates może to przez kraty zauważyć, zanim przekreśli klucz. Czas ciągnął się nieznośnie powoli, aż wreszcie nastał późny ranek.

Grace przyszła, kiedy Bates ucinał sobie drzemkę, nadrabiając niedostatki snu z poprzedniej nocy. Otworzył oczy, a ona tu stała, patrząc na niego. Dzisiejszego ranka miała pelerynę z białego aksamitu, a włosy przesłaniał jej ten sam burgundowy szal.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, pani - zauważył strażnik.

- To tylko złote krzyżyki. Chciałabym włożyć je im na szyję, zaanim... - Przerwała, otarła oczy delikatną chusteczką. Lachlan nie powinien widzieć śladów jej łez.

- W takim razie niech pani wejdzie i zaraz wyjdzie. Proszę się nie ociągać.

Weszła do celi i ruszyła w kierunku męża. Takiego spojrzenia nigdy dotąd u niej

nie widział. Było władcze, tkwiła w nim moc. Próbowwała zakomunikować za pomocą oczu to, co chciała, by zrobił.

Pod osłoną peleryny podała mu procę. Wziął ją, ustawiając kamień, jeszcze zanim odsunęła się od niego. Kamień pofrunął przez kraty i trafił Batesa między oczy, który nawet nie zauważył, jak nadlatuje.

- Klucze.

Szybko pobiegła, zabrała je i podała mu. Była zaskakująco spokojna, wyważona, precyzyjna w ruchach. Wyszła na moment z celi i po chwili przyniosła worek. Szaty i sandały mnichów, delikatna skóra i miękka wełna poleciały na brudną kamienną podłogę.

- Maamy cztery minuty do przyjścia następnego strażnika. Wczoraj policzyłam warty.

Patrzyła, jak ubierał Connora.

- Może iść?

- Tak. - Dał jej odpowiedź, którą sam chciał usłyszeć. Nie mógł przecież zostawić Connora na łasce Anglików. Donald czekał na niego w domu. I Mary z najmłodszym dzieckiem, które nie miało jeszcze roku.

Przerzucając przyjaciela przez ramię, wyszedł za Grace z celi ze sztyletem w dłoni. Ian zamykał pochód, trzymając procę w ręku, z kieszeniami wypełnionymi kamieniami. To powinno na początek wystarczyć. W pewnym momencie Grace skrzyła i nie zatrzymując się, poszła korytarzem, a im wydawało się, że wilgotne kamienie żyją i oddychają.

Najpewniej wkrótce zostaną zatrzymani, pomyślał, gdy z oddali dobiegły go jakieś głosy. Grace wydawała się niczego nie słyszeć, skupiona na prowadzeniu ich do wyjścia. Idąc za nią, po raz pierwszy nie zauważył jej utykania.

- Tutaj. To tutaj.

Wśliznęli się do małego pomieszczenia, na stole stał dzban miodu. Dała im znak, by milczeli. Po chwili korytarzem tuż obok ktoś przebiegł.

- Teraz my musimy biec.

Pognali korytarzem na większy dziedziniec. Byli tam żołnierze, już zaalarmowani tym, co się stało z więźniami. Usadziwszy Connora przy ścianie i dając żonie znak, by z nim została, Lachlan wziął sztylet do ręki. Szybko rozprawił się z pierwszymi dwoma, a Ian w tym czasie załatwił ostatniego.

Znów chwycił Connora i tak dotarli do pralni, a potem do innego, prawie pustego pomieszczenia. Jeszcze chwila i wyszli przez niestrzeżoną furtkę na zewnątrz, gdzie cztery konie czekały przywiązane do ogrodzenia, a pilnujący ich wyrostek z ulgą podniósł wzrok.

- Myślałem, że już nie przyjdziecie. - Wyciągnął rękę po monetę i czmychnął. Lachlan przekazał bezwładne ciało Connora Ianowi, po czym odwrócił się do Grace.

- Twoja kolej.

Pokręciła głową.

- Ja nie jaadę. Gdybym udała się z tobą, byłoby to jeeszcze bardziej niebezpieczne, no i moja rodzina jest tutaj...

Przyciągnął ją do siebie, gniew nadał temu gestowi więcej niż odrobinę brutalności.

- Przemyśl to jeszcze raz, żono, bo ja nie zamierzam cię zostawiać.

Rozdział czternasty

Kiedy już siedzieli na koniu, ogarnęła ją tak dobrze znana panika, ale wyglądało na to, że tym razem Lachlan się przygotował. Ramionami przyciągnął ją bliżej siebie, nie zostawiając ani skrawka wolnej przestrzeni pomiędzy nimi.

- Zaałatwiłam więcej koni. Mają czekać na nas w Muurton.

Całkiem ją zignorował, odwiązał uzdę dodatkowego wierzchowca i udał się w kierunku dokładnie przeciwnym od wskazanego przez nią.

- To nie ta droga...

- Wybacz mi, jeśli nie jadę tam, gdzie sobie życzysz, ale czuję, że roztropnie będzie odnaleźć własną drogę ucieczki.

- Nie rozumiem.

- Mówią, że opuściłaś pole bitwy w ramionach mego brata.

Nagle wszystko zrozumiała. Gniew i podejrzenie.

Czyżby Lachlan uważał, że to jej sprawka? Gdyby mniej się bała konnej jazdy, mogłaby go uderzyć, ale miała zajęte ręce, bo kurczowo trzymała się lęku w obawie, że spadnie.

- Naprawdę ppomyślałeś coś takiego o mnie?

- Dość, Grace. Jeśli totumfaccy Edwarda nas złapią, będziesz mogła tłumaczyć, że posłałaś mnie we wskazanym kierunku, a ja nie posłuchałem. Nie zaprzeczę. Zrobię to w rewanżu za tę broń i konie. Teraz jednak siedź cicho, dobrze?

Wiatr wiał jej prosto w twarz, a Lachlan wyglądał groźnie z tymi wszystkimi stłuczeniami i zakrzepłą krwią na ramieniu i rękach. Czuła, jak zaciska uda tuż przy jej udach w milczącym ostrzeżeniu, uznała więc, że roztropnie będzie go posłuchać.

Myślał, że go zdradziła, myślał, że uciekła do Malcolma i Anglików. Dobrze, nie powie mu, jak było naprawdę, nie powie. Nie tutaj. Nie teraz, kiedy ścigano ich, a ton głosu męża był chłodny i odległy.

- On zemdlał! - wykrzyknął Ian, kiedy głowa Connora poleciała na bok.

Lachlan zwolnił.

- Jesteś w stanie go trzymać?

- Na razie.

- Niedaleko stąd jest Ravenwood. Jeśli uda nam się dowieźć go tam żywego, Justin nam pomoże. - Mówił przyciszonym głosem. Grace zobaczyła, że odwiązał mnisi sznur, którym był przepasany. - Weź to i przywiąż jego rękę do swojej. Tym sposobem, jeśli spadnie, będziesz miał przynajmniej jakąś kontrolę, a jeśli umrze...

- Nie.

- Dobrze.

Nie mówili nic więcej, a szybkie spojrzenia, które wymieniali między sobą, w miarę upływu czasu stawały się coraz częstsze.

Wreszcie na horyzoncie pojawił się dom.

Grace odetchnęła głęboko na widok skończonego bogactwa potężnej kamiennej budowli i mnóstwa służby wybiegającej z imponującego frontonu. Czyżby na ich powitanie? Jakby ich tu oczekiwano...

- Kto tu mieszka?

- Justin, książę Ravenwood, i jego żona Celeste. - Ton jego głosu powiedział jej o wiele więcej niż słowa. Ci ludzie byli dla niego ważni.

Grace ukradkiem usiłowała wyprostować welon na głowie i wygładzić zmięte fałdy spódnicy.

Był niewidomy! Książę Ravenwood był niewidomy. Poznała to po tym, jak przesunął dłoń po ramieniu Lachlana, sprawdzając, czy to na pewno on, obrysowując skórę i kości. Długie pociągnięcia jego palców tworzyły obraz i poruszały się wyżej, ku twarzy przyjaciela.

- Jesteś ranny.

Lachlan cofnął się o krok i skłonił głowę przed kobietą stojącą obok księcia.

- Celeste. Dawno się nie widzieliśmy.

- Zbyt dawno.

Przytuliła go do siebie jak matka. Albo kochanka. Grace wyczuła w tym geście podtekst, którego nie rozumiała. Kiedy wreszcie się rozdzielili, na czarnych rzęsach

księżnej widać było łzy.

- Słyszeliśmy, że nie żyjesz. - Mówiła z wyraźnym francuskim akcentem. - John Murray zajrzał tu przed dwoma dniami po drodze do Londynu. Dawid jest wściekły.

- Malcolm żyje, Lachlanie. - Oczy Justina Ravenwooda, pokryte bielmem, popatrzyły prosto na Grace.

Czyżby wiedział, kim ona jest, chociaż nie był w stanie jej zobaczyć, nikt też nie dokonał prezentacji? Zmarszczyła czoło. Księżna pewnie mu ją opisała, a opis zapewne nie był pochlebny. Nagle wszystko wydało jej się groźne. Ci ludzie, gniew Lachlana i mroczna polityka, która czyniła walczących o niepodległość odpowiedzialnymi za wszystko.

Judith i wuj na pewno bardzo się niepokoją jej zniknięciem, ponieważ nie zostawiła im informacji, dokąd się wybiera. Dom. Rodzina. Rzeczy, które znała, i ludzie, którym ufała. Tak inne od tego, co jest tutaj. Mogłaby posłać do nich list z Ravenwood, przecież wciąż miała trochę pieniędzy w sakiewce.

Wszystko było trudne i tęskniła za tym, by po prostu ująć męża za rękę w nadziei, że odpowie jej tym samym, a poczucie utraty i ból zamienią się w troskę. Trapiła go jednak choroba Connora i smutek Iana, a wzmianka o bracie bardzo wzburzyła. Lachlan przeszedł na drugi koniec komnaty, daleko od żony, i podparł ramieniem bezwładne ciało Connora.

- Macie tu medyka, Justin?

- Mamy, ale będziesz musiał zanieść mu pacjenta. Żona mówi mi, że masz na sobie strój mnicha, może więc nadszedł czas na modlitwę?

- Ojciec mnie z tego wyleczył. Kto jak kto, ale ty powinieneś o tym wiedzieć najlepiej.

Ich głosy oddaliły się. Grace została z Celeste w bogato urządzonej gościnnej komnacie, a liczni służący zerkali na nią ciekawie.

- Wprawdzie nas sobie nie przedstawiono, ale zakładam, że mam przed sobą lady Grace Stanton, nową żonę Lachlana?

- Ttak. Z rozkazu dwóch królów.

- To niezbyt fortunny początek. Nic dziwnego, że Lachlan patrzy na ciebie jak na wroga.

Grace była zaszokowana. Czy jego nienawiść do niej była tak łatwa do odczytania, tak oczywista, że wystarczyło tych kilka chwil, by księżna ją dostrzegła? Nie wiedząc, co odpowiedzieć, wybrała milczenie.

- Byłam kochanką Lachlana w Château-Gaillard we Francji.

- A ppotem Justina? - W tę grę mogły przecież grać dwie osoby, a Grace nagle miała dość udawania.

Celeste roześmiała się pogodnie, co było zupełnie nowym i błogosławionym akcentem.

- Zaczynałam już myśleć, że jesteś taka, jak mówiono na dworze. Cieszę się, że tak nie jest.

- Bojaźliwa?

- Nie, układna! Kobieta niezwykle stateczna o konwencjonalnych manierach. Tak stateczna, że można było ją obrazić i spotkać się z uśmiechem.

- Byłam taka, dopóki...

- Dopóki?

- Dopóki nie ppoślubiłam Lachlana Kerra.

- Jest dobrym kochankiem, prawda?

Zdawało jej się, że płomień rumieńca objął jej stopy i pełźnie coraz wyżej.

Ukradkiem zerknęła na służących, którzy stali nieopodal i mogli wszystko słyszeć.

- Ile masz lat, Grace?

- Dwadzieścia sześć. - Poważny wiek jak na kogoś, kto wciąż się rumieni, ale tak właśnie było. Żałowała, że nie odważyła się zadać takiego samego pytania księżnej, gdyby jednak okazało się, że Celeste jest młodsza od niej, wszystko stałoby się znów o wiele trudniejsze.

- Ja skończyłam trzydzieści trzy.

Grace skinęła głową. Była zdumiona, zdawało się jej, że księżna potrafi czytać w myślach.

- Mój mąż był jednym z najbardziej zaufanych doradców Edwarda.

- Bbył?

- Polityka zabrała Justinowi więcej, niż miał ochotę dać, więc zostawił ją tym, którzy byli dość brutalni, by to wytrzymać, a sam przeniósł się na wieś.

- No taak, ale nasz przyjazd tutaj włączy waas...

- O, to zupełnie co innego. Zawsze braliśmy udział w życiu Lachlana.

Lekkim ruchem palców Celeste odprawiła służących i zaczęła, aż w komnacie zrobi się pusto.

- Mogłabym ci coś poradzić, Grace? Za twoim mężem uganiały się najpiękniejsze kobiety w Europie. Wcale nie musiał o nie zabiegać, uwierz mi. Teraz ty jednak spraw, żeby to on uganiał się za tobą. Spraw, żeby się zastanawiał. Spraw, by zrozumiał, że bez ciebie jego życie będzie kompletnie pozbawione sensu.

- Och... ja... - Serce Grace zaczęło łomotać.

Czy ta kobieta była szalona? Oczy koloru chabrów uważnie ją obserwowały.

- Lachlan przez całe swoje życie był jak nasienie dmuchawca. Pchany to w tę stronę, to w tamtą przez politykę i wojnę. Szkocja. Anglia. Francja. Każdy z tych krajów był jego miejscem działania, ale żaden nie był domem. Moja rada jest taka, żebyś dała mu dom, Grace.

- Pomagasz mi? Dlaczego?

- Bo jesteś dobrą kobietą, a przy tym jesteś silna i twarda, a to dobrze, bo będziesz potrzebowała dużo siły.

Nie mogła powiedzieć nic więcej, bo mężczyźni właśnie wrócili, a idący za nimi słudzy nieśli gorącą wodę i kąpielowe prześcieradła.

- Ulokowaliśmy was w komnatach na szczycie schodów. - W głosie księżnej Ravenwood pojawił się inny ton i Grace pożałowała, że nie jest daleko stąd, daleko od tych ludzi i ich słów o ukrytych znaczeniach. Zastanawiała się też, czemu jej mąż od przybycia do rezydencji Ravenwood nawet na nią nie spojrzał.

- Zostanę trochę z Connorem, Celeste, ale jestem pewien, że moja żona ucieszyłaby się z kąpieli.

- Proszę więc za mną, lady Kerr. Odprowadzę panią do jej komnaty.

Księżyc leżał nisko nad horyzontem, kiedy Grace po jakimś czasie patrzyła na niego. Zdażyła się wykapać i zjeść posiłek, a Lachlan jeszcze nie wrócił. Właśnie się zastanawiała, czy kłaść się do łóżka, czy nie, kiedy usłyszała jakieś szuranie w pomieszczeniu przylegającym do jej komnaty. Wstrzymała oddech i przyłożyła ucho do ściany, próbując odcyfrować dobiegające stamtąd dźwięki. Czy to tam miał spać Lachlan? Czy te komnaty były połączone? Przypomniała sobie, z jakim rozbawieniem Celeste powiedziała mu, gdzie będą spać. Może w ten sposób będzie miał wybór, czy spać z nią... czy nie.

Kiedy drzwi znajdujące się w drugim końcu komnaty otworzyły się i Lachlan wszedł do środka, była zaskoczona. A jej zaskoczenie jeszcze się zwiększyło, kiedy zobaczyła, co ma na sobie. Nie były to już gruba koszula i pled, ale koszula, spodnie i haftowana cotehardie z szerokimi rękawami.

- Miałem wybór między angielskimi strojami Justina a mnisim habitem.

Jego ton powiedział jej, że żadnego by nie wybrał. Nie miała jednak wiele czasu na myślenie o tym, bo dużymi krokami podszedł bliżej i ujął jej chude ramię.

- Boże, czyżby nie dawali ci jeść, odkąd widziałem cię po raz ostatni?

Ten dotyk nie był zmysłowy. Jakby Lachlan jedynie chciał wiedzieć, jak sprawy się mają.

- Niewiele, mój panie. - Miała zachrypnięty głos.

Przyjrzał się jej uważnie.

- I nabrałaś zwyczaju sypiania w nakryciu głowy?

Jej ręce powędrowały niepewnie do tkaniny zakrywającej tę resztkę, która została z jej włosów. Znów zaklął, kiedy uniosła podbródek ku światłu.

- Kto ci to zrobił?

Ślad noża jeszcze się nie zagoił. Grace wiedziała, że ma czerwony ślad na białej szyi.

- Ten saam, który zrobił to. - Odwiązała welon. Krótkość jej włosów wywołała zmarszczkę na twarzy jej męża. - Choociaż prawdę mówiąc, to była przysługa, bo

inny właśnie miał mnie zgwałcić. - Zobaczyła, że zacisnął dłonie w pięści.

- Malcolm cię nie chronił?

- Mówisz o swoim bracie? - Była naprawdę zaskoczona. - Dlaczego miałby to robić?

- Opuściłaś pole walki wraz z nim.

- Nie, zostałam wzięta wbrew mojej woli i nie widziałam się z nim na wsi. Dopiero po bitwie usłyszałam jego głos, tuż przedtem, zanim ktoś mnie uderzył.

- Boże, a więc Elliot mówił prawdę. - Odstąpił o krok, a jego blade oczy były lodowato zimne, kiedy przegarnął dłonią włosy. - Mówiono, że wyszłaś pieszo z Belridden w ciemnoniebieskiej pelerynie z własnej woli?

- Zostałam związana i wrzucona do kufra, a wynieśli mnie stronnicy twojego brata. Twoja koochanka mnie udawała.

- Rebecca?

- Miała na sobie moją pelerynę z postawionym kapturem.

W jego oczach widziała, jak pomału dociera do niego prawda o tamtych wydarzeniach.

- Mój Boże, Grace...

- Próbowałam pomóc ci oddychać, kiedy upadłeś, ale ktoś zabrał mnie, zanim się dowiedziałam, że żyjesz.

- A po bitwie?

- Obudziłam się w klasztorze kilka dni później w obecności moich kuzynek i wuja. Nie wiem, co się stało z twoim bratem. Pomyślałam, że zginąłeś, skoro nie przyszedłeś.

Zignorował jej słowa. Z powstrzymywanym gniewem gładził palcem ślad na jej szyi.

- Niczego nie rozumiałaś.

Te słowa były smętne i nie pojmowała ich, a w jego oczach lśniło coś, czego nie potrafiła zinterpretować. Nie gniew. Nie litość. Coś nowego. Zamknęła oczy, bojąc się nazwać to, co zobaczyła. Nie doznała pocieszenia od tak dawna, że trawił ją ból straty.

Coś innego. Wszystko teraz było inne. Kiedy otworzyła oczy i spróbowała się uśmiechnąć, poczerwieniała skóra na policzkach zabolęła. Przez to. Przez słowa, które zaraz padną z jego ust.

- Jesteś piękna, Grace.

Nie to. Nie myślała o tym. Serce jej stanęło z bólu i radości, dziwnie pomieszanych emocji, tak sprzecznych, a tak złączonych nierozzerwalnie.

- Nosisz ten szal, bo myślisz inaczej? Myślisz, że mnie to obejdzie? Myślisz, że utrata włosów sprawiła, że jesteś dla mnie mniej cenna?

Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku, stygnąc, zanim upadła na jej rękę. „Spraw, żeby się za tobą uganiał. Spraw, żeby się zastanawiał”. Słowa Celeste! Jak jednak miała to robić z tymi postrzępionymi włosami, zaczerwienioną twarzą i jękaniem, które nasiliło się od przyjazdu do Ravenwood.

Broda jej zadrżała i przejmujący żal, który ścisnął jej gardło, stłumił słowa, chociaż czuła oddech Lachlana na policzkach. Nie odsunął się - ze smutku albo z litości, nie wiedziała, ale nie odsunął się.

- Czy kiedyś kochałaś mego brata?

Inne pytanie. Wobec bezceremonialności tego, co jej właśnie powiedział, nie mogła już dłużej kłamać.

- Nie. Nigdy go nie kochałam. Nienawidziłam go.

- Nienawidziłaś go na tyle, by próbować go zabić?

- Tak. - Wreszcie to powiedziała.

Wyrzuciła to z siebie. Bez jękania i wahania. Bez niepewności, bo czysta siła tego strasznego wyznania zdominowała wszystko. Nie posłano żadnych ludzi do wąwozu, by sprawdzili, czy Malcolm Kerr jeszcze żyje. Nie zadali sobie tego trudu, bo mieli nadzieję, że zginął, modlili się, żeby zginął, bo nade wszystko chcieli ratować Ginny. Straszna prawda o nieudzieleniu pomocy rannemu dotarła do niej jak śmiertelny grzech.

Jego śmiech zaskoczył ją.

- Boże. I z tą całą gadką o zbawianiu dusz próbowałaś rozprawić się z duszą

mego brata?

- Drwij, jaak chcesz... - Odwróciła się, ale ją zatrzymał, kładąc dłoń na jej boku.

- Nie, Grace, to nie krytyka, to nie drwina, tylko konstatacja faktu, a ponieważ nie zabiłaś Malcolma, bez wątpienia twoja dusza jest bezpieczna.

- Nie powinna być. Widziałam, jak spaada, i nie próbowałam mu pomóc.

- Czy to ty go popchnęłaś?

Kiedy pokręciła głową, zaklął i tym razem w jego słowach nie było wesołości.

- Rozumiem... ale kryłaś tego, kto to zrobił. Dlaczego? Dlaczego powiedziałaś, że mój brat nie żyje, skoro najwyraźniej tak nie było?

Pot zbierał jej się na czole, a swędzące plamy dokuczały coraz bardziej w tym nagłym emocjonalnym wybuchu. A na zewnątrz rozlegały się odgłosy nocy; ptak na drzewie za oknem i wołanie innego dalej, w polu.

Usta Malcolma Kerra na jej ustach, kiedy przyciągnął ją mocno do siebie i tak samo szybko odepchnął. Nie zamierzała gryźć go w język, ale obrzydzenie sprawiło, że zareagowała odruchowo. Kiedy uderzył ją w twarz, wiedziała, co z niego za człowiek. Jednak nie powiedziała nikomu.

Wstyd, pomyślała później.

To wstyd zmuszał ją do milczenia, ta jej brzydota i przekonanie, że żaden mężczyzna nigdy się nią nie zainteresuje.

Następnego ranka był czarujący wobec niej, Stephena i wuja. A już zwłaszcza wobec Ginny. Malcolm Kerr z tym swoim przystojnym obliczem i złym charakterem. Wszystko, co wydarzyło się później, było jej winą, bo gdyby powiedziała...

- Mmoja kuzynka zepchnęła go z koonia przy urwisku po tym, jak ppróbował wziąć więcej, niż chciała dać. - Nawet powiedzenie tego było trudne, ale tutaj, w komnacie oświetlonej światłem świec i namacalnym uczuciem bezpieczeństwa w blasku oczu Lachlana chciała powiedzieć mu prawdę. - Ppróbowała go odepchnąć tak, jak mooja matka próbowała walczyć, zanim zzginęła.

- Twoja matka? Boże, Grace, ty to widziałaś? W lesie? Jako dziecko?

- I miilczałam. Powinnam była kkrzyczeć. Może gdybym krzyczała, nie z... zro-

biłby mamie tego, co zrobił. W Grantley było tak samo. Wiedziała, że twój brat jest niebezpieczny, ale nie powiedziała tego, nie powiedziała im. Ona chciała tylko go odepchnąć, sprawić, żeby przestał. I od tej pory nie mówi.

- Czy to jedna z dziewcząt, które widziałem w Grantley?

- Naajmłodsza. Ginny.

- Ginny? Ginny Sutton? G.S. Listy w ozdobnej szkatułce były jej, prawda? Nie twoje. - Ton jego głosu był inny, napięty, zupełnie jakby jej odpowiedź była nadzwyczaj ważna, najważniejsza.

- Tak, to jej listy. - Widziała, z jak wielką ulgą przyjął jej słowa. - Myślała, że go kocha. Myślała, że go zna...

- A więc postanowiłaś udawać, że to tobą zainteresował się Malcolm?

- Ja miałam dwadzieścia pięć lat, a Ginny przez to wszystko doznała urazu.

Uznaliśmy, że w ten sposób będzie mniej pytań.

- A twoja kuzynka miała ile? Trzydzieści? Czternaście?

- Dopiero co skończyła piętnaście.

- Jak się zachował twój wuj w tej sprawie?

- Wspierał mnie. Chciał chronić Ginny. Jest jej córką.

- A ty tylko siostrzenicą... Boże, a co z twoim prawem do ochrony?

Pokręciła głową.

- Tto nie tak, jak myślisz.

- W takim razie jak, Grace? Powiedz mi dokładnie.

- Wuj zaopiekował się mną ppo śmierci moich rodziców. Byłam starsza od kuzynek i ani w połowie tak ładna jak one. Żaden mężczyzna nigdy...

- Przestań. - Jego palce na jej wargach zmusiły ją do milczenia. - Poświęcono cię, a tak nie powinno być. Czy wiedziałaś, że po bitwie twój wuj rozmawiał z moim bratem, by ten cię poślubił? Słyszałem, jak mówili o tym w Watchlaw.

Skinęła głową, ale milczała.

- Jesteś piękną kobietą, Grace, i zasługujesz na znacznie większą troskę niż ta, którą otoczył cię wuj.

- Piękną? - Tęsknota w jej słowach zaskoczyła nawet ją samą.

- Tak. Piękną. Dla mnie.

Powiedział to z gniewem, ale bez kłamstw. Naprawdę tak myślał. Myślał, że jest piękna. Dla niego była piękna. Ogarnęło ją uczucie czystej radości. Mój Boże, on naprawdę tak myślał.

Wyciągnął ręce i wziął ją w ramiona. Ciepło jego ciała wyгнаło z niej zimno, a uczciwość jej wyznań sprawiła, że czuła się lekka. Prawda między nimi pozwoliła na wszechogarniającą ulgę. Wszystko, czego chciała, to być jeszcze bliżej.

Pospiesznie rozwiązała jedwabny szlafrok, który dała jej Celeste. Pod nim nie miała nic. Zaczekała, aż zsunie się do jej stóp, po czym uniosła wzrok.

Żądza zabłysła w oczach Lachlana. Po raz pierwszy w życiu Grace naprawdę czuła się piękna.

Leżeli razem w świetle księżyca po zaspokojeniu wzajemnego pragnienia. Spokój łączył ich w jedno.

Lachlanowi podobał się sposób, w jaki jej głowa mieściła się pod jego podbródkiem, a krótkie loki łaskotały jego skórę.

- Nie podziękowałem ci za przyjście do wieży Watchlaw. Następnego dnia mieli nas powiesić. - Poczul, jak skinęła głową. A więc ona też o tym wiedziała. - Rozegrałaś to po mistrzowsku, a już sposób, w jaki upuściłaś sztylet, był najwyższej próby.

- Ćwiczyłam to wiele razy w mojej izbie w klasztorze.

Zaczął się śmiać i w tym momencie uświadomił sobie, że nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy.

Grace przejechała lekko palcami po jego ramieniu, a potem po nierównej bliźnie idącej od łokcia do kciuka.

- Jak to się stało?

- Kiedy jakiś mało znaczący członek rodziny królewskiej wstępuje na tron, rozpętuje się szalona walka o władzę wśród tych, którzy mogą na tym skorzystać.

- Nie rozumiem.

- Wszedłem im w drogę.

- Ta blizna wygląda na staarą. Ile miałeś lat, kiedy „wszedłeś im w drogę”?

- Sześć. Byłem o rok młodszy od Dawida. Przerazenie było łatwo wyczuwalne w jej głosie.

- Wrogowie króla myśleli, że ty to on.

- Tak.

- Dlaczego?

- Chodziło o ochronę...

- Dawida.

Skinął głową.

- Byliśmy w podobnym wieku i podobnej budowy, a mój ojciec z radością wyświadczył przysługę królewskim strażnikom za nieznaną mi kwotę. Kiedy Dawidowi groziło niebezpieczeństwo, przebierano mnie za niego.

- Twoje życie za złoto?

- Łatwa wymiana dla każdego.

- Z wyjątkiem ciebie. Masz inne blizny...

Kciukiem powstrzymał jej słowa.

- Dość polityki, Grace. Choć przez chwilę bądźmy tylko my, dobrze?

Jednak ona jeszcze nie skończyła.

- Celeste powiedziała, że byliście k...kochankami?

Przegarnął dłonią ciemne włosy, niezagojone rany na palcach zapiekły.

- Raz, byliśmy wtedy dziećmi - powiedział lekceważąco, zupełnie jakby było to coś, a czym prawie zapomniał.

- A Ruth, twoja pierwsza żona. Co z nią?

- Czy ją kochałem? O to pytasz, Grace?

- Ttak.

- Poślubiłem ją po śmierci jej męża. Potem tak często wyjeżdżałem, że uznałem, iż nie mogę jej winić za... za szukanie miłości gdzie indziej.

- Malcolm? - Cofnęła się.

- Mój brat zawsze lubił sięgać po to, czego nie mógł mieć. Dziecko leżące na

omentarzu w Belridden jest jego.

- Ponoć ludzie wierzą, że to ty otrułeś Ruth... Tak mówiła mi Lizzie. - Kiedy zaprzeczył ruchem głowy, Grace usiadła gwałtownie. - To był Malcolm, prawda?

- Dała mi to do zrozumienia tuż przed śmiercią.

- I jeszcze koomuś?

- Gdy leżała na łożu śmierci, wielu pomagało jej duszy odnaleźć spokój, którego nie zaznała w życiu.

- A więc twój brat opuścił zaamek, a kiedy dowiedziano się o jego śmierci, władza przypadła tobie. A teraz chce ją odzyskać?

- Sprytna jesteś jak na Angielkę.

- Dlaczego czekał z tym tak długo?

- Jego człowieka widziano w Londynie, a ja domyślałam się, że on też tam był. Zabiegał o poparcie możnych. Łatwiej byłoby wrócić na granicę z własną armią, a gdyby Anglicy zaoferowali... - Nie dokończył.

- To Kennetha MacIndoe widziałam za stodołą. Bbył tam.

- Tak myślałem.

- Jednak nnie powiedziałeś.

- Spór o te ziemie trwa od...

- Od zawsze. - Dokończyła, kiedy uniósł jej dłoń do ust i ucałował każdy palec z osobna.

Mój Boże, pomyślał, kiedy poczuł, jak Grace się pod nim porusza, prowokująca i chętna. Zaplątywała go w sieć. Ani z Celeste, ani z Ruth, ani z wieloma innymi kobietami, które grzały mu łoże przez te lata samotności, nie czuł się tak. Nie pachniały jak Grace, nie były w dotyku takie jak Grace, nie smakowały jak Grace. Palcem dotknął pulsu przy jej nadgarstku i jego szybki rytm sprawił, że się uśmiechnął. Nie ukrywała swej zmysłowości jak inne ani nie wykorzystywała jej do swoich celów jako środka przetargu. Kiedy jej nie uratował po tym, jak Malcolm ją porwał, przyszła ze sztyletem do lochów Watchlaw i uratowała jego, uratowała ich, zapewniając im szaty mnichów i konie. Nie wydymała ust, nie zamartwiała się, nie dąsała. Dobry Boże, to

była wyjątkowo miła odmiana. Była kobietą, która nie uciekała się do podstępów i nieustannego łkania jako wyrazu bezradności i wzajemnych oskarżeń.

Serce waliło mu jak młot, gdy wyruszał w tę podróż. Widział krajobraz, ku któremu nigdy dotąd nie odważył się zbliżyć. Czułość. Przywiązanie. Zadowolenie.

Kiedy rozłożyła nogi, wziął ją szybko i mocno, zdezorientowany pragnieniem i pożądaniem i potrzebą uczynienia jej swoją. Na zawsze.

Rozdział piętnasty

Nie jąkała się od wielu dni, uświadomiła sobie, kiedy wjeżdżali konno do Edynburga późnym popołudniem w towarzystwie ludzi króla. Ani wtedy, kiedy była zdenerwowana czy zmartwiona, ani wówczas, kiedy oddział, który miał towarzyszyć im w drodze do Szkocji, przybył do Ravenwood. Nie jąkała się, bo był z nią Lachlan, a on uważał, że jest piękna.

Spali razem każdej nocy przez ostatni tydzień, wtuleni w siebie, wypełnieni pragnieniem, schwytani przez siłę większą od nich, moc czyniącą z nich całość. To nie była drobna rzecz; oddech, dotyk, sekrety szeptane pod osłoną ciemności. Lachlan rozumiał ją tak jak nikt inny, a jednak słowa wypowiedane przez niego świadczyły jedynie o namiętności i uwodzeniu, a uczucia drżące w ich sercach czekały na nazwanie. Czyste i uczciwe, wciąż pozostawały w ukryciu.

Kocham cię.

Proste.

Niewypowiedziane.

Bezpiecznie schowane w głębi jej serca, bo gdyby nie odpowiedział tym samym...

Nie. To wystarczało. Właśnie to. Wystarczało być blisko niego, dotykać go, czuć ciepło jego ramion, chroniących ją, dających jej miejsce w jego życiu. Nienawidziła, kiedy wschodziło słońce i traciła go na rzecz intryg i pełnego walki męskiego świata, a teraz dodatkowo Edynburga, króla i dworu, który niezbyt lubił Anglików.

Kiedy zacisnęła ręce na rękach męża, spojrział na nią z pytaniem w oczach, tak odległy, jakby wypatrywał niebezpieczeństwa nawet tutaj, w stolicy kraju, któremu służył od tylu lat.

Znów miał na sobie szkockie ubranie, pled zdołała dziś brosza z herbem Kerrów, srebrny jeleni o złotych rogach. Część długich ciemnych włosów zaplótł w dwa warkoczyki, resztę puścił swobodnie. Dumny pan hrabstw granicznych osaczony małymi brukowanymi uliczkami. Kiedy tak torowali sobie drogę do zamku, Lachlan nie wydawał się ani zadowolony, ani swobodny, choć - jak sobie powtarzała - przebywał w świecie królów i otaczających ich dworów przez całe swe życie.

Zamek w Edynburgu był posadowiony na dużej górze wznoszącej się setki stóp nad dnem doliny. Lachlan opowiedział jej o nim, kiedy wspinali się po czarnej skale zamykającej ujście starego wulkanu. Widok był oszałamiający.

- Dawid polecił nam zjawić się u niego.

- Dzisiejszego wieczoru?

- Teraz.

Ogarniające ją z troską ujawniło się w dwóch krótkich słowach:

- Tak szybko?

Skinął głową i zobaczyła, że wyglądał na zmęczonego, ramię jeszcze mu się nie zagoiło, a oczy poczerwieniały od długiej jazdy. Kiedy spał ostatnio, zamyśliła się. Naprawdę spał?

Za każdym razem w Ravenwood, kiedy się budziła w nocy, on był niespokojny, a uderzanie stóp o siennik sugerowało, że dręczy go jakiś poważny problem. Być może chodziło o reakcję króla albo o zdradę brata? Dobrze przynajmniej, że Duncan, Alistair i inni, którzy przeżyli bitwę z Anglikami, zostali wykupieni i byli znów bezpieczni w swoich domach. Jedno zmartwienie mniej w ogromie całej reszty.

Król pozdrowił Lachlana wylewnie. A więc nie zamierzał go wrzucić do lochu za złamanie pokoju z Edwardem. To ją nieco uspokoiło. Opanowała panikę, kiedy czekała, aż zostanie przedstawiona Dawidowi, królowi Szkotów.

Był przystojnym mężczyzną z długą brodą i orlim nosem, zmarszczki wokół

oczu sugerowały pogodę ducha. Na czwartym palcu prawej ręki nosił duży złoty pierścion z wizerunkiem herbu szkockiego lwa. Cały jego strój znamionował bogactwo.

Kiedy zwrócił się ku niej, skłoniła się głęboko i spuściła wzrok.

Władca zaskoczył Grace, kiedy się pochylił i wziął ją za rękę.

- A więc to ty jesteś żoną Lachlana, spadkobierczynią Stantonów? - powiedział z uśmiechem.

- Jestem Grace, Wasza Królewska Mość.

Jego uśmiech pogłębił się.

- W takim razie rozumiem, dlaczego dwaj mężczyźni roszczą sobie pretensje do ciebie.

- Dwaj mężczyźni? - Lachlan wystąpił naprzód, a w jego pytaniu był wyraźny gniew.

- Jest tutaj twój brat Malcolm. Przybył do mnie przed tygodniem z listem od Edwarda i utrzymuje, że ma pierwszeństwo do jej ręki. - Zapadła cisza. Wszyscy obecni w komnacie oceniali konsekwencje takiego roszczenia. - Jednakże pojawia się poważniejszy problem, bo Edward jest niezadowolony z twojego wypadu do Anglii i ucieczki. Domaga się twojej głowy.

- A ty mu ją dasz? - Napięcie pokryło cicho powiedziane słowa.

- Twój brat ma sprzymierzeńców w Stewardzie i Douglasie. Oni też domagają się jakiejś kary dla ciebie.

- Wezwałeś mnie do Edynburga, żeby mi o tym powiedzieć? Że mój brat wierzy, że ma jakieś prawa do mojej żony? Gdybyś mnie ostrzegł... Boże, pomóż mi.

- Uciekłbyś. Porzuciłbyś Belridden i Szkocję, porzuciłbyś miejsce, które zgodnie z prawem tobie się należy.

Grace wyczuwała w słowach króla ziarno prawdy. Bez miejsca. Bez domu. Jak zawsze. Aż do dziś. Wyczuwała, że Lachlan zmaga się z sobą, a nie chciała być powodem, dla którego zawsze czułby się... banitą. Kiedy Dawid spojrzał jej w oczy, skoncentrowała się na jego słowach.

- Twój mąż oddał mi swoje życie na blisko trzydzieści lat. Teraz ja chciałbym

coś mu dać...

Urwał, jakby czekając na jakieś jej słowo, jakby chciał zaznaczyć, że też tu jest ważna, też w tym uczestniczy, nie jest li tylko dodatkiem. Niezwykła uprzejmość jak na monarchę.

- Tak, Wasza Wysokość. - Skinęła głową.

- Nie ma mowy, bym stracił Grace. - Słowa Lachlana wydawały się zduszone od nadmiaru pragnienia i uścisk na jej rękę zacieśnił się.

- I nie będziesz musiał. - Dawid uniósł kielich. - Zasugerowałem jako sposób rozwiązania sporu turniej, który odbędzie się tu, w Edynburgu. Zwycięzca bierze Belridden, a ponieważ ty i twoi ludzie są o wiele lepsi w walce, Lachlanie, zwycięstwo powinno być łatwe. Szczerze mówiąc, byłem zaskoczony, kiedy twój brat zgodził się na tę propozycję.

- Nie. - Tym razem nie było pomyłki co do zamiarów Lachlana. - Mój brat jest mordercą...

- On mógłby oskarżyć ciebie o to samo. Powiedzieć, że twoja pierwsza żona Ruth została przez ciebie otruta. Uwierz mi, jej przedśmiertne wyznanie niewiele by ci pomogło, gdyby rozpętała się burza w tej sprawie.

- Mój brat kochał ją w przeciwieństwie do mnie, a ona twierdziła, że dziecko, które urodziła, jest jego. Jaki miałbym powód, by ją zabijać, skoro znaczyła dla mnie tak mało?

- Żądza. Zazdrość. Zemsta. Malcolm szybko wymienił więcej niż parę motywów, kiedy zadałem mu to samo pytanie. On jest sprytny, Lachlanie, i tak pełen gniewu, że doradzałyby ostrożność.

Świat zaczął wirować. Grace musiała przytrzymać się oparcia wysokiego krzesła stojącego tuż przy niej. Wszystko stało się z jej winy, Lachlan był teraz w niebezpieczeństwie z powodu jej działań.

- Ilu rycerzy? - Jego pytanie wyrwało ją z zamyślenia.

- Dwudziestu po każdej stronie.

- A kiedy ten turniej ma się odbyć?

- Za dwa tygodnie.

Sylwetka jej męża rysowała się wyraźnie na tle jasnego światła przeświecającego przez szklaną tafłę na końcu komnaty. Wyglądał niebezpiecznie, w sposób, którego nawet nie próbowałyby opisać.

- Gdzie jest mój brat? - Proste pytanie z mnóstwem podtekstów.

- Z Douglasem. Na wypadek, gdybyś próbował się mścić, powinienem cię ostrzec, że wielu czeka na swoją szansę, by objąć w Szkocji rządy. - Zniżył głos. - Jeśli weźmiesz sprawy w swoje ręce, to królestwo może się zachwiać.

Grace pomyślała o królestwach i monarchach oraz o tym, w jaki sposób politycy wmawiali ludziom, że każdy powinien wszystko poświęcić dla większego dobra. Przypomniała sobie, jak jej ojciec i matka wypowiadali te same słowa... i przeszedł ją dreszcz.

Lachlan czuł, jak oburzenie i gwałtowny sprzeciw zmienia się pod wpływem refleksji, która go naszała. Gdyby zabrał Grace i uciekł, pewnie musieliby uciekać już zawsze. Taka groźba czaiła się za bezczelnymi żądaniem brata, zwłaszcza że do tej pory nie powiedziano niczego o roli Grace w całej historii. Dlaczego nie, zastanawiał się? Dlaczego Malcolm nie zdemaskował jej, nie ujawnił jej kłamstwa?

Wspólna wina, być może. Niemota złotowłosej kuzynki Grace i władza jej wuja, który stał murem przy Edwardzie, okazały się potężnymi barierami dla prawdy.

Propozycja Dawida była niczym pozłacany sztylet, a on nie mógł wierzyć w szczęście ani umiejętności, jak sugerował król, bo Malcolm był oszustem.

- Ja również określe parę swoich własnych reguł. - Głos Dawida wdarł się w jego myśli. - Nie zobaczysz się z bratem przed turniejem. On zostanie na północy, a ty tutaj jako mój gość. Twoja żona zamieszka z MacDonalodem i jego rodziną. Nie wypada inaczej.

- Nie wypada? - Przepelił go gniew.

Za to wypada rozdzielić go z Grace? Był zaskoczony, kiedy zobaczył, jak Grace skinęła głową.

Czternaście dni. Ogarnęło go poczucie beznadziei. Był bliski odmowy, ale mała

dłoń wsunęła się ufnie w jego rękę i zrozumiał, że nie może skazać Grace na tułaczy los.

Lady Claire MacDonald była kobietą zamożną, z zasadami i prowadziła dom znany z dbałości o szczegóły, które czyniły go bezpiecznym. Dobry wybór dla Grace, fatalny dla niego. Nie będzie wizyt pod osłoną ciemności. Błysk w oczach Dawida powiedział Lachlanowi, że król myślał pewnie o tym samym.

- Będziesz potrzebował czasu na doskonalenie swoich umiejętności w walce konnej na kopie i walce wręcz na miecze. Przed każdym turniejem rycerze tak czynią.

Gobelinowe zasłony rozsunęły się i Lachlan wiedział, że wizyta dobiegła końca. Sprytny sukinsyn z tego Dawida. Nie zostawił mu czasu na spory. Zastanawiał się, czy dał służącym jakiś dyskretny znak oznaczający koniec spotkania. Szarpnięcie szaty? Tupnięcie nogą?

Skłonił się władcy i wrócił do swoich ludzi.

John Murray czekał na nich i wyglądał równie nieszczęśliwie jak Lachlan.

- Chodzą pogłoski, że zmierzysz się w turnieju ze swoim bratem, a nagrodą jest władza w Belridden. - Przyjaciel spojrział na niego w poszukiwaniu potwierdzenia i skinął głową, kiedy je otrzymał. - Będę przy tobie w tym pojedynku, Lachlanie. Alec i Ian mogą przyjechać konno z Belridden z innymi. Ilu ma być przeciwko tobie?

- Dwudziestu.

- To spora drużyna. Na tyle liczna, by Malcolm mógł się ukryć za swoimi, czy tak?

Lachlan zaczął się uśmiechać.

- Cóż, w tę grę mogą grać dwie osoby, prawda?

- Zabijesz go?

Zamierzał powiedzieć, że tak. Zamierzał to powiedzieć, ale uświadomił sobie, że nie jest w stanie. Malcolm był jego bratem, jedynym żyjącym krewnym. Ta myśl zaniepokoiła go, więc ją zaraz odrzucił, a nadejście grupy dobrze ubranych kobiet przerwało im rozmowę.

Grace patrzyła na niego, kiedy ujął dłoń kobiety o rudawych włosach, która

przecisnęła się bliżej niego.

- Alice.

Ucałował podane palce w tak wyszukany sposób, że aż ją to zaskoczyło. Ciągłe okazywało się, że nie zna Lachlana Kerra do końca. Ile razy udało jej się złożyć jego kolejny wizerunek, rujnował go jednym posunięciem.

- Lachlan? Słyszałam, że jesteś w Edynburgu. - Miała miodowy ciepły głos i kuszący uśmiech, a jej suknia zdradzała zarówno wielkie bogactwo, jak i wspaniały gust.

- Pozwolisz, że przedstawię ci swoją żonę? Lady Grace Kerr, lady Alice Drummond.

Lady Drummond złożyła głęboki ukłon, Grace odpowiedziała tym samym, czując jej wzrok na swoich krótkich włosach. Zastanawia się nad naszymi relacjami, pomyślała. Widocznie jednak uznała, że żona nie stanowi dla niej zagrożenia, bo po chwili pod rękę Lachlana wsunęła dłoń bogato zdobioną biżuterią.

- Zapraszam was na przyjęcie, które wydaję jutro. John, ciebie też naturalnie. Oczekuję was około jedenastej rano. Moja matka z przyjemnością znów cię zobaczy, Lachlanie.

Są więc w zażyłych stosunkach. Kiedy jej mąż w gładkich słowach wymówił się z przyjęcia, nie powiedział nic o warunkach, które król mu właśnie narzucił, nic o jej uwięzieniu w domu MacDonalda, a jego na zamku w Edynburgu.

Celeste. Alice. Ruth. Rebecca. Ile jeszcze kobiet było w jego życiu? Ożenił się raz, ale romansował chyba sto razy. Patrząc na niego tutaj, na królewskim dworze, domyślała się dlaczego. Był piękny nie tyle przez subtelność rysów, nic w tym stylu. Był natomiast mężczyzną, który zna swoją siłę i wie, że cały świat należy do niego, rycerzem, który obnosi chwalebne blizny, mędrcom kryjącym sekrety w bladoniebieskich oczach. Te oczy w tej chwili były skupione wyłącznie na niej, patrzyły w zagadkowy sposób, a dłoń u nasady jej pleców prowadziła ją z dala od wszystkich w kierunku drzwi, których nie widziała wcześniej.

Pomieszczenie było obszerne, ogień płonął żywo w palenisku, a na bocznym

stoliku stało jedzenie i wino.

Lachlan nalał wino do dwóch cynowych kubków i jeden z nich wręczył Grace. Skończywszy swój nalał jeszcze jedną porcję i wypił równie szybko. Wstrzymał się jednak przed rozpoczęciem trzeciego.

- *In vino veritas* - powiedział, a rozbawienie w jego słowach przywołało uśmiech na jej twarz.

W winie prawda.

- Zostajemy czy wyjeżdżamy, Grace? Jeśli uważasz, że mógłbym przegrać...

Przerwała mu.

- Jeśli wyjedziesz, stracisz swój dom.

- Ty jesteś moim domem. Tylko ty.

Nie przysunął się bliżej ani jej nie dotknął, ale aura, która ich otaczała, całkowicie zmieniła barwę. Jej wybór. Jego uczciwość. Nie chodziło o żądzę. Liczyła się szczerłość tego nieoczekiwanego wyznania. Ledwie była w stanie mu odpowiedzieć.

- A więc mówisz...

- Pójdę tam, gdzie ty. Ja i ty. Razem.

Mięśnie jego szczęki napięły się. Nie było kwiecistej prozy, ale jej to krótkie stwierdzenie wystarczało, chociaż Grace wydawało się, że Lachlan drży, podobnie jak ona. Sekundy ciszy ciągnęły się w nieskończoność.

- A więc gdybym zażyczyła sobie powrotu do moich majątności w Anglii, udałbyś się tam ze mną?

- Tak. - Wypowiedział to ledwie słyszalnie przez zaciśnięte zęby.

Nie były to słowa miłości, które wyobraziła sobie w snach, lecz coś znacznie bardziej realnego. Oddałby za nią nawet Szkocję, kraj, który naznaczył jego ciało całymi latami walki. Łzy napłynęły jej do oczu. Nie łzy smutku, ale zachwytu, bo nikt do tej pory nie dał jej takiego daru.

- Kocham cię, Lachlanie. - Powiedziała to. Wreszcie. - Kocham cię, odkąd zobaczyłam cię w Grantley, z każdym dniem bardziej, ale nie zabiorę cię z Belridden, bo ten zamek jest twoim schronieniem po trzydziestu trzech latach tułaczki. I moim teraz

także.

Dom. Nie tylko jego, jej też. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnęła miejsca, które mogłaby nazywać domem, nie wiedziała też, że w zbawieniu Lachlana było również jej zbawienie.

Patrzyli na siebie przytłoczeni wzajemnymi wyznaniem, objawioną nagle prawdą, ale wciąż się nie dotykali.

- Jeśli zostaniesz ze mną teraz, Grace, już nigdy nie pozwolę ci odejść.

- Wiem.

- Bez względu na to, jak bardzo byś tego chciała.

- Wiem.

- Za dwie minuty te drzwi się otworzą, ktoś wejdzie i zabierze cię do domu MacDonalda. - Dopił wino i dystans między nimi wydawał się zmniejszać. - Obiecuj mi, że nie będziesz narażać się na niebezpieczeństwo. Obiecuj mi, że nie będziesz wychodzić sama ani nie dasz się nikomu przekonać do opuszczenia tego miejsca bez względu na to, kto by tego próbował...

Poruszyła się, kładąc kciuk na wargach męża, uciszając niepokój.

- Kocham cię, Lachlanie. - Jego język zostawił ciepły ślad na jej skórze. - Jesteś moim rycerzem i będę czekać dotąd, aż rozgromisz wszystkich naszych wrogów.

- Rycerz Grace - szepnął. - Podoba mi się.

- A to? Czy to też ci się podoba?

Stała na palcach i pocałowała go prosto w usta.

Rozdział szesnasty

Grace stała bez ruchu, kiedy służące czesały i poprawiały jej włosy, stała bez ruchu, kiedy suknią, którą zostawiła jej lady MacDonald, była starannie zasznurowywana, a na jej biodrach zapinano pas wysadzany bursztynami i żółtym kwarcem, tak w każdym razie jej się wydawało, albo agatami. Było jej to doskonale obojętne.

Była bez reszty pochłonięta myślami o mężu i o chwili, kiedy widzieli się po raz ostatni, dziwne grafitowe linie narysowane na jego nadgarstku były wyraźnie widoczne, kiedy uwalniał z uścisku jej palce, jeden po drugim.

Czy będzie dziś na królewskim dworze? Nie widziała go od pięciu dni, chociaż każdej nocy gdzieś ją zabierano. Gdzieś tam. Na przyjęcie. Na tańce. Każdej nocy szukała go wzrokiem i każdej nocy spotykało ją rozczarowanie, a zmartwienie zbliżającym się turniejem burzyło jej spokój.

Wszystko było jej winą i nigdzie nie było śladu Lachlana, więc kiedy służący wprowadził ją do rzadko używanego pomieszczenia na tyłach domu, serce zaczęło jej bić szybciej. Może to on. Tutaj.

Pośpiesznie przekroczyła próg z nadzieją na ustach i zatrzymała się tak samo gwałtownie. Stał tam Malcolm Kerr, przyglądając się jej, odwrócony plecami do ognia płonącego w palenisku, a jego włosy na tle płomieni wydawały się jeszcze czarniejsze niż zwykle.

Szatan. Diabeł wcielony.

Odwróciła się do wyjścia.

- Jeśli wyjdiesz, sprawy staną się o wiele trudniejsze. Przyszedłem tylko porozmawiać. - Ten sam jedwabisty wyrachowany głos... Nic się nie zmieniło.

Nie mogła uwierzyć, że lady MacDonald zostawiła ją sam na sam z mężczyzną, którego nienawidziła z tak wielu powodów. Chyba że... Zdaje się, że się domyślił, co jej chodzi po głowie, bo podjął.

- Wszyscy w Edynburgu mają sekrety, które chcą ukryć. Twoja gospodyni nie jest wyjątkiem.

Szantaż i przekupstwo. Grace stała bez ruchu.

- Jeśli chcesz chronić swego męża, powinnaś opuścić Edynburg. Twoja obecność tutaj będzie go tylko rozpraszać.

- Kiedy Lachlan zaabije cię?

Jego uśmiech ją speszył. Nie była to reakcja, której mogła się spodziewać.

- Cóż za niewiniątko. Myślisz, że w tym wszystkim chodzi o moje życie? Myślisz, że za dalszy ciąg mojej nędznej egzystencji rzucałbym wszystko na jedną szalę?

Była tak zdumiona i zaintrygowana, że już nie chciała natychmiast opuszczać tego pomieszczenia.

- Nie rozumiem.

- Naprawdę? W takim razie spróbuję ci to wyjaśnić. Nas obu, Lachlana i mnie, można spisać na straty.

- Nie. Belridden ma własną mooc.

- Przeciwno królom? - Roześmiał się. - Właściciele ziemscy zaczynają się burzyć, Clarence stara się o tytuł, a Dawid wciąż tkwi w przekonaniu, że Szkocja pod rządami Anglików będzie silniejsza. Edward III zająłby przygraniczne hrabstwa już jutro, gdyby nie uważał, że dyplomacja jest lepszą metodą na zdobycie tych ziem.

- Ty oczywiście wiesz o tym najlepiej, jeśli się weźmie pod uwagę twoją pomoc w jego ostatniej kampanii.

- Niemądrze jest nie doceniać wroga. Z pewnością to rozumiesz.

- Wwroga? - Mówił tak, jakby sam nie związał swego losu z wydziedziczonymi. Po chwili jednak zmarszczyła czoło, bo uświadomiła sobie, że on może mówić o jej rodzinie.

- Zmiana sojuszników to coś, co przebiegły mężczyzna może wykorzystać do własnych celów.

- Jak zaawsze robisz ty.

Rozwarł dłonie w dziwnym geście. Czyżby miał jakiś plan?

- Jeszcze przed dwoma tygodniami chciałem zabić was oboje, ale dziś nie mam złych intencji.

- Dlaczego? Co się zmieniło?

- Moje motywy. Brat Ruth powiedział mi, że wzięła truciznę sama, bo chciała ukarać Lachlana i mnie. Zrzuciła winę na nas obu i umarła z uśmiechem na ustach. Może to gorączka głowy wskutek ciąży?

Szokujące wyznanie objawiało tak brutalną, okrutną prawdę, że musiała w nie uwierzyć.

- W takim razie dlaczego domagasz się mojej ręki i Belridden? Dlaczego karzesz brata, który nic złego ci nie zrobił? Gdybyś wycofał swoje żądanie, wszyscy moglibyśmy powrócić do domu.

- Nie. - Pot zrosił mu górną wargę. - Lachlan umrze, chyba że mi zaufasz. Wciąż nie rozumiesz, prawda? - Jego słowa ociekały litością. - Gdybym nie zakwestionował jego praw do ciebie, nie wymusił turnieju, Belridden, jako pierwsza z klanowych ziem, padłoby ofiarą chaosu, pierwsze zostałyby podzielone pomiędzy dwa królestwa w imię pokojowej sukcesji księcia Clarence'a. Turniej podkreśli prawa Kerrów do tej ziemi, a ci, którzy mogliby wziąć ją podstępem, zastanowią się dwa razy, zanim spróbują. Jeśli świat ujrzy, że my się go domagamy, Lachlan i ja, zrozumieją, że powinni być ostrożniejsi.

- Nie rozumiem...

- W takim razie spytaj męża. Spytaj go o zamiary króla, a potem wyjedź z Edynburga i udaj się do domu, do Grantley. Weź dziecko, które nosisz pod sercem, i zadbaj o jego bezpieczeństwo.

Jej ręce powędrowały do niewielkiej wypukłości brzucha.

- Skąd o tym wiesz?

- Twoja służąca Lizzie lubi dobre wino i robi się rozmowna, kiedy sobie popije.

- Coś pokazało się w jego twarzy, coś cieplejszego i prawdziwszego.

- To dlatego mnie nie zdemaskowałeś, z powodu dziecka?

Uśmiechnął się.

- Może nie byłaś tak niewinna, jak myślałem, skoro nie próbowałaś odnaleźć mego ciała w Grantley, ale to dziecko będzie ostatnim z Kerrów. Nawet grzesznik ma

granice, których stara się nie przekroczyć.

- A co z twoim potomstwem? Możesz przecież mieć własne dzieci?

- Nie, nie mogę.

- A dziecko, które urodziła Ruth?

- Nie było moje.

- Lachlan twierdzi, że jego również nie, a jednak pochował je w poświęconej ziemi i robiąc to, przeklął cię. - Takie były nagie fakty. Szczerość jednak miała swoje zjadliwe aspekty.

Grace, widząc, jak w oczach Malcolma Kerra rodzi się zrozumienie, z niepokojem przegarnęła palcami krótkie włosy. Boże, co miała teraz zrobić? Nie jego? Nie jego brata? Kobieta, którą kochał, najwyraźniej miała swoje własne demony.

Twarz mu poczerwieniała, zębami przygryzł górną wargę. Przez moment myślała, że się rozplacze na jej oczach, tryskający optymizmem zadufany mężczyzna sprzed minuty znikł pod maską żalu.

Boże, myślała Grace, a więc tu tkwiła prawda. Rodzina rozdzielona śmiercią, przekleństwami i trucizną, a kobieta okazała się zbyt słaba, by dostrzec swoją rolę w gojeniu ran.

Jednak nie mogła całkiem go uniewinnić.

- Ginny, moja kuzynka...

- Powiedziała, że mnie pragnie. Myślałem, że mówi: tak.

Jeszcze jedna prawda. I może jej kuzynka naprawdę go pragnęła. Listy. Spotkania. Skomplikowane i zaskakujące wyjaśnienie, które sprawiło, że mężczyzna, który był zagadką, przestał nią być.

- Ppowinam wysłać ludzi na poszukiwania twego ciała. Ppowinam przynajmniej próbować, ale byłam wściekła.

Nie skomentował tego, natomiast poruszył inny temat, który musiał od dawna go dręczyć:

- Popełniłem w życiu wiele błędów. Jednym z nich było to, że uwierzyłem Ruth, drugim - że związałem swój los z Anglikami, ale wiem jedno, że na samym końcu te-

go wszystkiego jest Belridden. Tylko nasza ziemia, tradycja, nasi ludzie i zamek, tylko to ma jakiegokolwiek znaczenie, prawdziwy skarb, który trzeba uratować. Możemy to zrobić tylko wówczas, jeśli Lachlan i ja weźmiemy na siebie ciężar walki i zwyciężymy, bo w przeciwnym razie Kerrowie je stracą.

- Masz na myśli zmianę pola, na oczach wszystkich?

Przytaknął.

- To mogłoby zadziałać jedynie wówczas, gdy nikt nie odgadnie, że było zaplanowane. Czy możesz zobaczyć się z moim bratem przed turniejem?

- Nie jestem pewna. Do tej pory mi się to nie udało.

- Nie uwierzy moim intencjom.

- Wiinisz go za to?

- Powiedz mu to od razu, jeśli się z nim zobaczysz. Powiedz mu, że walczę o dobre imię Kerrów i dla dziecka, które nosisz...

- On nie wie o dziecku. Nie miałam okazji mu o tym powiedzieć.

Jego uśmiech ogromnie ją zaskoczył. Teraz wyglądał prawie jak jej mąż.

- Lachlan chronił dziecko, o którym myślał, że jest moje. Teraz dla odmiany muszę chronić dziecko, o którym wiem, że jest jego.

Jakiś hałas na zewnątrz sprawił, że odwrócili się. Do komnaty weszła Claire MacDonald. Była śmiertelnie blada, ręce jej drżały.

Spojrzała na Grace, przecięła komnatę i stanęła przy niej.

Była dobrą kobietą, która musiała dokonywać trudnych wyborów, ale moralna siła sprawiała, że zawsze wybierała właściwie. Malcolm mógł się od niej wiele nauczyć.

Chyba przyszła mu do głowy ta sama myśl, bo odwrócił się do wyjścia, a jego milczenie przyniosło lady MacDonald przynajmniej jakąś ulgę.

Kiedy gobelinowa zasłona zamknęła się za nim i zapadła cisza, Claire wybuchnęła rześistym płaczem.

- Jeśli skrzywdził cię w jakiś sposób...

- Nie. - Grace ujęła jej zimne ręce. Podobał jej się sposób, w jaki ich palce się

splotły. Zaufanie, porozumienie. Przyjaźń. - I nie skrzywdzi ani ciebie, ani twojej rodziny.

Po błysku ulgi, który pojawił się w jej oczach, nastąpiły dalsze łkania, kiedy lady MacDonald uświadomiła sobie, jak bliska była utraty wszystkiego, co było jej drogie.

Grace zobaczyła męża jeszcze tej nocy. Najpierw patrzyła na niego z daleka. Włosy miał gładkie i lśniące, a koszula i pled podkreślały jego opaloną skórę. Wyglądał jak obcy, którego złapano i uwięziono wśród eleganckich strojów i manier. Po raz pierwszy, odkąd pamiętała, nie miał broni. Czy był to jego wybór, czy życzenie tych, którzy mu towarzyszyli, nie wiedziała, chociaż uderzanie jego palców o pusty pas dało jej jakąś wskazówkę, podobnie jak obecność mężczyzn, których wcześniej nie spotkała. Tak samo jak ona znajdował się pod obserwacją.

Próbowała się opanować, próbowała powstrzymać panikę, kiedy przeszedł przez komnatę w jej kierunku. Nawet ubrana w wytworny strój, który pożyczyła jej Claire, była... zwyczajna w porównaniu z nim... Piękność, którą zobaczyła przed kilkoma godzinami w lustrze, tu wydała się mniej oczywista.

- Grace.

Powiedział jej imię cicho i wziął ją za rękę. Nic więcej, tylko dotknięcie jego skóry przy jej skórze. Umknęła wzrokiem, nie była w stanie patrzeć i zobaczyć w jego oczach tego, co jak miała nadzieję, tam było. Aż wreszcie to zrobiła, w środku załoczonej sali, w blasku świec, które były nad nimi, świadoma schyłku szkockiej jesieni na zewnątrz.

Jego palce się zacisnęły, czubek kciuka przejechał po delikatnej skórze wnętrza jej dłoni, obiecując wszystko to, co mogliby robić później. O wiele później, bo polityka i zasady panujące na królewskim dworze kierowały ich na odmienne ścieżki.

Kiedy odsunął się o krok, ich ręce opadły, a jego uśmiech był szeroki. Widziała, jak inne kobiety na niego patrzą, ładniejsze od niej i mądrzejsze. Jednak on stał tutaj, tuż przy niej, przy swojej żonie.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, mój panie. - Tak była uprzejma w jego towarzystwie, że maniery pozba-
wiły te słowa znaczenia. - A ty?

- Dobrze. - Błysk w jego oczach był niemal wesoły, chociaż dostrzegła w nich
również niebezpieczeństwo. Kiedy jednak John Murray przedarł się ku nim przez
tłum, pojawiła się nowa nadzieja.

- Chcę porozmawiać sam na sam z Kerrami. - Ujął jej ramię, udając się wraz z
Lachlanem w stronę okna, prowadząc ich do najmniej zatłoczonej części sali.

- Mamy najwyżej minutę, Grace - powiedział mąż, kiedy szli. - Do tej pory zo-
rientują się, że John nie ma prawa wydawać im poleceń.

- Kim są oni? - spytała.

- Ludzie z północy! Dawidowi ostatnio grożą wszyscy, więc pozwala, żeby robi-
li, co chcą.

- Widziałam się z twoim bratem - wyrzuciła z siebie pośpiesznie. Była zadowo-
lona, że nie próbował jej dotykać, bo ta dystrakcja zmaćlałaby jej myśli, a przecież mu-
siała mu powiedzieć. - On wie, że noszę nasze dziecko.

- Co takiego? - Nawet John Murray odwrócił się na te słowa.

- Wiem, że to nie miejsce i czas, by ci to mówić, Lachlanie, ale między in-
nymi dlatego Malcolm chce nam pomóc.

- Jesteś brzemienna?

- Jak to?

Dwa pytania od dwóch mężczyzn jednocześnie. Odpowiedziała na to zadane
przez męża.

- Prawie od ośmiu tygodni.

- Dobrze się czujesz? - Jego dłoń powędrowała do wypukłości jej brzucha,
ostrożnie, zupełnie jakby nawet najdelikatniejsze dotknięcie mogło zaszkodzić dziec-
ku.

- Twój brat mówi, że przejedzie na twoją stronę podczas turnieju i wesprze cię.
Mówi, że Belridden grozi podział pomiędzy tych wszystkich, którzy wspierają Dawi-
da, a Edward Angielski traci cierpliwość. Mówi, że ziemia Kerrów pierwsza zostanie

złożona w ofierze, by załagodzić angielskiego monarchy.

- Słyszałeś te pogłoski? - Lachlan spojrział na Johna w poszukiwaniu potwierdzenia.

- Wysłannik Edwarda przybył do Edynburga z twoim bratem. - Murray wzruszył ramionami. - Wszyscy zachodzą w głowę, o czym rozmawiano.

- A więc to mogłoby być prawdą?

- Tak, mogłoby. Edward nie krył faktu, że popiera tych, którym odebrano ziemie pod władzą Bruce'a.

- Boże, Grace, musisz wyjechać z Edynburga i wracać do Grantley.

- Nie. Ty musisz zwyciężyć w turnieju, a kiedy będzie po wszystkim, wrócimy do Belridden. Razem.

- Posłuchaj mnie, jeśli mnie kochasz, będziesz mnie słuchała, Malcolmowi nie można wierzyć...

Jednak ich czas się skończył i zanim zdołała odpowiedzieć, jej męża wyprowadzono z sali. John Murray wciąż stał przy niej.

- Dlaczego twoim zdaniem powinniśmy wierzyć bratu Lachlana?

- Bo nie mamy innego wyjścia - odpowiedziała, aczkolwiek w następstwie rady męża była jakby mniej pewna swojej racji. Gdyby Malcolm Kerr oszukał ich teraz, byłoby to bardziej niebezpieczne niż poprzednio. Przynajmniej Lachlan jest uprzedzony, ale za jego plecami...

Potrząsnęła głową i zmusiła się, żeby o tym nie myśleć.

Lachlan wrócił do swoich komnat sam.

Grace była przy nadziei. Kiedy poczęła? Przebiegał myślą ostatnie tygodnie.

Może za pierwszym razem, kiedy poszedł z nią do łóżka? Ta myśl go zadziwiła. Czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka o włosach koloru owoców jarzębiny w pełnym rozkwicie? Czy będzie bezpieczna, czy oni będą bezpieczni? Wyglądała na zmęczoną i niepewną, suknia była na oko sporo za duża. Najwyraźniej nie należała do niej. Może to suknia lady MacDonald albo jednej z jej dorosłych córek? Zauważył też, że nosi spinkę z Konstantynopola, którą jej kupił, i że pierścień na jej palcu wciąż jest

za luźny.

Kochał ją. Kochał ją, jak nigdy nie kochał nikogo przedtem, bo z miłością wiązały się nieodłącznie ryzyko i strata. Teraz rozumiał, dlaczego ojciec po śmierci matki szukał zapomnienia w pićiu.

Ona też umarła w połogu. Serce zaczęło mu walić jak oszalałe. Grace była drobna, tak samo jak jego matka. Co, jeśli również umrze w połogu? Jak on będzie żył? I dlaczego ona nie chce jechać do Grantley, gdzie bezpieczeństwo jest zapewnione przez władzę Carricka, tylko woli zostać tutaj, gdzie jego imię nie może jej chronić? Widział dzisiaj w jej oczach to samo, co zobaczył w celi Watchlaw Castle. Siłę. Pewność. Odwagę. Co ona zamierzała? Gdzie widziała się z Malcolmem i dlaczego miałby teraz przejąć się ich braterstwem, kiedy przez lata wspólnego dorastania nie był tym zainteresowany?

Nie. To nie była prawda. Nie całkiem. Był czas, kiedy Malcolm i on byli przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi, mimo nieustannych podróży do Dawida i narastającej goryczy ich ojca. Nawet po tym, pomyślał. Kiedy Hugh spoczął w grobie, odświeżyli dawne więzi. Na chwilę. Brat był dla niego stracony dopiero wówczas, kiedy związał się z Ruth. Poczucie winy narastało. Może brat naprawdę ją kochał w przeciwieństwie do niego? Może teraz, wiedząc to, co wie o miłości i uczuciach, zachowałby się inaczej, bo wtedy nie rozumiał, co przyciąga ludzi do siebie i co ich rozdziela.

Ruth! Ludzie mówili, że nie była szczęśliwa przez długi czas, może przez cały czas trwania ich małżeństwa. Dwoje ludzi związanych wyłącznie przysięgą.

Nie wiedział wówczas, co może wiązać kochanków, rozpalone do białości więzy radości i namiętności były mu obce.

Nie rozumiał, że jego obojętność wobec jej cierpienia mogła wbić się jak sztylet w wyczulone serce jego brata.

Miłość. Przyszła nieoczekiwanie jak powódź na wzgórzach zza Belridden wczesną wiosną albo burze gradowe od strony wzgórz Cheviot, kiedy zima otula śniegiem wschodnie hrabstwa.

Niepowstrzymana, żywiołowa Grace.

Na dworze dziś wyglądała wspaniale, nie znajdował na to innego słowa. Choć były tam kobiety piękniejsze w konwencjonalny sposób i zgrabniejsze, to jego spojrzenie wracało do Grace, jej męstwo promieniało niczym sztandar.

Wierzyła w moc dobra. Wierzyła, że da się rozwiązać problem walk na terenach przygranicznych i że on jest w stanie to uczynić. Tak. I nie zawahała się w swoim przekonaniu, tylko wyraziła je dobitnie, jednoznacznie. Nie była nieśmiała, zalękniona. O słabym sercu i zalękniona? Jak mógł kiedykolwiek ją za taką uważać?

Jednak czy ten plan zadziała?

Boże. Odgarnął włosy do tyłu i oparł się o zimny mur. Chciał wiedzieć, jak jego dziecko rośnie, chciał być takim ojcem, jakim jego ojciec nigdy dla niego nie był, chciał, żeby w Belridden znów rozbrzmiewały śmiechy i powróciła nadzieja. Może wszystko to było możliwe? Może w następnych pokoleniach Kerrów pokój, powołanie i zaufanie mogą znów pojawić się na zamku?

Dzięki Grace.

- Matko Boska, niech tak będzie - szepnął żarliwie i spróbował sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać twarz jego dziecka.

Marzył jeszcze o wielu sprawach, błędził myślą, widział w rozpalonej wyobraźni to wszystko, co może mu zaofiarować życie dzięki Grace. A przecież tak jeszcze niedawno Lachlan pozbawiony był wszelkiej nadziei, odrzucał marzenia, chciał tylko żyć... nic więcej.

Rozdział siedemnasty

Turniej odbywał się pod Edynburgiem na polu mierzącym trzysta jardów na sto. Zrezygnowano z zasad określających dopuszczalną liczbę ciosów. Z trybuny za podwójną barierką Grace obserwowała trzepoczące sztandary i tarcze herbowe. Wielka barwna gala była kontrapunktem, przeciwieństwem okrutnej walki, która miała się odbyć. Grace nigdy w życiu nie widziała takiego widowiska. Zadaszone i ustawione rzędami trybuny były udekorowane tarczami w setkach kolorów, a widownia liczyła ponad tysiąc osób różnego stanu, wieśniaków i szlachty. Wszyscy radośnie podnieceni. Ot, zabawa!

Claire MacDonald ścisnęła jej rękę.

- Jestem pewna, że twój mąż wygra.

Grace pomyślała, że jej drżący głos zaprzecza wyrażonemu przesłaniu, ale odpowiedź, jakakolwiek by była, i tak utonęła w fanfarach zagranych przez ośmiu trębaczy zapowiadających przybycie Dawida króla Szkotów w asyście wysoko urodzonych notabli. Dziś prezentował się jak władca potężnego królestwa, więc kiedy zwrócił oczy w kierunku Grace, ta dygnęła z szacunkiem. Jego związki z ludźmi były skomplikowane, a decyzja o turnieju, którego pretekstem była zemsta Malcolma Kerra, musiała go kosztować wiele bezsennych nocy. Jej mąż był mimo wszystko człowiekiem króla, a ona chciała, by monarcha uwierzył, że lojalne wsparcie od lairda Kerra, które dotąd otrzymywał, to wystarczająco dużo. Na tyle dużo, by pozwolić im wycofać się do Belridden i dać im żyć we względnym spokoju. Boże, jak tego pragnęła.

Dręczyły ją jednak wątpliwości, od których skręcał się jej żołądek, uniemożliwiając racjonalne rozumowanie. Wprawdzie Malcolm powiedział, że wyzwał brata, by chronić Belridden, ale teraz, kiedy turniej miał się rozpocząć, zaczęła się zastanawiać, czy to nie był podstęp. Czy Malcolm zasługiwał na zaufanie? Obróciła na palcu złoty pierścień Lachlana, rozmyślając o tym, co mogłoby się zdarzyć, gdyby jej mąż przegrał. Rycerze ginęli w takich bitwach, a kobiety zostawały wdowami.

Przerażenie na tę myśl sprawiło, że ciarki przebiegły jej po skórze. Boże, wróciło to przekłete swędzenie, które prześladowało ją od opuszczenia Grantley, a wysypka na przedramionach wydawała się czerwienieć z każdą mijającą chwilą.

Nie. Nie mogła dopuścić, by strach nadwątlił jej zaufanie i kazał wymyślać najczarniejsze scenariusze. Wszystko zakończy się dobrze. Malcolm Kerr dotrzyma danego słowa, a jej mąż uchodzi za najlepszego wojownika w Szkocji. Wyprostowawszy się, przywołała uśmiech, pokrywając nim żaloszny strach, i uspokoiła ręce, które mięły czerwono-zielony brokat spódnicy.

Wypełnione po brzegi galerie uciszyły się, kiedy zagrały trąby i na pole wyszli rycerze, których wiedli wasale, a każdy dzierzył w górze swój herb na solidnych drewnianych drzewcach. Czerwień, złoto, czerń, purpura i zieleń, barwy proporców, tarcz herbowych i trzepoczących sztandarów mieniły się w oczach, a kropierze zdobiące konie wirowały. Lachlan pojawił się pierwszy, czerwień i zieleń barw rodu Kerrów pokazywała wszystkim jego prawa do ziemi Belridden, a serce Grace, już łomocące, zaczęło bić jeszcze głośniejsze. Okrzyki odbijały się echem wokół areny, a inne damy z dworu wychyliły się do przodu na swoich bogato zdobionych drewnianych krzesłach.

Lachlan Kerr był faworytem i kiedy z rozwianymi włosami i bladymi oczami przeszukiwał trybuny bez znaku zaniepokojenia, domyśliła się dlaczego. Jego zbroja była niepodobna do innych. Zaśniedziała i poobijana, nosiła na sobie ślady wielu śmiertelnych zmagania. Nie turniejowych, pomyślała Grace, bo Lachlan nie brał w takich udziału, ale wojennych, z prawdziwymi wrogami. Zaczerpnęła tchu, siła miłości i strach ścisnęły jej serce i gardło aż do bólu.

Pochylając kopię, jej mąż poprowadził wierzchowca do pierwszej bariery, jakieś trzydzieści stóp od miejsca, w którym siedziała. Grzebień jego hełmu nie był ani w połowie tak ozdobny i wymyślny jak u pozostałych, lecz z całej postaci biły rycerska siła, niezłomność, odwaga.

I nic już nie miało znaczenia, tylko ona i on, tak sobie bliscy, a teraz oddzieleni ryzykiem, zagrożeniem, zbliżającym się krwawym dziełem.

Nagle doznała strasznej wizji. Lachlan upada, sztylet wbity w otwór na oczy w przyłbicy, purpurowa krew spływająca po jaśniejszej czerwieni i zieleni...

Nie. Nie on. Nie teraz. Położyła dłoń na wypukłości brzucha i zostawiła ją tam, nawet kiedy Lachlan się odwrócił, by stanąć z drugiej strony pola.

Boże, to było to!

Moment, którego tak się obawiała, właśnie nadszedł, a ona słyszała, że na turniejach często łamie się rycerskie zasady. Wojownicy zmawiają się przeciwko innym rycerzom, a ukryte sztylety są zreżymnie wykorzystywane podczas skrytobójczych ataków na gorzej chronione części ciała przeciwnika, tam, gdzie nity i paski skóry stanowią mniejszą barierę i gdzie ostrze może wyrządzić najwięcej szkody.

Samotny jeździec w czerwieni i zieleni pędzący od wejścia zwrócił jej uwagę na pole, jego barwy były takie same jak barwy jej męża. Rozległy się okrzyki, dopytywano się, co się dzieje, co to ma znaczyć. Nawet Dawid wychylił się do przodu, by patrzeć, jak Malcolm Kerr przemierza galopem pole i staje po prawicy brata.

Wszyscy spojrzeli na króla. Czy przerwie turniej, uzasadniając to tym, że złamano reguły? Tłum głośno wyrażał niezadowolenie, które łatwo mogło przerodzić się w zamieszki, jeśli spektakl zostałby przerwany. Kiedy posłaniec króla dał znak dwóm ludziom Lachlana, by się wycofali, wszyscy odczuli ulgę.

Dziewiętnastu przeciwko dziewiętnastu, lance i miecze gotowe i wypolerowany metal lśniący w świetle dnia.

Jeden człowiek, pewnie herold, przeszedł do barierki ze spuszczoną flagą. Wszyscy rycerze ustawili kopie do ataku. Kiedy flaga uniosła się, zaatakowali, grudy ziemi frunęły i kurz wirował, a stukot podków był coraz bliżej i bliżej.

Rycerze unieśli podbródki w ostatnim momencie przed uderzeniem, by osłonić oczy, przypuszczała Grace, ale jednocześnie mieć możliwość obserwowania celu. Wszyscy z wyjątkiem jej męża, którego kopia roztrzaskała się o pierś przeciwnika, zrzucając go z konia jednym zgrabnym ruchem i kładąc trupem. Zabrzmiały okrzyki, kiedy Lachlan pogalopował i zatoczył koniem na odległym końcu pola. Dzięki doświadczeniu i umiejętnościom jego ciało jakby stopiło się z ciałem wierzchowca w

jeden precyzyjnie działający mechanizm. Kiedy dał znak swoim ludziom, by zaczekali, wszystko w postawie Lachlana sugerowało, że natrą i zwyciężą. Na polu już leżało dwóch jego przeciwników, pomocnicy biegli przeciągnąć ich za barierki.

Przyniesiono nowe kopie i flaga zatrzepotała ponownie. Malcolm Kerr osłaniał brata, kiedy ruszyli, a kopie w starciu zostały rozniesione na strzępy. Tym razem rycerze nie wycofali się jednak, tylko zwarli się w walce. Miecze zostały wyjęte z pochew, a wierzchowce z wyjątkiem wierzchowca Lachlana rżały i stawały dęba. Może ten wielki czarny koń podróżował we Francji pod banderą Filipa albo w Anglii pod Edwardem, i dlatego był tak spokojny w czasie walki. Grace nie mogła dłużej myśleć, bo w zamieszaniu Lachlan został odizolowany, a konie jego przeciwników stanowiły barierę dla jego własnych ludzi.

Wstała i wołała, by uciekał, lecz jej słowa utonęły w hałasie czynionym przez widownię. Wygięte w łuk okrągłe trybuny były pełne ludzi wyciągających szyje i krzyczących. To dla nich rozrywka i zabawa, i sposób spędzania czasu. Nie dla niej, jednak nie dla niej. Gdyby straciła męża...

Lachlan zaklął, kiedy ostrze przedarło się przez ochronę, którą dawała mu kolczuga. Kopnąwszy w bok konia niosącego jeźdźca, dostrzegł odsłoniętą pachę przeciwnika i skorzystał z szansy. Wrzask bólu przyciągnął innych i za chwilę natarła na niego ściana koni i zbroi, bariera dla jego ludzi, a przeciwnicy robili, co mogli, by zabić. Poczul ból w boku jedynie jako niewielkie ukłucie, ale kiedy próbował ponieść lewe ramię, uświadomił sobie, że nie może. Ostrożnie przełożył miecz do drugiej ręki i pchnął tych, którzy go trzymali, walcząc o dystans i przestrzeń. Wielu Kerrów było leworęcznych, a on był oburęczny. Dziś ten fakt bardzo mu się przysłużył. Zwalenie z koni dwóch wrogów dało mu nadzieję, kopał więc dalej, by się uwolnić, kiedy Malcolm Kerr zamachnął się tuż za nim.

- Dwaj z tyłu! - zawołał do brata, okrzyk wojenny Kerrów brzmiał w zgiełku.

- *Belleden. Belleden.*

Poradził sobie z łatwością z dwoma rycerzami złapanymi na koniach w niekorzystnej pozycji. Upadli i leżeli bez ruchu. Lachlan wątpił, czy wiedzieli, co ich trafi-

ło.

Teraz ośmiu pokonanych, chociaż jego ludzie też padali. Andrew, Ian i Alec. Rob był tuż przy nim, również Malcolm, a nieco dalej walczył Stuart.

W żarze walki Lachlan zapomniał o tłumach i swoim królu, ale nie o Grace. Nie zapomniał o niej. W pewnej chwili zawołała, ostrzegła go, jej zielona suknia z czerwonymi wstęgami była niczym latarnia dla jego oczu, kiedy lewy bok przeszywał ból, a wściekli napastnicy wciąż go atakowali.

Zostało ich dwunastu, po tamtej stronie dziewięciu, a po tej tylko trzech - Malcolm, Stuart i on. Trzymał się blisko brata, z przyjemnością czując jego obecność za plecami. Wypełniała go ogromna radość, odkąd zobaczył, jak Malcolm w barwach Kerrów wjeżdża na pole i przecina je. Nie wszystko było kłamstwem. Nie wszystko zdradą.

Kiedy Malcolm nagle znalazł się na ziemi, kąć jego upadku zaniepokoił go, a jego bezruch jeszcze bardziej. Lachlan usiłował opanować sytuację i podkowy jego konia o włos minęły głowę brata. Zeus bryknął w bok wskutek dźgnięcia sztyletem. Honor nie liczył się w tej walce tak samo jak w jakiegokolwiek innej, pomyślał Lachlan, odwrócił się i osłonił brata, stanowiąc pożądaną blokadę. Chciał jak najwięcej zyskać na czasie, by umożliwić słudze zabranie Malcolma, ale coś było nie tak w jego bulgoczącym oddechu i jasnoczerwonej krwi, która ściekała spod osłony karku na ziemię.

Podnosząc przyłbicę, Lachlan ześliznął się z konia, gwizdząc na Zeusa, by został tam, gdzie był. Błyskawicznie zdjął bratu hełm. Rana na jego gardle zaskoczyła go tak samo jak łzy ściekające mu po policzku.

- Próbowałem, Lachlanie... Próbowałem pomóc...

- Pomogłeś. - Mieczem z łatwością odparował cios jeźdźca, który zsiadłszy z konia, zaatakował go z tyłu.

Lachlan bez wahania pchnął go przez wizur w hełmie. Stał, czekając na następnego, z którym rozprawił się równie szybko. Dodatkową moc dawał mu gniew. Nikt nie dotknie go na tym polu, nikt nie może się zbliżyć do jego brata. To za Malcolma

teraz walczył, za dobre czasy i za złe, za lata, kiedy byli bliźniakami w prawdziwym sensie tego słowa, przed przepowiednią Dalbetha i śmiercią matki, przed problemami alkoholowymi ojca i przed tym, jak wojna wyrwała serce każdej rodzinie mieszkającej przy granicy.

Kiedy zobaczył, że Stuartowi udało się przyciągnąć uwagę pozostałych rycerzy, oparł głowę brata o kolano, zdjął mu rękawice i wytarł krew, czując przy tym, jak skóra Malcolma robi się coraz chłodniejsza.

- Boże, przebacz mi... moje grzechy, Lachy. - Jego imię z dzieciństwa!

Przełknął ślinę.

- Na pewno ci przebaczy. Jestem tego pewien.

- A ty? Przebaczysz mi?

Skinął głową.

- Tak, Malcolm, *sero sed serio*... późno, ale szczerze.

Jednak on już odszedł z tej ziemi, szkliste oczy rozszerzały się, gdy dusza odchodziła. Odszedł. Na zawsze. Obejmował go przez chwilę, po czym złożył na ziemi i wstał. Przeciwno niemu i Stuartowi zostało pięciu rycerzy. I znowu ogarnęły go gniew i desperacja, które dodały mu sił.

Zdjął przyłbicę, ruszył w krąg mężczyzn i zaczął walczyć.

Coś było nie tak. Malcolm się nie ruszał, a Lachlan osłaniał swój prawy bok. A jednak jego sposób walki nie przypominał niczego, co Grace widziała dotychczas. Jego hełm i rękawice leżały przy nieruchomym bracie, jego włosy były mokre na tle matowej, starej zbroi, a miecz świstał. Zostało dwóch przeciwników, a potem tylko jeden. Stuart nie brał już udziału w tym spektaklu. Jej mąż samotnie skończył ostatni pojedynek.

Wygrał z łatwością.

A potem ukląkł i podniósł brata, tuląc wiotką postać w żarliwym uścisku. W tym pożegnaniu, w tym geście jakby zniknął stąd, oddzielił się barierą od króla, od gawieździ. Był sam w swoim bólu. Krew na policzku otarł gestem, który nie dopuszczał litości i odzwierciedlał wściekłość, którą mogli czuć tylko herosi.

Echo powtarzało jego imię.

- Lachlan Kerr, laird hrabstw wschodnich - odbijało się od trybun, akolady nowych legend i czynów, które bardowie i żartownisie mogą opowiadać przez nadchodzące generacje. Honor. Męstwo. Szacunek. Dwaj bracia wplątani w zderzenie idei i wierni Deklaracji z Arbroath w życiu i śmierci. „Bo walczymy nie dla chwały, nie dla bogactw, nie dla zaszczytów, ale dla wolności samej, której nikt nie oddaje, chyba że razem z życiem”.

I życie zostało tu dane, dziś, barwy klanowe okryte purpurą krwi Kerrów. Kurz. I łzy zaprawionego w bojach rycerza, który był gotów płakać na oczach tłumów po tym, jak pokonał wszystkich.

Oczy Grace napełniły się łzami, wstała i biegła, biegła do męża, ból w jej gardle narastał, w miarę jak się zbliżała.

Przyciągnął ją do siebie, ciepło jej skóry, łzy na jej twarzy i jej włosy o barwie płomienia, jego kobieta, jego żona, piękna tak jak żadna inna nigdy nie będzie, lśniąca blaskiem czystej uczciwości.

- Kocham cię, *mo chride*. - Jak łatwo to powiedzieć, teraz jak łatwo...

- Ja też cię kocham.

Wplótł palce w jej włosy, ale nie pocałowali się. Nie tutaj. Nie na tej arenie. To przyjdzie później.

- Malcolm nie żyje. - Nienawidził tego okropnego dławienia w głosie.

- Zginął za ciebie i za Belridden.

- Wiem.

Trąby brzmiały znów i okrzyki płynęły nieprzerwanie, kiedy na pole wkroczył Dawid.

Lachlan schylił głowę, ale Dawid chwycił jego dłoń i podniósł ich złączone ręce, obracając się z nim tak, by go widziano ze wszystkich miejsc. Rzucano upominki, z wyższych miejsc i niższych, aż ziemia pokryła się morzem kolorów. Zobaczył, jak Grace podnosi jeden z nich w odcieniach czerwieni i zieleni i przyciska go do piersi. W tym momencie przemówił Dawid i tłumy się uciszyły.

- Mówię, że Lachlan Kerr, laird Belridden, zapewni spokój we wschodnich hrabstwach Szkocji.

Lachlan odniósł wrażenie, że jego pan wykorzystuje tę chwilę do własnych celów. Uśmiechnął się. Może ten kraj był w lepszych rękach, niż sądził, bo zagrożenie ze strony właścicieli ziemskich z północy i Anglików nieco zmalowało. Może śmierć Malcolma coś oznaczała, coś zmieniała, połączyła podzieloną ziemię, by ją zmienić w coś lepszego.

Miał taką nadzieję, kiedy wyciągnął ramiona do Grace.

Rana była o wiele groźniejsza, niż to po sobie pokazywał, pomyślała dwadzieścia minut później, kiedy giermkowie odsunęli watowane płótno tuniki. Na karku i ramionach było pełno krwi, ale najbardziej niepokoiła ją głęboka rana poniżej lewego ramienia. Grace widziała, jak krople potu zbierają się Lachlanowi na czole, kiedy młody służący wycierał krew mokrym płótnem.

- Jest głęboka...

- Wierz mi - przerwał jej - miewałem już gorsze rany i jakoś przeżyłem.

- W walce?

- Nie tylko w walce.

W świetle namiotu na jego odsłoniętej piersi Grace widziała ślady innych ran, blizny teraz wybielone przez czas. Nie kilka, ale wiele. Ujmując jego rękę, przyciągnęła palce Lachlana do warg, całując jeden po drugim.

- Kiedy to się skończy?

Z uśmiechem pokiwał głową. Pomyślała, że jego siła i pewność dadzą jej na zawsze bezpieczeństwo.

- Skończy się... dzięki Malcolmowi.

Na drugim posłaniu z rękami złożonymi na piersi leżał jego brat. Sztylet lśnił w jego dłoniach, jakby nawet po śmierci Malcolm Kerr był gotów do walki.

Hałas tłumu na zewnątrz stawał się coraz głośniejszy, brutalnie przenikał przez cienkie płótno namiotu, a kiedy klapy się rozchyliły, Grace zmarszczyła czoło. Wokół pełno było życzliwych osób, ale ona chciała zająć się mężem sama.

Nagle wielki czarny pies z impetem wpadł do namiotu i skoczył ku nim.

Dexter!

Pochyliła twarz ku jego ciepłym wilgotnym pocałunkom i roześmiała się głośno, palcami szukając ran, które widziała ostatnim razem. Wszystko się zagoiło. Kiedy Lachlan wyciągnął rękę, puściła Dextera, zdumiewając się, że ten wielki pies rozumie powagę sytuacji. Nie skoczył na Lachlana jak na nią, ale lizał go po rękę, siedząc na zadzie przy posłaniu i nie ruszając się.

- Jak się tu dostał?

Grace uzyskała odpowiedź parę chwil później, kiedy pojawił się jej wuj i trzy kuzynki. Wszyscy wyglądali na zaniepokojonych. Za to Connor Kerr, który przykuśtykał za nimi, uśmiechał się od ucha do ucha. Widać było, że już dochodzi do zdrowia, a teraz cieszy się ze zwycięstwa Lachlana. Przywitani się ciepło, przyjaciele na dobre i na złe.

Jej wuj jednak nie zamierzał czekać. Z niespotykaną u niego energią przepchnął się do Lachlana.

- Przybył do Grantley posłaniec od Johna Murraya. Otrzymaliśmy wiadomość, że jesteśmy potrzebni w Edynburgu, więc ruszyliśmy, zahaczając po drodze o Belriden. Ten pies szedł za nami od samego zamku, więc postanowiliśmy go zabrać do was.

Nagły okrzyk Ginny sprawił, że wszyscy się odwrócili.

- Malcolm. - Rozdzierana między bólem, niedowierzaniem a rozpaczą, upuściła na ziemię małą sakiewkę, podbiegła do niego i rzuciła się na jego ciało.

Pierwsze słowo, które z siebie wyrzuciła po roku milczenia, nie było ostatnim.

- Myślałam, że go zabiłam! Myślałam, że umarł w Grantley!

- Nie, Ginny, żył. Przybył na pomoc, pomógł nam, walczył w turnieju.

- Myślałam, że to moja wina... myślałam, że to przeze mnie zginął...

- Cii. - Grace mocno trzymała kuzynkę, uciszając ją.

Wokół było zbyt wiele ciekawskich uszu. Nieostrożnie wypowiedziane wyznania mogły okazać się niebezpieczne w skutkach. Judith, która natychmiast pojęła, co

się dzieje, wyprowadziła siostrę z namiotu.

Hrabia Carrick znów odwrócił się do Lachlana.

- Wygląda na to, że mamy za co przeproszać i za co dziękować. Grace jest szczęśliwa. Widzę to w jej oczach i słyszę w głosie. Nie jąkasz się już, moje dziecko?

- Nie. - Faktycznie ostatni raz zdarzyło się to jakiś czas temu.

- A twoja skóra wygląda o wiele lepiej.

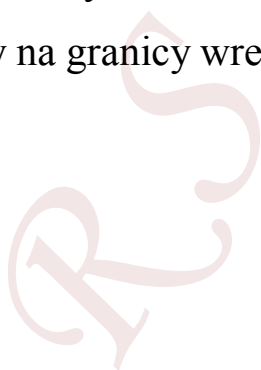
- To prawda.

- W lecie urodzi nam się dziecko - z nieskrywaną dumą oznajmił Lachlan.

Dexter zaszczeakał, jakby też składał gratulacje, na co wszyscy się roześmieli.

A więc nowy początek. Nowy spadkobierca Belridden i ziem, które teraz były o wiele bezpieczniejsze. I Malcolm będzie tam pochowany. Na zawsze tam. Kolejny upadły syn zamku w Belridden ogłoszony bohaterem po śmierci.

Grace modliła się do Boga, by na granicy wreszcie zapanował pokój.



Epilog

Wszystkie świece zgasły poza jedną, porywiste wiatry niosące się z gór tłukły się po szanćach Belridden, ale w wieży było im ciepło, leżeli owinięci w dobrze wyprawione jelenie skóry na łożu, które było miękkie jak puch.

Bezpieczeństwo. Jak to kochała. Palcem dotknęła policzka męża. Przy tym ruchu nowy pierścień, który od niego dostała, błysnął w blasku nikłego światła.

- W moich marzeniach z dzieciństwa wyglądałeś tak samo jak teraz.

Roześmiał się na te słowa, czule pogładził palcem grzbiet jej nosa.

- Dając ci na imię Grace, matka wybrała właściwie.

- Jak to? - spytała żartobliwie, słysząc śmiech w swoim pytaniu.

Jednak Lachlan był bardzo poważny, wręcz uroczysty:

- Bo łaska w końcu przyszła do mnie, a bez ciebie... - Nie skończył, bo językiem polizała wrażliwą skórę wnętrza jego kciuka. - Kochaj mnie - szepnął i obrócił się, nakrywając jej ciało swoim. Rana na jego boku była w znacznie lepszym stanie niż przed trzema dniami, które zajęła im podróż do Belridden. Oparł dłonie na łożu przy jej biodrach, uważając, by nie opaść na Grace całym ciężarem. - Nie chciałbym skrzywdzić maleństwa, ale potrzebuję czuć cię blisko, o tak. - Kiedy rozsunął kolana mi jej nogi, rozwarła je jeszcze bardziej, obejmując go, ciepła i dobra.

- Kiedy powiedziałeś mi, że mnie kochasz, na polu w Edynburgu...? - Nie powtórzył tego nigdy więcej.

- Kocham cię, *mo nighean mhaiseach*, i będę cię kochał zawsze. Przysięgam.

Blade oczy w świetle jednej jedynej świecy zrobiły się ciemnobłękitne. Piękne. Jak za pierwszym razem, kiedy go zobaczyła, gdy wjeżdżał na koniu do Grantley, lecz teraz ta uroda nie martwiła jej, a on nie był rozczarowany. Poznała to po tym, jak jego oczy otwały się szerzej, kiedy wyprężyła się i dała mu całą siebie.

